

Sp. 1124.

Biblioteka Gimnazjum i P. S. w Łodzi
Towarzystwa „Czytelnia”.

~~H. 331~~
ks. inw. № 583.

SIENKIEWICZ

1

35 125

JÓZEFAT NOWIŃSKI

SIENKIEWICZ



WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA

KRAKÓW - G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1901

Дозволено цензурою.
Варшава, 2 Сентября 1900 г.



145874

D-50/83

WSTĘP.

Pragnąlbym napisać szkic krytyczny o żywocie twórczości i sławy Sienkiewicza, choć wiem, że każda z tych dwóch bohaterek godną byłaby wielkiego poematu. Będę się starał określić charakter tej twórczości, w jej harmonii wewnętrznej przez określenie stosunku jej do ideałów, uczuć i życia ludzkości i naszego społeczeństwa, nie zaś przez porównywanie z innymi mocarzami twórczości.

Nie dałbym wcale dowodu odwagi cywilnej zapewniając, że w pracy tej nie będę się rachował z wrażliwością Sienkiewicza na krytykę, z jego na nią reagowaniem, albowiem i jedna i drugie równają się zeru. Dowód tej odwagi znajdzie jednak czytelnik w innym zapewnieniu: nie będę się rachował z własnymi poprzednio kiedykolwiek wygłoszonemi o dziełach Sienkiewicza zdaniami, które zresztą od dzisiejszych nie różniły się nigdy zasadniczo.

Przed trzema laty napisałem był »sylwetkę« Sienkiewicza, której studyum niniejsze jest tylko rozwinięciem, ściśle wiernem co do ducha. Gdy jednak egzemplarz rękopisu jedyny zaginął w cudzych rękach, woła-

łem na razie zwrócić pieniądze wydawcy, niż pisać nanowo. Tak stały zamiar powrócenia z czasem do tej samej pracy pozostałby może na zawsze zamiarem, gdyby zachęty kolegów i przyjaciół nie przekonały mnie, że nawet taka robota o Sienkiewiczu nie byłaby zbytęzną, że moja pewność swoich myśli powinna przewyciężyć raz jeszcze niepewność siebie. Wreszcie rozmowy uwyraźniały mi nieraz własne poglądy i poczucia, pogłębiając je, zdarzało się zaś, że mi wskazywano właściwszy punkt widzenia tego lub owego szczegółu. Niejeden nastrój mój z rozmowy przeszedł do tej pracy. To też poczuwam się do obowiązku podziękowania, wymieniając jednak nazwiska wyłącznie tych, których to nawet zdziwić nie może, jako nieobcych farbie drukarskiej: Helena Ceysingerówna, Ignacy Chrzanowski, Marya Filipowiczowa, Kazimierz Gliński, Ludwika Godlewska, Józef Hłasko, Władysław Jabłonowski, Jan Karłowicz, Mieczysław Karłowicz, Bolesław Koskowski, ś. p. Stanisław Łaguna, Ignacy Matuszewski, Ostoja, Laura Pytlińska, Stanisław Pytliński, Aleksander Smaczniński, Cecylia Walewska, Zygmunt Wasilewski, Stanisław Witkiewicz.

Dziękuję więc.

I.

Nie czas jeszcze na stosowanie metody Sainte-Beuve'oskiej do Sienkiewicza — oby żył wiecznie! — wolno jednak zawsze w dziełach pisarza dopatrywać się duszy ich, duszy co je ożywia, w danym zaś wypadku to więcej niż wystarcza: takie one przezroczyście tą przezroczyością, na którą składają się bezpośrednio, szczerłość i prostota. Zdaje mi się, że duszę tę widzę całą dziś dopiero po odczytaniu odrazu w porządku chronologicznym pism Sienkiewicza, jako rozdziałów wielkiego poematu, gdzie ona jest bohaterką.

Czytać bowiem dzieła pisarza z przerwami w ciągu lat całych — jest to oglądać każdą z osobna część posagu bohatera, tak jak czytanie urywkami jest względem całej powieści tem, czem patrzenie na kawałki pociętego obrazu.

Studyując dzieła poetów nigdy nie umiałem się wstrzymać od wyobrażania sobie, jak wyglądałby sam twórca w sytuacjach swoich bohaterów, i w różnych czasach, i w różnych sferach. Dzieło bezdarne nic nie mówi o autorze, ale za rzetelnie natchnionemi stoi dla oka zachwyconego sama dusza twórcza artysty, niby za pryzmatem, co nie tai, jak załamują się w nim promienie.

Niekiedy najnamietniejsze słowa miłości zdradzają duszę czystą i marzycielską, a w najidealniejszych drży zmysłowość tłumiona. Tu rozpalające słowa bohaterskie nagle ci nasuwają pytanie, czy autor pierwszyby nie rzucił tarczy na polu bitwy, innego zaś skromna prostota kryje i odsłania zarazem męztwo niezłomne. Tu w zaciekanianach się filozoficzno-psychologicznych myśli czujemy ciasną praktyczność serca, tam w pesymistycznej wzgardzie dla życia szaleje przerażona myśl o konieczności śmierci, ówdzie w zimnej i cynicznej wzgardzie dla miłości płonie namietne marzenie o wiecznym kochaniu.

Czasem znów się słyszy w brzmieniu słów ważność dukatową czynu. Wtedy przypomina się myśl Carlyle'a, że bohaterstwo właściwie jest jedno, tylko się różnie przejawia.

Oto wielki prorok gdyby zbawienie ludu tego wymagało, mógłby się okazać wielkim wodzem lub królem, a genialny reformator nie mając wobec ducha czasu lub przeszkód czy okoliczności żywiołowych nic do reformowania, mógłby wyśpiewać pieśń, któraby pchała przyszłe bohaterzy, pomimo ich świadomości, do wielkich czynów.

Otóż co do Sienkiewicza, to zamknąwszy książkę i otarłszy łzy zachwyty czy wzruszenia, wierzę bezwzględnie, że w tej lub owej sytuacji zrobiłby on to samo, co najwyraźniejszy i najsympatyczniejszy z jego bohaterów, jeżeli nie więcej. — Ta wiara nie ze złudzenia artystycznego płynie, ale za to czyni je niemal rzeczywistością. To też kiedy myślę o jego duszy, to darmo zdaję sobie sprawę z ogromnej sławy jego w mie-

ście i świecie, z wpływu niesłuchanego, jaki dzieła jego wywierają...

Taka świadomość siebie samego, swej siły, taka wyobraźnia obok takiej znajomości zarówno pojedynczych jak i zbiorowych jednostek ludzkich, takie skupienie duchowe obok takiej siły woli — źródło niechybne panowania nad ludźmi i wypadkami — takie rozumienie swoich obowiązków, takie widzenie celów obok takiej niezłomności w dążeniu do nich — wszystko to odczute w działalności jego pisarskiej, każe wierzyć, że niema przeznaczeń, któreby dla niego były za wielkie.

Gdyby żył w czasach, jakie opisuje, byłby wielkim rycerzem, wielkim wodzem, wielkim mężem stanu, któryby historię i poemat robił, zamiast je pisać. Ani wątpię, że w jego piersi mieszka duma ogromna, ale nie za wielka, bo nie przewyższająca nietylko siły duchowej i poczucia obywatelskiego, lecz oczywiście nawet zasługi.

Nie chciałbym być posądzonym, iż myślę, że w wyrazach: »temperament bojownika« powiadam już coś zupełnie określonego o temperamencie twórczym Sienkiewicza. Kto przeczytał dzieła jego, temu mimo-wolna chociażby i nieświadoma analiza ideowo-artystyczna samej »Trylogii« odkryła w tem pojęciu całą gamę pojęć — od ślepego zapалу żołnierza, gotowego każdej chwili dać życie dla tej chociażby milionowej części honoru i sławy ogółu, której jest nosicielem, aż do panowania nad sobą wodza i męża stanu, który musi gaz wybuchowy zapalu skupić do twardości bryły, mocnej choćby cały ciężar gmachu dźwignąć na sobie. Taki się nie zapamiętywa, lecz zdaje sobie ze wszystkiego sprawę i wszystko obrachowywa natchnieniowo, pomny,

że jest kamieniem węgielnym, że każda myśl jego prze-
radza się w stal honoru i sławy dla tysięcy. Taki
musi być oportunista, tem się tylko różniącym od tych,
którym dla wzgardy tę nazwę rzucamy, że cele jego
wielkie u Boga a środki genialne i szczytne u ludzi.

Karol XII, narażający losy, honor i sławę armii
swej i państwa dla satysfakcyi strzelania do biwakują-
cych przy ognisku kozaków, okazuje wielką swą niż-
szość w porównaniu ze swym przeciwnikiem, zdaje się
błądnem, jakim byłby książę Jeremi, bijący się w poje-
dynkę z watażkami kozackimi, kiedy wolno mu było
narażać się na śmierć chyba aż tak wielką, jak wielkie
było to, co uosabiał.

W całej literaturze świata nie znam wyrazistszego
objawienia essencyi wszelkiego możliwego temperamentu
bojownika, we wszelkiem możliwym znaczeniu tego wy-
razu, — jak u Sienkiewicza. W tej chwili ze stu przy-
kładów przychodzi mi na myśl nastrój Zbyszka («Krzy-
żacy») w pojedynku z Rotgierem. Jak się to zawsze
dzieje z momentami najwyższej prawdy psychologicznej
uderza to wyobraźnię, jak obraz nagły, a myśl — jak
wieczny symbol. Nie mogę się powstrzymać od przy-
toczenia tego »wiecznego symbolu« wszelkiego bojowa-
nia, jakem to nazwał: skojarzenie wrażeń i myśli, wbrew
wszelkim przepisom krytycznym, każe mi w pierwszym
rozdziale mówić o tem, na co niby miejsce byłoby
w ostatnim.

Zbyszko płacze i szaleje, kocha i nienawidzi przed
bojem, ale walczy tylko dla zwycięstwa. Rotgier w po-
jedynku »z pod stalowego okapu widział zaciśnięte
nozdrza i usta przeciwnika, a chwilami błyszczące oczy,
i mówił sobie, że zapalczywość powinna go unieść, że

się zapamięta, straci głowę, i w zaślepieniu więcej bę-
dzie myślał o zadawaniu ran, niż obronie. Ale po-
mylił się i w tem. Zbyszko nie umiał uchylać się od
ciosów półobrotem, ale nie zapomniiał o tarczy, i wzno-
sząc topór, nie odsłaniał się więcej, niż należało. Wido-
cznie uwaga jego zdwoiła się, a poznawszy doświadcze-
nie i sprawność przeciwnika, nietylko się nie zapamię-
tał, ale skupił się w sobie, stał się ostrożniejszym,
i w uderzeniach jego był jakiś rozmyśl, na który nie
gorąca, ale tylko zimna zawziętość zdobyć się może.

Rotgier, który nie mało wojen odbył i nie mało
staczał bitew, bądź kupą, bądź w pojedynkę, wiedział
z doświadczenia, że bywają ludzie, jako ptaki drapieżne,
stworzeni do walki i szczególnie obdarowani przez na-
turę, którzy jakby odgadują to wszystko, do czego inni
dochodzą przez całe lata ćwiczeń, i wraz pomiarkował,
że ma z jednym z takich do czynienia. Od pierwszych
uderzeń zrozumiał, że w tym młodziku jest coś takiego,
co jest w jastrzębiu, który w przeciwniku widzi jedy-
nie łup swój, i nie myśli o niczem więcej, tylko aby
go dosięgnąć szponami.

II.

Przed trzydziestu latu postępowe koło literackie
w Warszawie ani się domyślało, jaka siła wchodzi przez
nie do piśmiennictwa polskiego. Przypuszczam, że by-
łaby ona do odgadnięcia dla tych, przed którymi ze-
chciałby Sienkiewicz głębi duszy odkryć prywatnie, ale
sprawozdaniami swojemi teatralnemi w »Przeglądzie Ty-
godniowym« lub studjami literackimi w »Tygodniku

ilustrowanym« nie wysuwał on wcale głowy ponad hufiec bojowników postępu.

Zapewne nawet w ówczesnych utworach jego dziś zobaczy kto może tak zwane lwie pazury, ale wtedy najprzenikliwsi, nie tylko całkiem bezstronni ludzie, nie osobliwego dojrzeć by w nich nie mogli. Nawet w stylu jego ówczesnym nie uderza jeszcze ta późniejsza prostota, swoboda, przeźroczystość i jędrność.

Drukowana w r. 1870 powieść »Na marne« dała Sienkiewiczowi tytuł powieściopisarza, gadanie zaś dzisiejsze, iż zwróciła ona odrazu uwagę czytającego ogółu i krytyków literackich na nową siłę literacką, jest tylko frazesem konwencyonalnym.

Mądre i śliczne »Humoreski z teki Worszyły«, wydane pod pseudonimem Litwosa wzmocniły już bardziej stanowisko Sienkiewicza wobec literatów i czytelników zgrupowanych dokoła »Przeglądu Tygodniowego«.

Humor Sienkiewicza, humor w wielkim stylu, humor artysty psychologa, nie nadawał się zbyt do feljetonów, o których tonie wysiłonego nieco choć świetnego dowcipu, przeskakującego według mody ówczesnej z przedmiotu na przedmiot, można sądzić nawet ze wstępu do »Listów z Ameryki«. Jego krytyki literackie też wartości ani powodzenia osobliwego nie miały, a dopiero w »Starym słudze«, »Hani« i »Selimie Mirzie«, jak mi się zdaje, można już wyraźnie dojrzeć wiele cech charakterystycznych oraz ideałów późniejszej twórczości autora.

Uderza tu przede wszystkim spostrzegawczość i talent rzeźbienia w mowie postaci oraz dusz ludzkich: »Stary sługa« jest sumiennym i doskonałym studium z natury, a akademik czciciel Gracchów jest już typem

godnym zająć miejsce obok najgłębszych i najwyrazistszych postaci Sienkiewicza.

Wytwornie polski, nie bijący w oczy wyrazami, ciepły i pogodny humor zdaje się tu płynąć zarówno z przedmiotu opisywanego, jak z serca autora. Niepodobna się nie uśmiechnąć na wiarę »mistrza« w doniosłość stanowiska studenckiego, na jego wzgardę dla »przesądów«, na przekonanie, że »do rządzenia światem i do wywierania potężnego na całą ludzkość wpływu człowiek najzdolniejszym jest między 18 a 23 rokiem życia, później bowiem staje się zwolna idiotą czyli konserwatystą«, ale to jest uśmiech życzliwy i radośny, zrodzony z rzeźkiego tchnienia złudzeń młodości, uśmiech wzruszenia i tęsknoty po nich. I jak ta дума z »zaciągania« się mistrzowskiego i z »małego spotkańka« godzi się z jego szczerym i głębokim zapałem dla wiedzy, który nie pozwala mu myśleć nawet ani o swojej doli osobistej, ani o zdrowiu. W tem zapamiętaniu się, w tem rwaniu się wprost do widzenia swego bez obrachowywania środków, bez patrzenia drogi, bez rachowania ofiar z własnych sił — jest cały charakter narodowy, którego najwszechstronniejszym piewcą jest Sienkiewicz. »Mistrz-akademik« wie równie dobrze, iż »życie na zewnątrz bez myśli, dla której się żyje i pracuje i walczy, jest głupstwem« jak i to, że »by żyć rozumnie i walczyć mądrze, potrzeba trzeźwo patrzeć na rzeczy«, jeno pierwszą w tych prawd czuje, drugą zaś rozumie tylko oderwanie. Jego kryształowe serce sławiańskie czuje instynktownie, że nie jest z gutaperki i że upadłszy z pod obłoków strącone zawodem mogłoby się stłuc, to też wmawia on w siebie, że nie chce ani życia, ani ideałów.

»Kochasz, oszuka cię kobieta; wierzysz, nadejdzie chwila zwątpienia; a nad badaniem przewodu pokarmowego wymoczków możesz siedzieć spokojnie do śmierci...« Ale o jednym tylko zapomniał »mistrz-trzeźwy«, że nie zdrada kobiety, ani ruina wierzeń gubią duszę, lecz przepała ją własny zapał, który pakuje w jedno jakieś przedsięwzięcie duchowe cały kapitał sił serca i nerwów, że trzeźwość polega na mądrej sił ekonomii, że człowiek, który w najniezawodniejszy interes będzie wkładał codziennie nawet ostatnie grosze, niezbędne na odzież i przeżywanie się, dorobi się mogiły, nie fortuny. To też przy pożegnaniu z uczniami frazes: »ja tam nie jestem sentymentalny« owa jego trzeźwość wymawia ze łzami w głosie. Po prostu niema się nawet pewności, że ten niedowiarek nie da się znów złapać na wierze, iż jakaś sukienka jest świętością, chociaż raz już przekonał się, że to był perkal».

Wobec pełnej blasku wypukłości, w jakiej widzę ten niby mimochodem naszkicowany typ, błędną mi i zacierają się z odległości wszystkie inne, chociaż poprawnie i konsekwentnie rysowane.

W toku wypadków czujemy duch żądny przygód rycerskich, szalone skoki konno, porwanie, gonitwa, pojedynek... Wreszcie pomijając legendę bezpodstawną, według której owa »mała trylogia« miała być tylko opracowaną po pisarsku kartką z własnego pamiętnika autora, niepodobna nie dostrzedz, jak on sympatycznie umie odczuć i zrozumieć pewne cechy duszy ludzkiej.

Wspaniale wygląda tu pycha Henryka, przyznającego się, że to mu tylko »pozwala trzymać« z Selimem, że jest od niego silniejszy; kiedy Selim, zgadując, że męką jest dlań jego bliskość z Hanią, prosi go najser-

deczniej, żeby mu powiedział szczerze, czy ów domysł jest słuszny, — Henryk powstrzymuje chęć rzucenia się na szyję przyjacielowi i wyznania swej miłości: »duma przekorna« usłyszała tylko: »żał mi ciebie« i uparcie tłumaczy on swój humor powtarzaniem: »zleciałem z konia«.

Potrafi ona i więcej: samą Hanię, »choć w duszy płakało mu sto głosów i sto najczulszych pieszczonych wyrazów na ustach« — żegna on jednym zimnym, drugim szorstkim frazesem.

Zresztą zastanawiając się wogóle nad niesłychaną wstrzeźmiewością Sienkiewicza w wyrazie gorętszych i szczytniejszych uczuć i myśli, przypomiiałem sobie nieraz jego własne słowa, zastosowane do takiego sympatycznego mu »mistrza-akademika«.

»Była to dusza dumna, choć gorąca, więc zawsze pełna obawy, by jej nie odepchnięto, gdy się komuś pierwsza pochyli«.

Zdaje mi się, że to wszystko, co nam w dziełach jego serce zapala i łzy wyciska napisał on dopiero poddawszy sobie hipnotycznie, że mówi do własnej duszy, do bóstwa, lub co najwyżej do duszy zbiorowej »społeczeństwa« — do idei. Zapewne, życie samo coraz bardziej zachęcało tę jego dumę do obwarowywania się, bo tu bądź co bądź częściej niż potem można odnaleźć jakieś omal nie sentymentalne poematowe zakusy, jak n. p. ów długi ustęp, rozpoczynający się od słów »kochalem ją« (»Pisma« t. I, str. 115—116) lub ten inny, gdzie Henryk powiedziawszy: »myślałem... że to już zbliża się śmierć i uspokojenie wielkie a lodowate« — dodaje natychmiast: »Zdało mi się, że ta posępna grobowa władczyni bierze mię w swoje posiada-

nie, więc witałem ją spokojnem, szklistem okiem. Skończyło się — myślałem«. »Ale nie skończyło się nic« — wtrąca jakby mimowoli humor autora.

Jakąż to szkołę surową pod dozorem własnej świadomości musiał przejść pisarz, żeby dojść do tego, że w tomach całych późniejszych niepodobna czasem znaleźć jednego wyrazu niepotrzebnego, kiedy tu jeszcze napotykamy okresy całe zbyteczne. Tak n. p. mówiąc o chłopcu, którego zarówno wiek i usposobienie musiał już poznać czytelnik, i opowiedziawszy o czynie, który sam stokroć lepiej od frazesów oderwanych charakteryzuje, autor dodaje: »Był to ślub młodego egzaltowanego chłopaka« i t. d. (str. 26 i nast.). W tych młodzińskich utworach czaruje już właściwe Sienkiewiczowi poczucie natury, dar chwytania nastrojów w rzeczach. Cudnym jest ów świt wiejski w powrocie chłopców ze szkół do domu, a kiedy się oni już zbliżali do Chorzela »z minaretowej wieżyczki ozwał się smętny a śpiewny głos muezina zwiastujący, że, noc gwiazdzista spada na ziemię i że Allah jest wielki«. Jednem słowem tu w paku cała niemal dusza twórczości Sienkiewicza.

Mówiłem już o marzeniach rycerskich, które tak wyraźnie brzmią w słowach ojca Henryka, gdy wyprawa syna na pojedynek z Selimem: »Niech cię prowadzi Bóg ojców twoich, idź bić się z Tatarem«. (Nawet po takim frazesie Sienkiewicz wykrzyknika nie postawił).

Wogóle duch tradycji rycersko szlacheckich ma tu już jeśli nie świątynię, to piękną kaplicę. Nie brak też cudnych nastrojów religijnych, które wielu krytykom zdały się dopiero w »Rodzinie Połanieckich« zwrotem. Tymczasem już tu przy modlitwach wieczornych

ze starego obrazu »ciemna twarz Matki Boskiej z dwoma cięciami szabli na policzku poglądała dobrotliwie, zdawała się brać udział w rodzinnych troskach, doli i niedoli i błogosławić wszystkich u Jej stóp zebranych«. Sercu Henryka, zachwyconemu wspomnianem przed chwilą świtem, »zdawało się, że wszystko budzi się, żyje i że cała okolica śpiewa: Kiedy ranne wstają zory, Tobie ziemia, Tobie morze...«

Ani o włos więcej nie było sensu w pretensyi postępowego obozu do Sienkiewicza o odstępstwo społeczne. Już w cytatach powyższych wyraźnie znać nie rachowanie się z jego duchem ówczesnym, a materyalizm traktuje Sienkiewicz jako mrzonkę młodzieńczą — nie bez humoru. Cienia jakichś tendencji społeczno-naukowych w stylu ówczesnego »Przeglądu Tygodniowego« tu nie widać. Wogóle powiedziałbym, że wszystko co jest w Sienkiewiczu siłą, kazało mu zawsze kochać społeczeństwo swoje ponad formułkami partyi, niezależnie od granic czasu... I to nie zasługa, jakem to niewłaściwie powiedział, tylko przeznaczenie.

III.

Amerykańska epoka w życiu Sienkiewicza jest szeregami wyraźnych ilustracji tej prawdy. Dowcip iskrzący się i wytworny po hejnowsku chłoscze wady swego społeczeństwa z obczyzny tylko przez pierwsze rozdziały owej pierwszej wycieczki na zachód. Potem okres namiętnego spostrzegania i rozmyślania nad swojemi spostrzeżeniami zastępuje myśl niemal nieustanna, a życzliwa i gorąca o swoim kraju, myśl, która powoli

wypełnia całe prawie życie wewnętrzne podróżnika o »trochę cygańskiej duszy i nigdzie nie mogącego zagrzać miejsca«.

Mówiąc nawiasem, ta »cygańskość« jest poprostu słuchaniem głosu pewnych sił duszy, domagających się, pomimo świadomości nawet, wejścia w życie. To odwaga szuka niebezpieczeństw i panowania nad niemi, to zdolność do odczuwania wrażeń potężnie pięknych i wielkich rwie się z nad stojącej wody pospolitości, do jakichś nieznanych uroków egzotycznych.

Usłyszawszy wśród cudnej Anaheimskiej doliny, gdzie go najpiękniejsze, choć piegowate seniority skutecznie uczyły po hiszpańsku, że hen daleko ku góróm, zamykającym horyzont są »indyanie, lwy górskie, niedźwiedzie i Bóg wie nie co« — pisze on natychmiast w księdze zamiarów: »pojadę«.

Pod wichrem wrażeń potężnych dusza jego się skupia tak, jak myśl dojrzewała w miastach wobec nowych zupełnie a imponujących form życia społecznego. Moc własnych skrzydeł i upojenie bezmiarem przekonania go, że naprawdę jest orłem, nie zaś kurem, któremu Bóg wie dlaczego się marzyły górne sfery. Czuje on tam »skrzydła u ramion i żal mu się robi młodych lat marnowanych na bruku miejskim, w małym kółku zajęć, spraw a często wśród małych ludzi«.

Człowiek i artysta zmęźniał, a zmęźniałe serce i wyobraźnię wnet zwrócił do rodzinnego kraju, jakby w myśl owego »widzę i opisuję«. I oto odzywa się coraz częściej nietylko od notowania myśli i spostrzeżeń o nowym świecie, ale nawet od wchłaniania wrażeń, by przynieść duszę utęsknioną do rodzinnych pól, wiosek

i dworów. »Latarnik« jest wspomnieniem właśnie tej tęsknoty zaoceanowej.

W Anaheimskiej dolinie pisze Sienkiewicz »Hanię« i »Selima«, za oceanem też rodzą się »Szkice węglem«, słane do kraju z myślą o »echu jakie utwór ten w swoim czasie obudzić może«.

Obudził głośniejsze pewno, niż się autor spodziewał. Publiczność porwały — zarówno werwa humoru, przenikająca tok początkowy opowiadania, jak i prawda postaci i sfery, jak i pełny prostoty w wyrazach a groźny w treści koniec tragiczny, jak i gorące współczucie autora dla ciemnoty, biedy i nieszczęścia chłopą, takiego dobrego i do pracy i do wypitki...

Ale w dodatku obóz postępowy został zdobyty naturalnym sensem moralnym opowiadania: oto ginie uczciwa i pracowita rodzina chłopska z powodu najbłahszej intrygi nędznika (który jest mówiąc nawiasem typem-arcydziełem), bo ci co z największą łatwością mogliby ją ratować radą lub wstawiennictwem, wolą się nie wtrącać dla własnego spokoju w »chłopskie sprawy«, lub żałują drobnej fatygi. Biedny chłop jest jak ryba, której brak ręki, żeby oderwać pijawkę, co się oka uczepliła.

I ów pocziwy obywatel, co zgłodniała i zrozpaczoną kobietę bezlitośnie trzyma u wrót dzień cały, i owa piękna para młodych są tu tak oprawieni, jakby umyślnie do pręgierza.

Za ten pozór nienawiści kastowej darowano autorowi nawet zachwyty Rzepowej w kościółku wiejskim, nieustępujący pięknem wyrazu i mocy nastroju nawet opisowi wrażeń Kmicica w Częstochowie, przewyższający zaś pod tym względem nieskończenie ową mszę »Polanieckiego«.

Jeszcze wyraźniej, bo mniej naturalnie wynikająca z rzeczy samej, gorycz owa publicystyczna zdawała się występować w »Janku muzykancie«, też piętnującym niedbalstwo, wzgardę czy obojętność klasy obywatelskiej względem chłopca.

Bardziej, niż za co innego, za tę tendencję, godniejszą publicystyki, niż sztuki, gotowa była większość wielkości ówczesnego obozu postępowego urzędowo uznać w autorze rzetelnego pisarza. Wiadomo, że sława »Janka muzykanta« np. wielu naśladowcom spać nie dała — bez pożytku dla sztuki, ile zaś łez wylało się nad tym chłopcem ginącym od chłodu a złości serc ludzkich!... Więcej nawet, niż nad owym dziewczątkiem, które zabija mróz a mają zjeść wilki (»Jamioł«), lub nad innym chłopięciem, ofiarą bezduszości urzędowej szkół niemieckich w Poznańskim (»Pamiętniki nauczyciela«).

Znalazło się na nieszczęście zbyt dużo ludzi, wedle których kto raz powiedział, że chłopska nędza może wyniknąć z wad szlacheckich, winien już to w kółko powtarzać do końca życia, jeśli nie chce odstępcą być okrzykniętym. Tymczasem odpowiedzieć wymaganiom podobnym mogłoby oczywiście tylko człowiek o ciasnej głowie i ciasnym sercu, nie zaś artysta wszechstronny, zdolny sercem objąć cały naród z jego przeszłością i przyszłością, a obdarzony siłami, które musiały koniecznie rozsadzić klatkę skleconą z jakichbykolwiek formułek partyjnych.

Dla uniknięcia nieporozumień pozwolę sobie powiedzieć parę słów o formie i barwie szkiele, przez które na tę kwestję patrzę. Grubo by się pomylił ten, kto by przypuścił, że chcę spostonować obóz postępowy z czasu około 80-go roku. Bynajmniej. Ani mi się śni zaprze-

czać mu doniosłości znacznej reformatorskiej względem społeczeństwa i literatury, myślę tylko, że wielkim błędem był jego stosunek późniejszy do Sienkiewicza.

Jeszcze więcej by się pomylił, kto by wątpił, że w mojem przekonaniu jądrem narodu jest lud, pewien jednak jestem, że Sienkiewicz myśli tak samo, a kocha lud nasz nie tylko więcej odemnie, ale od wielu a wielu z tych, którzy urągali mu tak długo pretensjami o przejście rzekome »do innego obozu«, kiedy naprawdę on przeszedł tylko ponad wszystkie obozy.

Wierzę, iż stosunek serca jego do ludu pozostał ten sam przez cały ciąg jego żywota literackiego. Już sama »trylogia mała« dowodzi, że jeszcze Litwosową wyobraźnię przenikały tradycje szlachecko-szlacheckie, wręcz niezgodne z nienawiścią ślepą do całej »kasty«, co nie przeszkadzało mu odczuwać sercem cichego uroku wioski. Możliwość powiedzieć, że bez chłopca i chaty jego nigdy niema dlań kraju rodzinnego. Oto jak przychodzi mu on na myśl w okolicy Santa-Jez na pokładzie okrętu, owiewanego od brzegu zapachem pomarańczy i heliotropów, pod cudnem niebem wyiskrzonym.

»U nas teraz zima, robi się właśnie ranek, wioski zasypane śniegiem; dachy białe, sine dymy z kominów wznoszą się prosto ku górze; po ogrodach gałęzie zasute szronem rysują się nieruchomo i milcząco; przed chałupami skrzypią zamarzłe żórawie studienne, a stada wron łopotaniem skrzydeł i zwykłem: kra! kra! budzą tych, co jeszcze śpią«. Czyż to nie tęsknota, przypominająca owo rwanie się duszy w Afryce do swoich gwiazd od »obcego« krzyża południowego?

Ale jeżeli ów świt (»Hania«) upajający wracają-



cych ze szkół chłopaków, nosi tę samą cechę, to wrażenia Połanieckiego w pierwszym zaraz rozdziale powieści nie są wcale inne, tylko obrazy, jakie go uderzają, są wyraźniejsze i bardziej czarodziejskie, a zaś rozpoczęta od czaru wsi powieść, kończy się tem, że »ta wieś bierze Połanieckich w siebie, że poczyną się zawiązywać jakiś stosunek między nią a nimi, i że od-tąd życie musi im płynąć tu, a nie gdzieindziej pracowite, oddane »służbie bożej« z ludem — na roli«.

Nawet ongi, kiedy Sienkiewicz zdawał mi się nie najbardziej ideowym pisarzem, lecz artystą bez domieszki, a więc kiedy z konieczności nasuwać mi się musiało pytanie: »czy tego nie podyktował konwenans, skoro nie mogła poddać harmonia czystej sztuki«? — nawet wtedy nie zdałoby mi się możliwem wątpić o pragnieniu autora, jako człowieka, ażeby »Rodzina Połanieckich« nie była rodziną Skorabiewskich ze »Szkiców«.

Rozumie on niechybnie w gruncie rzeczy tak samo godziwość i niegodziwość stosunków pomiędzy dworem a wsią, tylko wolałby może w granicach możliwości wystawiać więcej dobro właśnie dla zbudowania, niż złe dla obrzydzenia, że zaś ta pierwsza metoda pedagogiczna więcej jest warta, nikt chyba nie zaprzeczy. Ostatecznie głowy nie zawahałbym się oddać każdemu, który mi wskaże w dziełach przyszłych chociażby, Sienkiewicza, cień bluźnierstwa ludowi, albo też ślepe uwielbienie dla arystokracji.

Gdziekolwiek go widzimy w dziełach Sienkiewicza z drugiego okresu, wszędzie budzi w nas chłop litość swoją ciemnotą i biedą, albo też radosną sympatyę — jędrnością i prostotą swej natury.

W wielkiej zaś swej trylogii beztrendyjnie chyba

przedstawia autor małoduszność, obojętność na naj-świętsze swe obowiązki i sprzedajność »panów książąt i magnatów« — kiedy lud wierny potopem swoim grozi potopowi szwedzkiemu, kiedy robotnicy w Warszawie wolą ginąć w mękach, niż budowaniem fortów przyczyniać się do wzmocnienia stanowiska Szwedów, kiedy rzemieślnicy gromadzą broń, czekając tylko hasła do wybuchu przeciw przybłedom z za morza.

Nie, pomimo całego swego omal nie greckiego kultu piękna, Sienkiewicz nigdy chyba nawet sobie samemu nie powiedział: »myślałem, że jego siermięga to świętość, a to był tylko przeпоcony samodział«.

Ale wróćmy do owej epoki amerykańskiej.

Krytyka i plotka tyle sobie nałamały głowy nad rozdymaniem znaczenia wpływów zewnętrznych, które przyczyniły się do stworzenia »Ogniem i mieczem«, tymczasem zaś w »Listach z podróży« znajdujemy ślad, wypalony przez ówczesne płomienno-przeźroczyste marzenia Sienkiewicza o »stepie najezonym mogiłami«.

»Step (po drodze do »umarłego lasu«) poczynął mnie nużyć i męczyć, bo to nie nasz step ukraiński z kurhanami, ze swoją tradycją poetyczną. Na Ukrainie wiatr niesie jakoby z drugiego świata odgłosy »Alła« i »Jezus Marya« i huk samopałów i rżenie koni, słowem tam step ma swoją żywą duszę... mówi i śpiewa cały, jak szeroki i długi... buja, kołysze się... żyje; tam jeźdźcy »w trawach pławią się po pachy...«

Nie będę próbował ściśle określić naukowo-społecznej wartości »Listów z podróży«, bo to nie moja rzecz. Wiem tylko, że czytając je wyczuwam całą odrębność charakteru artystycznego miast, osad, puszczy, stepów, gór i wód tego dziwnego ładu. Możem czytać

dokładniejsze jego opisy — z punktu widzenia albo socjalnego, albo geologo-etno-geograficznego, albo z punktu widzenia historii naturalnej, ale wyobraźnia moja nigdy wyraźniej całości nie widziała. Jeżeli dodać do tego najwyższy urok: nieustanne wyczuwanie piękna i wzniosłości duszy autora w niesłychanej prostocie jej i szczerości — łatwo się zrozumie zapał, z jakim »Listy« przyjęte zostały przez publiczność.

Po powrocie z »Podróży« Sienkiewicz był już pisarzem, którego utworów czytanie stało się obowiązującym inteligentnego Polaka.

IV.

Jak w historii wiara, że jakiś wielki doniosły cywilizacyjny przewrót w narodzie mógł się stać w jednej chwili — dowodziłaby ciasnoty pojęć, tak krytyk dowodzi tylko niezdolności objęcia myślą całej duszy pisarza przypisując powstanie jakiegoś wielkiego dzieła wpływowi zewnętrznemu chwili. Tworzy sama treść ducha artysty, okoliczności zaś mogą tylko przyspieszyć lub opóźnić ujawnienie się dla ludzi tego, co artysta stworzył w sercu swoim.

Szczególnie jednak nierozsądnem zdaje mi się do szukanie zewnętrznych pobudek do stworzenia »Trylogii«.

Widzieliśmy błyskawicę uroków ukraińskich, prze-latującą przez duszę jego w epoce amerykańskiej; widzieliśmy jeszcze w »małej trylogii« duch szlachecki przygód rycerskich, duch odwagi, dumy, miłości kraju i wierności Kościołowi.

Wkrótce po powrocie z Ameryki, obok »Za chlebem« i »Bartka zwycięzcy«, pisze on »Niewolę tatarską«, gdzie znać, że owa bohaterska przeszłość, kiedy się to »krwią szafowało jako magnat złotem«, coraz wyraźniej i namiętniej mu się marzyć zaczynała.

Oczy mu się zamykają chwilami na teraźniejszość, a nabrawszy w pierś rozdętą wichru ze stepów niezmiernych, wstrzymuje on dech, wsłuchuje się w lecący od nich »huk samopałów, szczęk szabel, rżenie koni, furkotanie chorągwi na wietrze i krzyki żołnierskie« oraz w pieśni rycerskie lirników. Od skrzydeł usarskich taki mu »szum idzie jakoby od orłowych«; maże czumackie skrzypią, płosząc konie przejezdnych rycerzy, a od wojsk niknących w dali, »wiatr niesie rozhovor, jakoby od burzy dalekiej«.

Tu znajdujemy jakby studia poetyczne gwarów i zgiełków wojennych i myśli, i uczuć rycerskich. Tu już przodkowie rycerzowi wołają z za świata, głuszając nawet tęsknotę za ukochaną: »imię nieskalane zachowaj, ojcom dorównaj, złam się, nie zegnij«. I wszędzie się czuje poprostu miłość dla potężnych postaci żelaznych i dusz prostych a niezłomnych.

W tych czasach odległych same nawet niektóre przesady szlacheckie sympatycznymi się zdają autorowi. Tak n. p. zastanawiając się nad pohańbieniem swoim w »Niewoli tatarskiej« Zdanoborski przypomina sobie, że »Chrystus, choć z królewskiego rodu będąc, większą jeszcze poniewierkę cierpiał, chcąc przez to stanowić szlacheckiemu okazać, że godność krwi zaczęj nie cierpieniem, jedno strachem przed cierpieniem się kala«. Namowy zaś towarzyszy niewoli, aby udał, że proroka przyjmuje dla polepszenia bytu sobie i im, bu-

dzą w nim tylko refleksye, że »Bóg nie urodzonym ludziom odmówił honoru i baczniejszymi ich na wygody doczesne uczynił«. Przekonania takie nie przeszkadzają mu jednak ocenić zalet rycerskich ludu ukraińskiego.

Jednem słowem w całości utworów t. zw. okresu pierwszego znajdujemy już na pół rozwinięte wszystkie te siły, które miały stworzyć »Trylogię« za wyjątkiem jednej, której zarodka możnaby może dopatrywać się *post factum*, ale którego wykrycia *ante factum* poprostu nie mogę sobie wyobrazić: mam tu na myśli najwyższą cechę twórczości Sienkiewicza, cechę, wobec której ci, co zwali go naszym Scottem albo naszym Dumasem, poprostu zaznaczali tem własny brak przenikliwości lub zacierzwienie.

Nigdzie cecha ta nie występuje z taką wyrazistością jak w »Ogniem i mieczem«. Skarżą się biedni ludzie, że ta lub owa postać, którą oni w myśl konwensu gwałtem za bohatera lub bohaterkę powieści chcą uważać, przedstawia się im blado, skarżą się, nie zdając sobie sprawy, że tam wszyscy bohaterowie romantyczni, że tak powiem, i charakterystyczni, są naprawdę tylko figurami z drugiego planu, bo pierwszy cały należy do bohaterów rzeczywistych: ludów i idei.

Inni pisarze pozwalają nam wyrozumieć ducha jakiegoś czasu, lub nawet my sami wyrozumiewamy współczesność, składając charakter jej z drobnych szczegółów odczutyh, z pojedynczych postaci, pochwyconych wyobraźnią lub sercem. Sienkiewicz zmusza nas do odczucia niby bezpośrednio (bo jakby bez pamięci na postaci pojedyncze) grozy i mocy żywiołowej, i piękna

olbrzymiego i życia nietylko w narodach całych, lecz nawet w ideach, co je uduchowiają.

Od pierwszych zaraz stron przed okiem duszy czytelnika roztacza się żywy a bujny, żyzny a krwią wciąż polewany, niezmierny a kurhanami znaczony, czarodziejsko piękny a tajemniczo groźny step ukraiński, pełny odgłosów bojowych i gonitw, i wielkich a tęsknych pieśni, które wichur żenie wraz z brzękiem broni i upajającą ziół wonią. Potem staje przed nami cały ten lud duszą i ciałem bujny, butny i chytry, dziki i smętny, okrutny i dobrotliwy, a przede wszystkim rycerski i poetyczny, szalony i piękny.

Dalej potworne zarówno w swej krwiożerczości drapieżników, jak w fanatyzmie wyznawców tatarstwo, bystre, zwierzęco przebiegłe i to zwierzęco tchórzliwe, to zwierzęco mężne.

I staje przed nami, niby żywy, bujny duch swobody, gotowy to smętnie się skarżyć na krępującą go cywilizację słowami starej dumy: »chcą las — hej! wyrąbać, stepy — pola — hej! — zaorać« — to znów zrywający się, by potokami krwi splukać coraz bardziej w głąb kraju posuwające się placówki tej cywilizacji — wsie, zamki i miasta.

Nadmiar siły żywiołowej w tym ludzie, rozpętany a niezaprężony do żadnej świadomej roboty cywilizacyjnej, przeradza się w bezwzględną wzgardę śmierci w szaleństwie życia, w niepohamowaną żądzę przygód, która go gna to na Krym, to na Turcję. Ordę Tatar przelatuje stepy ku najgroźniejszemu niebezpieczeństwu dla hurys rajszych w razie najgorszym, a dla hurys i łupu i jasyru na ziemi w razie najlepszym. Znosi on skarby zrabowane, spędza niewolników do Krymu, by

budować domy i kupować stada i łaskę najbliższych rabów chanowych. Tatarstwo — to organizacja nietylko dla najazdów, lecz i dla korzystania ogólnonarodowego ze zdobyczy.

Ale kozactwo zna organizację tylko w pochodzie, pokój poświęcając wyuzdanej swobodzie indywidualnej w trwonieniu bezrozumnym za cenę krwi kupionej zdobyczy. Czy Kozak dla niej szedł zająrzeć w oczy śmierci? On szedł tylko dla rozprostowania zdrętwiałego w pokoju ducha, dla ulania właśnie trochę krwi rozsadzającej żyły, dla orzeźwienia się zgiełkiem i grozą. To też garście dukatów rzucał Kozak po pochodzie na wódkę niewyszumowaną, suknie z materii najdroższych maczał w diegiu, a piękne branki po zabawie ścinał.

Moc jasnowidzenia Sienkiewicza w odtwarzaniu jednostek zbiorowych zdaje mi się poprostu nieporównaną. Sicz, cała rada koszowa i »towarzystwo«, watahy chłopskie i regularne pułki kozackie, i armia Chmielnickiego, i tabory tatarskie — wszystko to obejmujemy wyobraźnią, którą nam przedziwnie proste ale tajemną jakąś siłą przeniknione słowa rozszerzają rozświetlając. Na wszystko musimy tam spojrzeć ze wszystkich możliwych najdogodniejszych punktów widzenia: zblizka i zdaleka — wszystko musimy odczuć, jakby każdy z nas był nietylko współczesnym poetą lub rycerzem, lub mężem stanu, lecz jakby był sobą i narodem zarazem.

Należy tylko dodać, że każda taka całość zbiorowa jest dla nas jedna w swej złożoności lecz nigdy jednostajna. To nie konwenansowe symbole, chwytające tylko charakter dominujący, lecz żywe organizmy o tysiącu niby sprzecznych nawet często drgnięć i rysów,

z których jeno wyłania się sama treść mocy i ducha, jako księżyc ze stada obłoków. To nie melodia sama, lecz morze dźwięków, w którym owa treść mocy i ducha zharmonizowuje najniemożliwsze pozornie dyssonanse.

Cóż mam mówić o majestacie najmilszej bohaterki tej wielkiej epopei? Muza Sienkiewicza zarówno ją, jak wszystkie inne bohaterki widzi bosko sprawiedliwym okiem. Nie zna ona tendencyjności — ani arystokratycznej, któraby chciała się zniżyć do koloryzowania pychy magnatów, nie prócz wielowładnego egoizmu nie mających na celu; ani ogólnoszlacheckiej, idealizującej lenistwo, opilstwo, obżarstwo i warcholstwo; ani wreszcie demokratycznej, zabraniającej widzieć cokolwiek dobrego w tym lub owym szlachcicu lub magnacie.

Harmonia to i równowaga sprawiedliwości, zrodzonej z ukochania całego narodu, całą duszą. Sercem i wyobraźnią czujemy tu Rzeczpospolitą taką, jaką rozumowi naszemu przedstawia bezstronna i ścisła krytyka historyczna największych uczonych współczesnych...

Olbrzym uśpiony w poczuciu swej mocy, woli cofnąć rękę lub nogę ugryzioną, niż się dźwignąć z drzemki. Unosi rękę nareszcie, co wnet opada, bo nie natężone mięśnie nie chcą się bronić przeciw słabszemu ale energicznemu ramieniu. Zaledwo senne marzenia bohaterów zaczarowanego olbrzyma wcielają się kiedyś, by z łopotem proporców i szumem skrzydeł uderzać i tratować hufce najeźdźców, ale olbrzym nie chce się choćby na chwilę przebudzić, żeby sobie korzyść lub choć spokój z tryumfu tych marzeń zwyciężkich zapewnić.

I sny sławy mijają, jak sny, i zmieniają się snami

upokorzenia, nawet hańby, ale sen trwa. Dopiero z drzazgą stalową aż serca sięgającą, ocknie się, wstanie, roztrąci nawałę i znów legnie na sen jeszcze głębszy, nie dbając nawet o zatamowanie krwi.

I w tej »wielkiej trylogii« mamy i niedołączne ruchy i gwałtowne rzuty przez sen, i grozę przebudzenia się i archanielski majestat kroku...

V.

Tajemnicę tworzenia w jednej osobie — człowieka i wcielenia idei tylko najwięksi artyści zdołali wykraść Bogu. Te dwie cechy w wielu postaciach Sienkiewicza łączą się, jak w rzeczywistości. Myślę w tej chwili o Jeremim Wiśniowieckim, Bohdanie Chmielnickim, Januszu Radziwille i Kordeckim. To są niby olbrzymie symbole i ideje, a tymczasem postacie ich ludzkie w każdym momencie widzimy tak, jakbyśmy na nie oczyma ciała patrzyli w podziwie, za którymby stało uwielbienie lub strach.

Książę Jeremi — to wcielenie mocy, geniuszu, dumy, honoru i bohaterstwa Rzeczypospolitej, które Sienkiewicz każe nam widzieć oczami wojsk i ludów, a wielbić sercem całego wielkiego narodu.

Postać to nawskróś natchniona. Sienkiewicz nie poprzestaje na opowiedzeniu, jak wojsko czciło go i kochając drżało przed nim, jak posłowie zagraniczni mieszcali się przed jego jasnym, niby słodkim a pełnym tajemnej mocy spojrzeniem, jak spokojny lud wielbił w nim sprawiedliwego i dobrotliwego pana, a zbuntowany,

choćby na drugim krańcu krainy, drżał na dźwięk jego imienia.

W szeregu scen i szczególnie tych dziwnych opisów niby analitycznych, które są czemś średniem między mową porywającą mówcy, kartką z historii a pieśnią z poematu — każe nam odczuć Sienkiewicz urok jego majestatu, na który składają się i nieugiętość woli i niezłomność duszy, i geniusz wojenny, i mądrość organizacyjna administratora, i zapal rycerza.

Czytelnik od początku do końca każdym nerwem wierzy, że dźwigać losy całej Rzeczypospolitej nie byłoby za ciężko jego barkom.

Jednym z takich szczytnych w nastroju, porywających stylem, mądrych i obrazowych opisów, jest milczące pożegnanie się księcia z Łubniami i przysięga na kurlauię. Sobą też jest łaskawy i straszny książę i w bitwie pod Machnówką, i przyjmujący poselstwo od Chmielnickiego, i czytający list od Kisiela, i słuchający wieści o nominacji regimentarzy. Ów kulminacyjny moment jego walki wewnętrznej wobec alternatywy: albo poddać się pod komendę regimentarzy czyli skazać siebie na zgubną dla ojczyzny beczynność, albo też ze zgubną dla ojczyzny wzdargą zwierzchności i prawa porwać się na jej ratunek — jest u szczytu twórczości nawet Sienkiewicza.

Na zakończenie całe bohaterstwo zbaraskie — to dusza Jeremiego Wiśniowieckiego.

Chmielnicki »lew i lis, orzeł i wąż« staje przed nami niemniej wyraźnie we wszystkich tych swoich postaciach tak, że w jego odwadze szalonej czujemy mądrość i przebiegłość, w chytrłości orle poloty, w płaszczeniu się nawet — odwagę i tę właściwą mu dziwną

dumę, taką złożoną, i pełną sprzeczności, jak cała jego dusza. Chmielnicki oskarżający Tatarczuką na radzie, potem — wobec starszyny i ludu w czasie wojny, i wobec Tuhaj-beja i chana, i wobec poselstwa królewskiego, i na uczcie, i wobec najbliższych swoich — to szereg objawień historyczno-artystycznych.

Janusz Radziwiłł jest jeżeli nie więcej, to i nie mniej wyraźny niż tamci dwaj. Jeremi — to olśniewający blaskiem swych skrzydeł archanioł wojny, widziany, jakem rzekł, oczami wojsk i ludów. W Chmielnickim czujemy dyabła może tylko chwilami na polu bitwy, jako w wodzu zrozpaczonym, co się w szalejącego żołnierza zmienia, ale w jego majestacie hetmańskim jest tyle pijanego chłopca, w pijanym chłopie tyle dzikiego zwierzęcia, co w całości jego duszy powagi rzetelnej i dobrociłości prawdziwie ukraińskiej. W księciu Januszu, w lwie męztwa, w wielkim wodzu zarówno, jak w piekielnej pychy magnacie — czujemy jakiś pierwiastek demoniczny. Dreszczem napełnia nas jego wspaniałość udzielna, prawie przeraża łaskawość sztuczna, w jego gniewie czujemy grozę żywiołową; strach nadprzyrodzony chwyta nas wobec jego walk wewnętrznych, gdzie nie ideał walczy z ideałem — jak olbrzym z olbrzymem, podczas gdy na walkę patrzą, zagrzewając ją tylko, niby żony wierne, duma i żądza czynu — ale jeden demon pychy z drugim. Kiedy ludzi Kmicica zbawieniem ojczyzny i blaskami jego własnej przyszłej świetności, zdaje się nam, że rozwiera on u stóp jego otchłani jakiejś wiecznej rozpacz i hańby. Włosy jeżą się na głowie na samo wspomnienie konania jego, na które rzucają ponure światło grozy zaziemskiej — zgryzota i roz-

pacz tak wielkie, jak zgryzota i rozpacz pierwszego buntownika.

Z innych typów »Trylogii« mniej wielkich, lecz niemniej wyrazistych, należałoby nazwać oczywiście Zagłobę i Kmicica. Pierwszy to przede wszystkim humor narodowy i zbiorowisko wszystkich wad ówczesnych szlacheckich: facecyonizm, opilstwo i warcholstwo, pod których powodzią kryje się jednak żywa i silna szczerza miłość ojczyzny i cześć dla honoru narodowego, i słowiańsko czułe i wierne serce dla ludzi; one to przy bystrym umyśle, co służy jeszcze lepiej zaletom, niż wadom, każą mu iść do dobrych i wzniosłych, nie do złych i płaskich. Gdyby Rzeczypospolitej nie spać nie przeszkadzało, byłby on tylko łgarzem i pieczenia-rzem, ale żal i ból serce jego podnoszą i oczyszczają i każą mu dokonywać czynów, z bohaterstwem graniczących. Zbyt on jest w śmiechu i sercu wszystkich, żeby się wolno było zbyt rozwódzić nad tym typem wyindywidualizowanym z najwyższym artyzmem: bardziej oryginalnego nie widział świat, ani bardziej polskiego — literatura polska.

Wielki żołnierz i zawadyka, pułkownik i warchoł, szaleniec pełny fantazyi rycerskiej i pychy wielkopańskiej czy szlacheckiej, obcy wszelkiemu pojęciu o obowiązku społecznym i karność społecznej — to Kmicic pierwotny. W czasie nie przełomowym taki mógł sobie płaszczyć wyrokami podbijać, z kordem w ręce na czele watahy szlachecko-zbójeckiej chadzać, urągając prawu lub nawet opinii publicznej. Ale oto w ciężkim »paroksyzmie«, jaki na kraj przychodzi, to potworne rozumienie swej wolności osobistej i godności, szczególnie dzięki talentom wojennym, stacza duszę jego na coraz

niższe stopnie zbrodni — już nietylko przeciw osobnikom i wsiom, lecz przeciw krajowi całemu.

Ale wtedy widok nędzy i upadku ojczyzny, zrozumienie prywaty i podłości tych, komu duszę zaprzędał, budzi w nim litość i miłość dla matki, otwiera oczy na ogrom wyrządzonych jej przezeń krzywd, i rozpacz dzika przeradza się w żal głęboki, skruczę i pragnienie poprawy. Gniew, pycha, obok ciężaru przeszłości, strącają go kiedyniekiedy w początkach z drogi, ale powoli przychodzi takie panowanie nad sobą, że aczkolwiek po walce wewnętrznej dobrego ze złem, zdobywa się on na złożenie u stóp owej matki nieszczęsnej nawet najwyższych marzeń o szczęściu osobistem, chociaż włożył w nie cały ogień swojej natury i całą nowonarodzoną dumę z zagładzenia win, żadnej rehabilitacji w oczach najukochańszego sędziego.

I to taki żywy człowiek, którego umysł nasz też gwałtem wyobraźni wydrzeć usiłuje, by zeń uczynić symbol czy wcielenie zbiorowiska głównych cech narodowych.

Inne typy w »trylogii« dlatego tylko zdają się nam mniej ludźmi, że bardziej są prości i jednostajni. Kmicic n. p. staje przed nami jak gdyby w barwnym stroju szlacheckim, co nie krępuje całej różnorodności swobodnych ruchów, kiedy ciężki pancerz rycerza, zarówno bez strachu, jak i bez zarzutu, nadaje ruchom Skrzetuskiego pewną pozornie maszynową powagę, dokładność i jednostajność. Dusza jednego — to małowidło, żywe lśnieniem barw, drugiego — to z jednej bryły kamienia wykuty posąg rycerza Bożego. W pierwszym tysiąc załamań i zakrętów, w drugim kontury wyraźne i surowe. Jeden lub drugi z typów tych może być nie dlatego

milszy, że jest bardziej żywy i prawdziwy, lecz dla takich samych, dla jakich jeden żywy człowiek sympatyczniejszy nam jest od drugiego.

Inaczej może nieco jest z Bohunem, w którym nietylko czujemy wrzącą krew młodzieńca i szalone męztwo żołnierza, ale jakieś uroki czarodziejskie, niezależnie od wielkich kryteriów rozumu działające na duszę, niby wiatr stepowy — dech Ukrainy — niby burza łamiąca drzewa i ciskająca Dniepr czarnym chmurom, niby dumy lirnika o bohaterstwie mołojca, niby łzawa pieśń o tęsknocie miłosnej, takiej niezmiernej i smętnej, jak sam ten step najeżony mogiłami.

To też ów wykrzyknik Skrzetuskiego po poznaniu watażki kozackiego: »jakie to szczęście, że on przy niej (Helenie) człowieka rozszczepił« — jest jednym z niezliczonych świadectw niesłychanej świadomości twórcy.

Istotnie, bez tego drobnego pozornie szczegółu, o którym starannie zapominają poszukiwacze dziur na całym, nietylko uwaga czytelnika, lecz i serce bohaterki musiałoby się naprawdę goręcej zwrócić ku Bohunowi.

Helena — to postać też mało złożona. Tę rusinkę obdarzył autor prostemi i kardynalnemi cechami niewiasty polskiej. W smutku nawet pogodna, cicha a niezłomna w miłości i wierności. Zamknąwszy książkę, najwyraźniej ją widzę jako hożą i piękną wdziękiem lata matkę licznej dziatwy, kiedy usłyszawszy od męża, że »trzeba iść«, cała we łzach nieboga, odpowiada: »idź«.

Gdybym chciał cytować godne nazwy wielkich poematów kartki »trylogii«, łatwo by mi przyszło tom zapełnić. Pozwolę sobie zaledwo wspomnieć uderzające potęgą wszystkie bitwy, szturm, ataki, gdzie armie, pułki, oddziały — żyją, niby wielkoludy bajeczne. Pierwszy

dzień oblężenia Zbaraża — to objawienie grozy i piękna wojny. Całe oblężenie — to coś wyższego od słów wszelkich, z wyjątkiem chyba Sienkiewiczowskich, w których bitwy budzą szal a pobojowiska zgrozę. W słowach jego naprawdę są te »straszne czasy, w których wilki we wsiach mieszkają, a obłąkani ludzie w lasach wyli«, pola zaś przemakały od ulewy z żył wojowników.

Sama wspaniałość scen niektórych, gdyby ich nawet nie powiązał autor w jedną całość, mogłaby mu zapewnić tuzin takich nieśmiertelności na jakie stać marną kilkunastomilionową garstkę: mord w Rozłogach, wejście Wasyla i Heleny, z widokiem sieni po rzezi; rada na Siczy i rozprawa tłuszczy z Tatarczukiem i Barabaszem; przyjęcie posłów polskich przez Chmielnickiego i uczta ich u niego, i obie jego rozmowy z chanem i śmierć Podbiپیęty — wszystko to są szczytne pieśni w szczytnym poemacie, a zarazem obrazy i dramaty. Wyjście Skrzetuskiego ze Zbaraża — to jest coś nadludzkiego.

Przestawszy drzeć czytelnik szuka, co mu oczy rozszerzało przerażeniem, od czego włos się jeżył?

Takie proste, zwykłe słowa!

I chwytą go podziw najwyższy dla tej niesłychanej bezdeklamacyjności, wstrzemięźliwości artysty.

A co to za obrazy! patrząc na nie trudno nie pomyślać, że właściwie bez malarstwa i rzeźby możnaby się obejść. Wszystkie momenty wojny, wszystkie cięcia i uściski śmiertelne widzi się, jak owe »ciała pobitych, rzucające się na brzegu nakształt ryb świeżo wyłowionych z wody«.

A ów moment uczty u Wiśniowieckiego, przerwany słowami Kusza: »Bar... wzięty«... A wojsko Jeremiego wychodzące z pod łuku tęczy, lub dragoni Wo-

łodyjowskiego w ataku: »rzekłbyś listki czerwone kwiatów, które wiatr żenie«. Podbiپیęta na swej kobyle olbrzymiej w ataku, Zagłoba rzucający się dla odbicia jego ciała lub śpiewający dumy, jako dziad-lirnik, Helena jako »smukły kozaczek« »przy pacierzu podnosząca oczy do gwiazd«, Sucha Ruka na palu...

Nie, to litania nie do skończenia. Gdzieniegdzie mimochodem, bo przechodząc następnie bez żadnego *a capite* do porządku opowiadania, jakby nie przywiązując do tego żadnej osobliwej wagi, rzuca on nam po swojemu w niesłychanie prostych wyrazach widzenia, których dusza nasza nigdy zapomnieć nie zdoła, jak n. p. aleja krzywonosowa »świec kozackich« w Strzyżawce.

Nie do skończenia byłaby też litania o momentach nastrojowych, lub inna — przedziwnych sugestii stylowych i wspaniałych porównań epicznych, zarówno jak niesłychanie wyrazistych zwrotów.

Ów »Chrystus, co głowę na piersi zwiesił i milczał taki bolesny, jakby go przed chwilą rozpięto« — dziwnie poddaje nastrój Jeremiego w owej chwili przełomowej, a powtórzenie tego zdania po kilkakroć nadaje jakiś ton poetycki całemu ustępowi temu.

Gdy na wieść o śmierci Heleny przyjaciele Skrzetuskiego opłakują los obojga, zaczynają bić ponuro i przeciągle dzwony: »oni ciągle narzekali i dzwony biły«.

Kiedy w końcu tej sceny pytają Zagłobę o przyczynę głębokiej zadumy, skoro tu »wszystkie fortele na nic się nie przydadzą, odpowiada złamanym głosem: »Wiem o tem, jeno myślę, żem stary i że niemam co robić na tym świecie«. W tem cała dusza bólu i najlepsza treść duszy tego, co go czuje.

Wreszcie powiedzieć trzeba o dziwnej bezstronności i sprawiedliwości wcielonych w obrazy i sugestie sądów poetyckich Sienkiewicza, co po wszystkie czasy było cechą tylko serc olimpijskich na Parnasie.

Ile tam miłości dla sławy i bujności kozaczey? Tyle co stepu i mogił. Mówiłem o Bohunie; do Burłaja zwraca się Sienkiewicz w ogniu bitwy obyczajem starożytnych piewców ze słowami czci dla bohaterskiego męstwa. Jego ukochane chorągwie książęce, które zdają się nam smutnym hufcem archanielskim, gdy przeciągają milcząc aleją krzywonosową »ze świec kozackich«, idą upokorzone w oczach jego mimo drgającego konaniem na palu i toczącego wślad straszniemi oczyma kozaka, co »w złotych blaskach południa górował nad niemi i świecił na świeżo ostruganym palu, jak pochodnia«.

Taż sama gówność duszy w charakterystyce kanclerza, szczególnie zaś Kisiela, w którego błędach politycznych wielbiący Wiśniowieckiego autor umie widzieć przede wszystkim męczeństwo serca, rozpacznie pełnego równej miłości dla obu zwaśnionych braci.

Wobec tych wszystkich cech wielkiej epopei czem muszą być dla mnie wszystkie drobnostki, które mnie rażą? Prostu niczem, tembardziej, że często w zaletę po namyśle obracały mi się wady rzekome. Pamiętam n. p. że ujemną stroną zdało mi się przy drugim czytaniu (przy pierwszym byłem oczywiście porwany, jak żdźbło przez potok górski) to, że autor całą złożoność uczuć, które musiały miotać Heleną w chwili ucieczki z Rozłogów (widok pomordowanych kniaziów i kniahini, porzucenie Wasyla, zagłębienie się w morze niebezpieczeństw) oddaje szeptem jej: »imię Ojca i Syna

i Ducha« oraz łzami. Przy trzecim jednak czytaniu zrozumiałem, że właśnie takt najwyższy artysty, polegający na zharmonizowaniu całkowitem swej wyobraźni z całością dzieła, oraz na poczuciu perspektywy — powstrzymał Sienkiewicza od szczegółowej a zbytecznej może wogóle analizy, przedewszystkiem zaś od sugestyjności jej, któraby mogła oderwać myśl naszą od rzeczywistych i większych bohaterów epopei. Tak często niedbalstwo pozorne stawało się dla mnie dyskretyą i miarą artystyczną.

Słuszny niby zarzut, że Sienkiewicz niekiedy w warze i wirze bitwy każe wojskom dech wstrzymywać w milczeniu i beczynności dla przyglądania się walce dwóch wielkoludów — kurczy się odrazu do mikroskopijnej doniosłości zastosowany do poety, który jak nikt umie właśnie całość owych warów i wirów oddać. Wreszcie te walki pojedyncze są zarówno ornamentami, jak sugestyami.

Przypuszczam ostatecznie, że sam autor chętnieby tu i owdzie coś zmienił, bo to jest zwykły stosunek nawet największych twórców do dzieł największych. Co się zaś mnie tyczy, to znalazłbym też kartki, które stanowczo nie chciały mię porwać tak, żeby mi nawet na myśl przyjść nie mogło, że to mogłoby być jakoś inaczej. Takiego n. p. doznawałem wrażenia, czytając niektóre rozmowy miłosne pomiędzy Skrzetuskim a Heleną.

Zdawało mi się też niekiedy, że wogóle rozmowy u Sienkiewicza czasem tylko informują, ale mieć o to pretensję do niego, byłoby chyba rzeczą nierozsądną, skoro bowiem informacje o biegu wypadków są wogóle rzeczą niezbędną dla powieści, to tylko w imię formułki jakiejś ciasnej można byłoby żądać od autora,

by informował czytelnika tak a nie inaczej. Zresztą nie przeczy to wcale prawdzie życiowej, nie wszystkie bowiem słowa najdramatyczniejszego bohatera z głębi własnego ducha płyną.

Największym jednak pewnikiem jest dla mnie to, że ta epopeja »przewalała mi się przez duszę, jak burza«.

VI.

Ileż to sobie ludzie głów nałamali nad pytaniem, czy następne części »Trylogii« słabsze są — i w jakim stopniu — od »Ogniem i mieczem«. Mnie się zdaje, że z równą słusnością możnaby debatować nad tem, co jest piękniejsze: śnieżne szczyty gór czy morze, step czy las?

Tu z góry przeproszę, iż dla wytłumaczenia tego będę musiał odbieżeć od szlaku głównego swoich rozumowań.

Naturalną jest rzeczą, że odkiedy pisać sam zacząłem o pisarzach polskich, niczyja twórczość tak duszy mojej nie zajmowała, jak Sienkiewicza. Otóż stworzyłem sobie po kilkakroć wypowiedaną hipotezę dla wytłumaczenia takiej właśnie, a nie innej kolejności dzieł jego, oczywiście w głównych rysach.

Otóż zdawało mi się, że Sienkiewicz — to organizacja bohatera czyli odznaczająca się niezwykłą żądzą i zdolnością do czynu i życia, ale obdarzona przytem wyobraźnią taką silną i wyrazistą, że aż mocną dać złudzenie rzeczywistości. Ów temperament pchał go zarówno do wielkich i potężnych wrażeń życiowych, i walk i czynów, jak i do marzeń.

Gdyby żył w czasach i okolicznościach, wśród których byłoby pole dość niezmierne dla rozwinięcia sił w czynie, może dopiero na starość w ciszy domowego ogniska pisałby pamiętniki, o których dziś mówilibyśmy: »a toć to był większy jeszcze od Paska talent powieściopisarski...«

I oto rośnie marzenie poprostu sycąc się i wrażeniami życia rzeczywistego i samą krwią serdeczną owego bliźniaka... I te potoki zlały się w jedno, że marzyciel czynił w marzeniu tak potężnie, że marzenie czyniło w życiu...

Tak w twórczości artystycznej skupiły się wszystkie moce ducha, którego, jak owego ula zbyt wielkiego, ani miód szczęścia domowego, ani gwar przygód zadanych ściśle osobistych wypełnić nie mógł. Może ul staćby się musiał »gniazdem jaszczurek«, gdyby w braku wielkich czynów ta niezmierna pustka nie zapełniła się marzeniem. W każdym razie ta codzienność zwykła, jaką żyją ludzie pospolici, dla niego musiała być poprostu nie do zniesienia.

Zdarzyło mi się opowiadać o artyście, który wieczorami w dzieciństwie, jeżeli się nie mógł nigdzie ukryć przed sztucznym światłem i gwarem zwykłym rozmów codziennych, zaszywał się w najciemniejszy i najcichszy kąt, mrużył oczy i jeszcze dla pewności chował głowę pod futerko lub szal, by żyć w jakiejś bajce.

Może niesłusznie usiłuję odgadnąć przez analogię najzłożeńsze z najprostszego, wyznam jednak, iż ten właśnie stosunek do sztuczności światła i codzienności — dla otrzymania przybliżonego pojęcia o stosunku odpowiednim dla Sienkiewicza — zwiększam do rozmiarów,

jakie wyobrażenia moja objąć zdoła, żałując tylko, że nie stać jej na objęcie nieskończoności.

Niezmierna wyrazność i namacalność marzeń jest niemylnym dowodem niemniejszej wyrazności w przyjmowaniu wrażeń od rzeczywistości, i przez to samo dowodzi tem większej siły marzenia, która umiała taką nawet siłę wrażliwości życiowej sobie podporządkować.

Łatwiej się oddać całkowicie kontemplacyi idei czy mglistych kształtów niebiańskich człowiekowi, którego oczy niby przez sen patrzą na uśmiech kobiecy czy łzę dziecka, którego dusza jest nieprzemakalna dla powodzi zdarzeń; ale dla kogo świat rzeczywisty jest takim rzeczywistym, że wzięta od niego słodycz lub gorycz natychmiast przenika najtajniejsze włókienka nerwów — temu przenieść środek ciężkości istnienia w krańce marzeń jest trudniej.

Zato instynkt samozachowawczy — nie ciała jeno duszy — taką właśnie organizację energiczniej, niż jakąkolwiek inną, zachęca do przeniesienia skarbów swoich czy sił do dziedziny rzetelnego i harmonijnego panowania własnego — z wiru zdarzeń chaotycznych, co czyhają jak skały podwodne w morzu zdradliwym na pierś okrętu.

Jednem słowem tak, wedle hipotezy mojej, tworzy sobie Sienkiewicz obok świata rzeczywistego drugi świat nad-rzeczywisty, w którym żyje całą pełnią życia wszystkich mocy swego ducha.

Żeby odgadnąć bajki, które snuła wyobrażenia Sienkiewicza dla siebie samej przed objawieniem się światu, musiałbym sam być chociaż pół, choć ćwierć — Sienkiewiczem. Przypuszczam tylko, że musiał je on starannie ukrywać przed wszystkimi.

Najzupełniej wyjątkowa nawet w sferze duchów twórczych świadomość siebie, którą za instynkt wzięby można, przypomina mu, że słowo blaski duszy może gasić, gdy jest mętne i nieforemne. I oto poleruje on swoje słowo, wypowiadające niem z początku myśli tylko, ale oczywiście jeszcze nie te swoje największe i najtajniejsze.

»Malarze — zdaje się sobie mówić Sienkiewicz — zanim pozwolą wyobraźni swej kombinacyjnej tworzyć, robią tysiące studyów z natury«: zaznaczyłem już ten charakter studyów w pierwszych utworach Sienkiewicza.

Zaczyna on od rzeczy prostych, jak dusza »Starrego sługi«, powoli przechodząc do złożonych i szczytnych, jak student-mistrz w »Hani« lub jak lasy, góry i stepy amerykańskie. Łatwo mu było niebawem dostrzedz, że słowo posłuszne mu jest, że oddaje wyraźnie i wiernie to, co widzą oczy ciała czy duszy, i zaczyna artysta powoli coraz głębszym i szerszym prądem toczyć to swoje tajemne drugie ziemskie życie przez płaszczyznę świata rzeczywistego.

Zdaje mi się, że w owym świecie stworzonym przez artystę musiało być wszystko, co serce człowieka kochało pragnąć, a czego mu w danej chwili brak było.

To poddanie się wyobraźni sercu, ta jej niewola pozorną, to właściwie tylko stosunek rzeki do bogatego źródła, to prawdziwa jej moc, prawdziwa niezależność od deszczu zdarzeń i dopływów czyli wpływów zewnętrznych. Takie tylko organizacje artystyczne tworzą wciąż coraz nowe i zawsze żywe piękno, nie wpadając w żadną manierę, żadne naśladownictwo siebie samego lub innych.

W Ameryce brak Sienkiewiczowi chłopca, sinych

przed wschodem a różowych po wschodzie słońca dymów nad kominami chat; brak mu dobrych oczu Matki Boskiej ze starego obrazu; brak dworów szlacheckich z ich cichem życiem tradycyjnej cnoty rycerskiej; brak światła niebiańskiego, bijącego od witanego hymnem odwiecznym Przenajświętszego Sakramentu w Monstrancji, drżącej w dłoniach zgrzybiałych proboszcza wiejskiego; brak mu w chłopie szczęścia i światła i godności ludzkiej — i odtwarza on go sobie, żeby orzeźwić się jego dzikością i jędrnością, żyć jego radością prostą lub rozpaczą, tem rozpaczliwszą, że też taką prostą.

Kiedy już tej rozpacz znieść nie może, koi ją śmiercią lub poprostu budzi siebie z marzenia.

Po powrocie do kraju brak mu trochę przez czas jakiś Ameryki, więc nietylko opisuje dalej to, co tam widział, jako podróżnik-artysta, lecz tworzy kombinacje rozmaite z jej krajobrazów, typów i form życiowych, służących mu niekiedy za tło tylko, na które rzuca wyraźniejszych dla swej wyobraźni i serca wychodźców polskich.

To samo uczucie, które mu niedawno podyktoowało ów potężny list do baronowej Suttnerowej — stało się twórcą rzeczywistym »Bartka zwięźczy«, epopei chłopskiej w tym sensie, w jakim »Pan Tadeusz« jest epopeją szlachecką.

Wspomniałem już, jak w Ameryce jeszcze wybucha cudnym wierszem w prozie jego tęsknota po stepie ukraińskim i ludziach i czasach innych i większych. A tęsknoty jego uparte są i wytrwałe: rosną jak dęby, urągając żywiołom, do których zaliczyć trzeba oczywiście i złość i głupotę ludzką.

Tęsknił Sienkiewicz w Ameryce do owych miejsc

i czasów dalekich, ale po powrocie do kraju niemniej zatęsknić musiał do ludzi, co w nim ongi żyli — wśród ich małych potomków. Czem miała oddychać pierś artysty? Upodleniem i małością współczesności, miazmatami zwątpienia, upadku ducha i próżności? Więc wyobraźnia jego rwała się do wielkich kataklizmów dziejowych — powodzi zbrodni demonicznych, ale też i archanielskich bohaterstw. To, co widział z okna swego domu, było poziome, jak kępki trawy na błocie, to też marzył mu się dech ożywczy szczytów górskich.

Mówiąc to, nie mam oczywiście pretensyi żadnej na przenikliwość, tak bowiem sam Sienkiewicz wytłumaczył narodziny »Trylogii«.

Ze wszystkiego, com mówił dotychczas o »Ogniem i mieczem«, jasno widać, że gdybym chciał ducha jego jakimś emblematem wyrazić, musiałbym brać rzeczy niezmiernie wielkie i groźne, jako odpowiedniki owych niezmiernie wielkich idei, wcielonych tam w żywe ludy, armie i osobniki potężne.

Wszystko to ogromne — jak góry największe. Z olbrzymich a stromych zrębów padają potwornie pięknie wodospady wypadków. Strumienie górskie rwą po stokach: to żywoty mniejszych ludzi lub potoki mniejszych zdarzeń. I wszędzie się czuje pod nogami przepaście przerażeń. I co krok przygniata duszę boska groza ogromów niebotycznych, nad którymi tuż chyba stoi sam tron Pański, niewidny tylko z powodu chmury, strasznej jak śmierć.

Wszystko to wielkie i piękne, ale dusza wędrowca upada wreszcie ze znużenia pod nawalą okropnie cudnych wrażeń, i wędrowiec zstępuje z serca gór, idąc

brzegiem to tego, to owego potoku. Napotyka on jeszcze po drodze olbrzymy górskie, ale owe największe już mu się tylko w dali rysują na tle nieba w koronach śnieżnych, lśniących niekiedy wszystkimi barwami tęczy.

I to byłby »Potop«.

Dalej znów znużona dusza poprowadzi wędrowca brzegiem jakiegoś Dunajca, skąd jeszcze widne na widnokręgu góry, niby chmury, ale gdzie za lasami wśród skał nad bystrą wodą osada pasterska się gnieździ, skąd w dolinie ze skały wysokiej widać już wioskę góralską.

I to byłby »Pan Wołodyjowski«.

Ale i tam duszę wędrowca nagle chwyci tęsknota do równin rodzonych, do miast gwarnych, do domu, do serc kochających...

VII.

Tak więc w »Potopie« zaczynamy wyraźniej nieco widzieć ludzi, już nie jako kamyczki nieskończenie małe olbrzymiej mozaiki, lecz jako osobniki. I tu jeszcze mamy wielkie wcielenia idei, wielkie typy — nosiciele najzłożeńszych kombinacji cech narodowych, ale, z wyjątkiem Janusza Radziwiłła i Kordeckiego, wszyscy dzięki perspektywie innej, zdają się już ludźmi mniej więcej naturalnej wielkości i zwykłej żywymi, bo nie zdają się żyć tylko jako cząsteczki wielkich jednostek zbiorowych.

W samym nawet Czarnieckim widzimy znakomitego wodza, wobec którego Skrzetuscy, Wołodyjowscy i Kmicice są tylko żołnierzami znakomitymi, ale tą znaną z »Ogniem i mieczem« nadprzyrodzoną grozą uwielbienia nie przejmują nas jego postać. Sylwetki

zdrajców Radziejowskiego i Opalińskiego są też tylko ludzko wspaniałe i wstrętne.

Bogactwo typów w »Potopie« jest takie, że wiaższy tylko małą ich część, niby garstkę z korca, można by stworzyć powieść historyczną, któraby większy od »Potopu« obudziła na razie zachwyt w tłumie, bo mniejby przygniotła jego wyobraźnię ogromem bogactw.

W »Potopie«, jak w »Ogniem i mieczem«, znajdziemy moc drugorzędnych nawet postaci, które, gdyby ich tylko nie gasiły nieskończenie większe, mogłyby dać sławę pisarzowi każda z osobna.

Mógłbym nawet powiedzieć: mniejsze dawały.

Jest czarodziejstwo w tem, że na kogo tylko zwróci Sienkiewicz swoje oczy, ten przed naszymi zaraz staje inny, żywy, wyraźny, taki straszny, nienawistny, miły czy wielki sercem, że chciałoby się go za gardło chwycić lub ścisnąć w objęciu przyjacielskim, lub do nóg mu paść. I całą złożoność tych postaci czujemy zawsze jako jedność i harmonię nawet w dyssonansach — tak jak w życiu. Chcąc o nich mówić, nie wiem poprostu od kogo zacząć.

Bogusław Radziwiłł? Francuska galanteria i nie-dbałość odwagi rycerskiej oraz niemieckie marzenia feudalne — zaszczepione na drzewie pychy magnackiej litewskiej. Wielki pojedynekowicz godzi się w nim z wielkim rycerzem, strojniś ufarbowany z wodzem, rozpustnik z politykiem. Okrutny i mściwy, ceniący w kobietach tylko piękność, a w mężczyznach tylko szaleństwo odwagi, bez czci i wiary — w sensie obywatelskim — obcy wszelkim przesądom etycznym, ale nie obcy zabobonom, a przenikniony do głębi przesądami dynastycznymi Radziwiłłów — ten piękny jak panna,

chytry jak dyabeł a mężny jak rycerz pan, jest dla nas taki pełny uroku, że niewiele chyba kobiet nie czuje niepojętego wprost bohaterstwa w oporze Oleńki.

Jak postać jego zewnętrzną widzimy w owym ukłonie przed Oleńką przy pierwszym spotkaniu, lub pomiędzy Biłousem i Zawratyńskim, albo we zbroi w ataku, tak dusza jego drażni nas swym czarem złym we wszystkich rozmowach z bratem Januszem, Sakowiczem, Kmicicem, lub narzeczoną jego.

Sobiepan Zamojski wart chyba Tyszkiewicza z »Ogniem i mieczem«; widzi się go i zna, jakby się na jego dworze w Zamościu życie spędziło. Jego duma dobrodusznia, jego prosta, niekiedy nawet jowialna, ale niezłomna wierność Rzeczypospolitej i królowi, jego pełna poczucia udzielnosci swej wiara w równość szlachecką, jego wady nawet: ograniczoność i gonienie za miłostkami — wszystko to razem wzięte takie się nam zdaje w nim swoje, jak genialne bohaterstwo innych. To jeden z najrzetelniej polskich i najpocziwiej sympatycznych typów szlachcica-magnata.

Jerzy Lubomirski, o wiele bystrzejszy, ale nieskończenie więcej próżny, jest tyleż pyszny i chorobliwie, nerwowo żądny władzy i bogactw a przedewszystkiem sławy bez granic, ile »Sobiepan« dumny i spokojnie poprzestający na swoim. To właśnie ten przyszły warchoł, którego próżność dziś ratuje ojczyznę i króla, by urażona potem podnieść na tegoż króla rękę i rozedrzeć łono tejże ojczyzny niesłychaną w dziejach wojną domową.

Przedziwna wyobraźnia Sienkiewicza, tak umiejąca dać wszelkie życie najwyrazistsze, nigdy nie goni za paradoksalnością, nie wpada w dziwactwo.

Legenda mu rozświetla historię, własna intuicja dopełnia i ożywia legendę, ale w całej tej pracy twórczej, dziwna jakaś sprawiedliwość czy cześć zarówno dla owej historii, jak i dla legendy. A przytem wszędzie jakaś miara artystyczna, jakiś takt serca i nerwów, który tylko podziwiać można, bo naśladować go niktby nie potrafił.

Najsympatyczniejszym tu i najukochańszym z panów litewskich a niemniej od »Sobiepana« swojskim, jest Sapięha. Dobry jak dziecko, prawy jak rycerz, z natury dzielny żołnierz i wódz — nie wódz groza oczywiście, lecz wódz ojciec — i poważny statysta a wesoły kompan; kocha on kraj pocziwie i czule, jak syn matkę, gotowy dla niej bez wahania wszystko poświęcić — mienie, krew, trud i życie. Niema w nim ani cienia tej próżności, co to dzięki małostkowości swej nie milknie wobec największych niebezpieczeństw dla żywota i sławy Rzeczypospolitej. Jego pogodę duchową tak osobliwie charakteryzuje humor, a za wszystkie rodzony a drogie cechy duszy darowywujemy mu wraz z Zagłobą niemniej może rodzoną, choć mniej miłą — skłonność zapamiętałą do uczt, o których umie on zapomnieć zaledwo pod okiem zbrojnego nieprzyjaciela, gotowy jednak zawsze dla nich odłożyć pogoń lub zaniedbać ostrożności względem mocnego nawet, lecz niewidnego w danej chwili wroga.

W tym człowieku każe nam Sienkiewicz podziwiać i kochać to, co zeń uczyniło, pomimo mierności stosunkowej talentów i fortuny, człowieka opatrnościowego, to, czego najwięcej brak było tym czasom: dobrą wolę i miłość dla kraju — bez zastrzeżeń prywaty i próżności.

Drugiego człowieka opatrnościowego tych czasów, tworzy już geniusz i bohaterstwo. Powiedziałem, że w grozie i blasku pół-boga nie ukazuje go nam Sienkiewicz, ale mniej olśnieni niemniej wyraźnie widzimy wszystkie moce duszy jego, największe z ludzkich. Czujemy w nim więcej niż orłowy polot wyobraźni wojennej, więcej niż stalowy hart woli, większą od wszelkich możliwych uczuć ludzkich razem wziętych bezwzględna miłość dla Rzeczypospolitej i jej honoru i większą od wszelkich klęsk wiarę w nią i ten honor, wiarę, co ponura i groźna stoi niewzruszenie w duszy ogromnej — jak latarnia zbawcza wśród szalejącego morza rozpaczy.

To mąż wielkiego gniewu, ale sam gniew jego służy tylko dobru Rzeczypospolitej, jak wybuch samej jego rozpaczy tylko w czyn rozpaczliwy bohaterstwa by się przerodził.

Kiedy się na niego dusza tu napatrzy, przymknąwszy oczy może sobie przypomnieć, iż »niema nic pożyteczniejszego nad obcowanie z bohaterami« — jak mówi Carlyle.

A jacy wyraźni są i pełni charakteru Szwedzi, czynając od króla, w którym tak dziwnie się łączą — majestat monarchy, talent wojownika, gniew i łaskawość władcy, wola i rozum zdobywcy. Brutalny prostak Müller, wytworny, cięty a pewny siebie ks. heski, groźny i nędzny Wittemberg — wszyscy żyją w naszej wyobraźni, jak owe wierne i bohaterskie Niemcy z pod żółtych wód z »Ogniem i mieczem«.

Sakowicz — prawa ręka ks. Bogusława, i Harsimowicz — ks. Janusza, to szkice i typy skończone

zarówno charakterystyczne, jak charakteryzujące tych, komu służą.

A garstka wytworów wojny: wierny w złem i dobrem pułkownikowi swemu Soroka, hyena-Kiemlich z synami-wilkami, potworny w odwadze swej, okrucieństwie, podłości i cynizmie Kuklinowski!...

Cóż już mówić o takich typach-arcydzielach, jak Billewicz, miecznik Rosieński, Roch Kowalski albo Charłamp? Każda z tych drugo- lub trzeciorzędnych postaci, niemniej od Kurcewiczów i Rzędziana z »Ogniem i mieczem«, godną byłaby sama przez się nie tylko analizy szczegółowej w studium krytycznym, lecz pierwszego planu w pomnikowym chociażby dziele sztuki.

Doskonały jest Billewicz — dzielny żołnierz i sprawny rotmistrz w safandule, passionat desperacki w nieśmiałym i ostrożnym człowieku, szlachcic nad życie czczący honor swój Billewiczowski, a topniejący z pychy rozkosznej pod promieniami łaskawej poufałości pańskiej; serce ma on pełne miłości i zdolności poświęcenia się dla kraju, a jako ptak najnaiwniejszy łatwe do wzięcia na plewy słów wielkopańskich o równości szlacheckiej; to też zdolny jest odstąpić najlepszej sprawy dla czapki i papki lub szansy na spokrewnienie się ze zdrajcą wielkopańskim...

Dobry jest Kowalski, godny i wierny mążzonek swej żony, sam stworzony tylko do roli szabli w cudzych rękach — uosobienie posłuszeństwa i uporu, głupoty i fantazyi kawalerskiej. I ze swojemi skargami po ujściu »Wuja«, z przejściem pod komendę Wołodyjowskiego, ze łzami po tryumfie nad królem szwedzkim — jest on (jak się to zwykle dzieje w nie do pojęcia harmonijnej wyobraźni Sienkiewicza), jest on nie tylko skoń-

czoną w sobie całością, lecz też i niezbędną częścią całości i służy do charakterystyki Zagłoby.

Charłamp, to dobre, proste, kochliwe a kłótlive żołniersko z dużym czerwonym nosem — to objawienie artystyczne. Zdobywa się on tylko na ślepe posłuszeństwo żołnierskie względem zwierzchnika, gdy jego koledzy pułkownicy ciskają zdrajcy buławy pod nogi; potem — sam jeden może — służy temu zdrajcy nie dla promocji, nakazując milczenie w imię subordynacji sercu pełnem życzliwości i czci dla zdradzonego króla i przy nim stojących dawnych przyjaciół; i sam jeden aż do końca pozostaje przy zdrajcy-zwierzchniku, przez wszystkich opuszczonym, zwyciężonym, upokorzonym i — głodnym.

Myślę, że dla zrozumienia takich dusz trzeba mieć nie tylko intuicję psychologa-artysty, ale jakieś ogromnie dobre serce człowieka. Ten Charłamp, co z przymusem służy najpotężniejszemu jeszcze panu, wspominając mimowoli, ku zgorszeniu jego dworu, Jana Kazimierza jako »miłościwie panującego króla«, przywiązuje się do najnieszczęśliwszego nędznika; ile tylko może zmieścić współczucia jego dusza, tyle jej czujemy w owej scenie potwornie groźnej konania januszowego. W uldze dusznej, jakiej daleki od pamięci na własny swój głód i nędzę Charłamp doznaje na ostatni wyraz zdrajcy-heretyka: »Maryo!« jest jakaś aż za grób sięgająca wierność żołnierza dla wodza, jakaś litość człowieka dla człowieka-nieszczęśnika, co przypomina aż miłość matki dla zbłąkanego dziecka. W chwili wejścia królewskich do komnaty książęcej, Charłamp — ten głupi, stary i prosty żołnierz — jest bohaterem, nakazującym cześć na równi ze śmiercią.

Miałbym znów na intencję »Potopu« zaczynać litanie obrazów i scen wspaniałych? Byłaby ona nie krótsza, niż dla »Ogniem i mieczem«. Słowo Sienkiewicza, proste jak rylec lub pędzel, rzeźbi i maluje wszędzie z równą wyrazistością.

Powiadają, że w scenach wojennych autor się powtarza. Podejrzewam, że naprawdę zdawać się tak może ludziom, co nie tylko wojny nie widzieli oczami, ale których nawet wyobraźni temperament wcale nie zachęcał do przyjrzenia się jej duchem w dziełach sztuki czy też w historii. Nie jeden Wenecyanin zakamieniały gotów byłby Pana Boga pomówić o powtarzanie się w tworzeniu koni, kiedy czikos węgierski w każdym by się duszy indywidualnej dopatrywał.

Znam się na wojnie tyle, co byle który inny z niepowołanych, ale mniemających, że są powołani na krytyków, domyślam się jednak, że tam, gdzie znawca odróżni cięcie od cięcia, tam profan nie odróżni bitwy od bitwy.

Zdaje mi się prócz tego, że w bitwach wojsk regularnych z »Potopu« widzę wyraźniej ruchy wojsk, a mniej czuję chaos w ogromie grozy i piekle zgiełku. Ale wiem, że impet ataków tak samo dech mi zapiera. To też dla mnie pogrom Kannenberga lub bitwa pod Prostkami, to arcydzieła, o których zupełnej oryginalności nie wątpię.

Przed opisem bitwy pod Warką nigdy żaden inny nastrój ostać się nie może: to szal, upojenie. Nie znam nic bardziej obrazowego i porywającego, niż ów moment przełomowy. »Nagle Czarniecki pojawił się jak piorun przed frontem chorągwi (nikt nie wiedział dla czego zwróconym ku wezbranej rzece). Ogień miał

w licach, piorun w oczach. Wiatr silny podnosił mu burkę na ramionach nakształt potężnych skrzydeł, koń pod nim skakał i wspinał się, wyrzucając płomień z nozdrzy, on zaś szablę puścił na temblak, czapkę zerwał z głowy, i ze zjeżoną czupryną, z potem na czole, krzyknął do swej dywizyi:

— Mości panowie! Rzeką się nieprzyjacieli zastawił i drwi z nas! Morze przepłynął na pogębienie nam ojczyzny, a myśli, że my w jej obronie tej rzeki nie przepłyniemy!

Tu czapkę cisnął na ziemię, a chwyciwszy szablę wskazał nią wezbrane wody. Uniesienie go porwało, bo aż wstał w kulbace i jeszcze potężniej zakrzyknął:

— Komu Bóg! komu wiara! komu ojczyzna miła! za mną!

I ścisnąwszy konia ostrogami tak, iż rumak jakoby w powietrzu wyskoczył, rzucił się w wodę«.

Pobojowisko pod Warką — to też arcydzieło nie mniejsze.

Oblężenie Częstochowy, to jest coś od początku do końca tak obrazowego, wzniosłego, cudnego, że po prostu nie śmiem mówić o niem. Ze wszystkich zarzutów, jakie za nie Sienkiewiczowi czyniono, jeden tylko nie zdał mi się śmiesznym: »że Jasną Górę ratują w »Potopie« trochę za dużo Kmicic i szlachta, a trochę za mało chłopci, co nie przecząc pamiętnikom Kordeckiego inaczej nieco można było przedstawić«.

Na zarzut zaś np., że Kordecki za mało jest Skargą, zaledwo warto odpowiedzieć, że autorowi chodzićby mogło prędzej o to, żeby on był s o b ą. Czyż brak natchnienia słowom, któremi Kordecki uspokaja księży i tłum co do grożącego jakoby wysadzenia kościoła?

A co najważniejsze a nieporównanie szczytne, to to, że w dobrotliwym, łagodnym, pogodnym a pobożnym mniuchu o pokorze męczeńskiej a wierze apostołskiej czujemy tu prawdziwego obrońcę Jasnej Góry.

Piękne są same przez się dusze w ciałach rycerzy Przenajświętszej Pani, ale względem nich ów mnich jest naprawdę czemś tak boskiem, że te dusze zdają się materią przy jego duchu. Gdyby się w tej fortecy klasztornej znalazło stu Kmiciców, którzyby porozsadzali wszystkie działa i wszystkich generałów szwedzkich w dodatku — wielkość Kordeckiego nie zdałaby się ani o włos mniejszą, pozostając zawsze niewymiernie większą od wszelkiej innej, tak właśnie, jak największe bohaterstwo ręki nic duszy nie ujmie.

Czemże, zapytam znów, jest wobec tego wszystkiego nieprawdopodobieństwo psychologiczne alluzji Wrzeszczowica w pierwszej rozmowie z Kmicicem co do projektów na Jasną Górę? Chyba tem samem, czem nieprawdopodobieństwo czaru wąsatych pocałunków na ostrym wietrze i mrozie, czyli błahostką, co, zarówno jak wszystkie inne podobne, znika poprostu z myśli i wrażenia wobec tych chociażby tylko piękności, które w dziele tem stosunkowo trzeciorzędniemi się zdają.

Z niezliczonej ilości cudnych scen pozwolę sobie wspomnieć o jednej jeszcze, która, niezależnie nawet od swojej nadnaturalnej siły, uderza jakąś nagłością niespodziewaną, jakąś fantastycznością w realizmie, mistyczną grozą w naturalnej niby — jak same słowa autora — rzeczywistości. Myślę o wizycie Kmicica w domu starosty Sochaczewskiego (w kilkudziesięciu wierszach tu takiego wyraźnego, że całą powieść, któraby mi go

z równą siłą i pięknnością przedstawiła — genialną bym nazwał).

Kmicie jedzie szukając natchnienia, jak odkupić winy przeciw Bogu, ojczyźnie i Oleńce swojej, jedzie coraz rozpaczniej wątpiący o tej ojczyźnie, coraz bardziej ponuro rozwstrętniony do okropnych śladów wojny: kraina w pustynię zamieniona, trupy po drogach gniją, bo drapieżne ptactwo i zwierzęta nadążyć nie mogą, dusze martwe w pozostałych przy życiu, świątynie zbezczeszczone, wszędzie hańba, postrach. Rozpędziwszy hultajstwo nieprzyjacielskie, oblegające Łuszczewskiego, gościnnie podejmowany pyta go przy rozmowie, jako personata i statystę, co myśli on o przyszłych losach Rzeczypospolitej, i słucha z przerażeniem, że złość, i małość Polaków zgubi ją niechybnie, że gdyby się nawet tym razem naród ocknął na chwilę ze snu podłości i stanął do boju z najeźdźcą, jak jeden mąż, wszystko byłoby na nic: »tedy pójdę z innymi, polegnę, i każdemu radzę poledz, bo potem przyjdą takie czasy, na które lepiej nie patrzeć«. Tajemnicza groza opanowywa coraz bardziej Kmicica wobec tego starca, co »widzi« poza światem i mówi o »dniu gniewu«.

»Słońce zachodziło właśnie i już tylko bokiem zaglądając do komnaty, łamało się w tęczę na gomółkach szklanych, w otów oprawnych, i czyniło smugi siedmiobarwne na podłodze. Reszta komnaty była w mroku. Kmicicowi coraz bardziej stawało się straszno i chwilami zdawało mu się, że niech tylko światło ono zginie, a wraz trębacze anielscy ozwą się na sąd«.

— O jakich prorocत्वach wasza mość mówisz — spytał wreszcie starostę, bo milczenie wydawało mu się

jeszcze straszniejsze. Starosta zamiast odpowiedzieć, zwrócił się ku drzwiom przyległej komnaty i zawołał:

— Oleńka! Oleńka!

— Na Boga! — krzyknął pan Kmicie — kogo waść wołasz?...

W tej chwili wierzył we wszystko, wierzył, że jego Oleńka, cudem z Kiejdan przeniesiona, ukaże się jego oczom. I zapomniał o wszystkim, wzrok utkwiał we drzwiach i czekał bez tchu w piersi. Drzwi się otworzyły; weszła nie Billewiczówna, ale panna piękna, szczupła, wysoka, trochę do Oleńki podobna z powagi w twarzy i spokoju, rozlanego w obliczu. Była blada, może chora, a może niedawnym napadem przerażona, i szła z oczyma spuszczone, tak jakoś lekko i cicho, jak gdyby ją jakiś powiew posuwał.

I dalej nastrój potęguje się, aż wreszcie Kmicie zdesperowany ostatecznie wieścią o nowem nieszczęściu zrywa się, żegna ze wszystkimi i wychodzi, a za nim w zastępstwie ojca panna, chcąc mu powierzyć dukat na mszę »na intencję Andrzeja, aby go Bóg z grzesznej drogi nawrócił...«

»Kmicie cofnął się dwa kroki, oczy wytrzeszczył ze zdumienia i przez chwilę nic przemówić nie mógł«.

— Na rany Chrystusa! — rzekł wreszcie — co to za dom? Gdzie ja jestem?... same prorocत्वa, wróżby, wskazówki... Waćpanna zwiesz się Oleńka i na intencję grzesznego Andrzeja na mszę dajesz?... To nie może być prosty trafunek, to palec Boży... to... to... jać oszaleję... Na Boga, oszaleję!...

— Co waćpanu jest?

»Lecz on chwycił ją gwałtownie za ręce i począł niemi potrzasać:

— Prorokujże mi dalej, mów do końca!... Jeżeli ów Andrzej się nawróci i winy zmaże, żali Oleńka jemu wiary dochowa? Mów, odpowiadaj, bo nie odjadę bez tego!...

— Co waćpanu jest?

— Zali Oleńka mu wiary dochowa?

Pannie nagle łzy puściły się z oczu.

— Do ostatniego tchnienia, do godziny śmierci! — odrzekła ze łkaniem.

Jeszcze nie dopowiedziała, a już pan Kmicic grzmotnął się jak długi jej do nóg. Chciała uciekać, nie puścił i całując jej stopy powtarzał:

— Jam także grzeszny Andrzej, który nawrócić się pragnie... Ja mam także swoją Oleńkę umiłowaną. Niechże twój się nawróci a moja mi wiary dochowa... Niech słowa twoje prorocstwem będą. Balsam i nadzieję wlałaś mi do duszy strapionej... Bóg ci zapłać, Bóg zapłać!

Poczem zerwał się, siadł na koń i odjechał.

Dlaczego ja, taki zawsze skąpy w cytaty, wypisuję tu całą kartkę? Dlatego, że scenę tę czytał dwadzieścia razy częściej, niż »Potop« cały, a nigdy nie czytałem bez żeżenia się włosów na głowie, bez łez Kmicicowych, bez rzucenia się wraz z tym szaleńcem do nóg łkającej po swym grzesznym Andrzeju panny. To wszystko przeskadzało nawet w tej chwili krytykowi w pisaniu.

Ta scena dla mnie jest nietylko poematem i dramatem, lecz sugestją i piorunem wrażenia, co mi duszę w proch ciska. Kiedy naczytawszy się krytyki pozytywno-pozytywkowej stawiałem sobie pytanie: »może naprawdę dlatego tylko czytam »Potop« jednym tchem i jednym szaleń, że dziecinny a to właśnie bajka tylko

dla dzieci« — ta panna tajemnicza stawiała mi przed oczyma, i dreszcz mię przechodził. Gdybym był malarzem-ilustratorem, ją między najpierwszymi bym malował.

Tą sceną Sienkiewicz w nic obraca wszelkie formułki powieścio-poematowo-pisarskie, które tępe głowy przy małych sercach zasadami niekiedy tytułują, niby kata — sędzią. W samej rzeczy ten dziwny ojciec z dziwną córką tak nagle zjawiają się w powieści, by równie nagle z niej zniknąć na zawsze!... Poco tak wstrząsa, tak przykuwa wyobraźnię epizod, z punktu widzenia formalnego żadną koniecznością nie związany z nicią fabuły: myśl Kmicicowa skierowania drogi na Częstochowę wynikała z okoliczności i stanu jego ducha. Ale konieczność tej sceny leżała nie w logice wymagań formalnych ciasnej krytyki, lecz w nieskończeniu wyższej logice twórczej, której drogi daj nam Boże pojąć przy najmniej choć wtedy, gdy nam je sama wskaże. To też, pomijając już moc i urok tej sceny samej w sobie, niepotrafiłbym wskazać żadnej innej bardziej niezbędnej dla charakterystyki uczuć i losów głównych bohaterów tej epopei.

Nigdzie dotąd nie odczułem tak wyraźnie siły miłości Kmicicowej dla Oleńki, ani tego, czym jest ona dla jego duszy, ani niezłomności jego w poprawie i w miłości dla ojczyzny, i w wierze w nią, i w postanowieniu »nie oszczędzenia duszy swej dla miłości prawdy«. Nawet sama ta główna Oleńka przez pryzmat uwielbienia i ubóstwienia i tęsknoty Kmicica jakoś żywiej i czarowniej mi się przedstawia. Czuję też głębiej fatalizm jej miłości dla tego zbrodniczego junaka i jej moc duchową. Dotychczas wiedziałem, że Kmicic ją kocha, a sam

tylko ją podziwiałem: od tej chwili sam ją muszę kochać szalonym sercem Kmicicowem.

Jeżeli Kmicic wyraźniejszy jest w rysach szczegółowych od Skrzetuskiego, to Oleńka nieskończenie jeszcze wyraźniejsza jest od Heleny, i sama miłość ich wyraźniejsza jest od miłości tamtej pary.

Mówiłem już, co tam odrywało natchnienie poety od cyzelowania losów i serc osobistości poszczególnych. Tam miłość tych dwojga jest bardziej ornamentem, tu obrazem. Tam fryz gdzieś wysoko, którego linia ginie nawet co chwila z oczu, przesłaniana kolumnami świątyni, — tu subtelne modelowanie w każdym szczególe. Helenę bardziej rozumiem, Oleńki zaś duszę przedewszystkiem czuję równie wyraźnie, jak widzę jej postać.

Symbol to czy ideał. niewiasty polskiej, ale taki żywy, taki wyindualizowany, tak mu autor krwią żyły napełnił a blaskiem oczy i urokiem słowo każde i ruch każdy, że jest nam ona wprzód osobnikiem żywym, niż symbolem, tak jak w życiu, gdzie wmyśliwszy się i czuwszy się w każdego danego osobnika, zdołamy dostrzedz w nim uosobienie pewnych podstawowych cech duszy lub nawet prądów społecznych.

W pierwszych zaraz scenach widzimy jej pogodną powagę dziewczicą, nie obcą wesołości a nawet kokieteryi pewnej, mimowolnej, wdzięcznej a szlachetnej, bo nieświadomie kryjącej za sobą pragnienie — wiernie kochać i być kochaną. Nie brak jej zmysłów, tylko jeszcze mniej brak duszy, to też stokroć bardziej straszną jej jest zbrodnicość kochanka, niż klasztor. Pełna ufności do tego, kogo jej dziadek ukochany do kochania przeznaczył, gotowa ona iść za nim nietylko na

szczęście, lecz choćby na nieszczęście największe własne, ale tylko tam gdzie niema hańby.

Jej rozmowy z Kmicicem po pierwszych jego szaleństwach, niby żądania kategoryczne człowieka, a niby prośby pokorne żony czy ostrzeżenia czułe siostry — olśniewają nas jasnowidzeniem serca dziewczyny w rzeczach obywatelskich i czarują delikatnością w dotyku tej szalonej duszy. Potem każdy moment walki jej serca z sumieniem chwyta za serce i rozpala wyobraźnię swym dramatyzmem.

Jej pożegnanie z Kmicicem po spaleniu Wołmontowiczów, zachowanie się w Lubiczu, po pojedynku jego z Wołodyjowskim i w scenie rzucania buław, i w sportkaniu go półmartwego na wozie po wojnie, i w kościele po odczytaniu przez księdza jego rehabilitacyi — wszystko to jest takie żywe a cudne, proste a szczytne...

Tak, to żywa kobieta, nie żaden manekin bohaterstwa i kochania. Jak cała tak zwana »wieczna kobiecość« drga w niej w całym stosunku do księcia Bogusława, ale pod grą nerwów i nieodłącznej od duszy ludzkiej próżności i wrażliwości na wyrazy czci i kochania — kryje serce jej głębie niezmierne miłości dla kochanka i ojczyzny, miłości smutnej, jak jego podłość i jej nędza.

Niewątpliwie jest to najbardziej żywa w swej typowości postać niewieścia w piśmiennictwie naszym.

VIII.

Jeżeli miłość w »Ogniem i mieczem« porównywałem do ornamentu stylowego, w »Potopie« do obrazu, to już w »Panu Wołodyjowskim« nazwałbym ją chyba

jeszcze muzyką. Tu momenty przełomowe łączy nic nieustannego czaru sugestyi.

Znużona tworzeniem światów wyobraźnia twórcza zwraca się ku rajowi domowego życia. Tu już ogromy idei i wcieleń ich nie gaszą wcale dusz ludzi poszczególnych, które dziwnie wyraźniej dzięki temu przez ciąg »Trylogii«.

Oto n. p. »mały rycerz«, który w »Ogniem i mieczem« był szablą i żołnierzem, w »Potopie« staje się żołnierzem i obywatelem, a już jako »Pan Wołodyjowski« jest człowiekiem przedewszystkiem z wyraźnem aż do subtelności sercem i temperamentem i umysłem.

Poeta »z hymnu zstąpił do prostej powieści...«

Ta »prosta powieść« zaczyna się od poematu miłości takiego cudnego, że cudniejszego nie znam, jak nie znam bardziej od Krzysi i Basi obdarzonych czarem życia postaci dziewczęcych. Widzę każdy ich rumieniec, każdy odcień smutku czy rozmarzenia w powłóczystem spojrzeniu Krzysi i każdy błysk żywych oczu i białych ząbków Basi, i każdą ich łzę i modlitwę, i słyszę każde słowo, każdy śmiech czy łkanie, i czuję każdy ich żal i ból.

Cudna i pełna sentymentu, bez cienia sentymentalizmu fałszywego — jest Krzysia, w której czystem sercu dziewczęciem »poczucie woli Bożej« staje się boskiem marzeniem o kochaniu, takim nieświadomie wszechprzenikającym, że gotowa ona za miłość wziąć pierwsze żywe uczucie podziwu dla bohaterstwa oraz litości dla smutku. Ile mocy i poezyi w jej żalu i zgryzocie, gdy ową pomyłkę duszy odkrywa jej miłość prawdziwa, poetyczna i namiętna, żywiołowa i fatalna!...

Poznanie z Ketlingiem — to naprzód obraz nad-

naturalnie wyraźny i piękny, potem poemat liryczny; rozmowa o »amorach« to znów cudny obraz i cudniejsza scena z dramatu; opis stanu duszy Krysinej — to najsubtelniejsza analiza, której nic świeci nieprzerwanie czarodziejskim blaskiem poezyi; scena u fary znów dramat w wielkim stylu; potem znów analiza, niby ciąg obrazów duszy, pochwytnych dla zachwyconych rozpacznie zmysłów... A owa poprzedzona walką wewnętrzną modlitwa z Basią na intencję Wołodyjowskiego, wreszcie pożegnanie biednej z Ketlingiem i rozmowa z Wołodyjowskim — wszystko to razem wzięte jest, powiadam, muzyką, poezją, malarstwem, rzeźbą, sugestją, czarem, życiem...

A miły sercu zarówno autora jak i Zagłoby »hajduczek«!... Zadałem sobie pracę wynotowania wszystkich charakterystycznych Basi, co jest tak, jakbym powiedział poprostu: wszystkich. Bo naprawdę każdy jej ruch nawet wpija się nam w wyobraźnię, nie tylko słowa, które zaczynając od owego pierwszego pytania na głos przy poznaniu obcych ludzi: »czy to ten sławny Zagłoba?« aż do tryumfального gadania o »machnięciu się za pana Michała« tak uwydatniają jej duszę całą — temperament, umysł, wrażliwość, jak najpiękniejsza suknia — dziewicze wdzięki.

Ileż bo wyrazu i charakteru w każdym z urywanych zdań tego żywca, pół-dziecka z wieku, pół-chłopca z junactwa, pół-kobiety z czułości, ale nie ślamazarnej lub płaksiej, tylko rzeźkiej, jędrnej, polskiej. Z jaką prawdą psychologiczną i wdziękiem artystycznym budzi się tu w niej serce i rozwija świadomość tego, co się dzieje w niej i dookoła niej.

Pełna uwielbienia dla Wołodyjowskiego w swoim

upokorzeniu woła ona z drabiny do Zagłoby: »nie cierpię pana Michała«, a na dowody, że właśnie go kochać powinna, odpowiada: »niech go Krysia kocha«. Jak ją widzimy, gdy wpada na czułą scenę między Wołodjowskim a Krysią, a potem uciekwszy klepie po szyi dzikiego dzianeta i powtarza na perswazyę przerażone pana Michała: »niech zabije«. Kiedy Zagłoba po jej odpaleniu Nowowiejskiego pyta ją: »może ty w sercu jakowys afekt ukryty nosisz?« — zaskoczona z nienacka dziewczyna woła: »figę nie afekt«, a porwawszy się, powtarza, by ukryć pomieszanie:

— »Nie chcę pana Nowowiejskiego! nie chcę pana Nowowiejskiego! nie chcę nikogo! Czemu mi waćpan dokuczasz? czemu mi wszyscy dokuczają?...

Kiedy Wołodjowski skarcił ją surowo za to, że jego żarty co do »Ketlingowej mocy« ku Krysi złośliwie skierowała, wszyscy czekają wybuchu »hajduczka«, ale »hajducek« spuścił głowę ku talerzowi i po chwili dopiero rzekł cichym głosem:

— Jeśli się waćpan gniewa, to przepraszam i waćpana i Krzysię«.

Jaka w tych najprostszych ze słów głąb smutku i dobroci, i rezygnacyi kobiecej, i dziecinnej pokory wobec miłości ukochanego dla innej!... I cienia w niej nawet goryczy ni złości do Krzysi.

Kiedy ta biedna opanowawszy się już zupełnie, spokojna wobec odjazdu na wieki Ketlinga, na żarty i pytania Zagłoby łagodnie odpowiada, że »ma do zakonu wolę« — »Basia spojrzała na nią raz i drugi, nagle zarzuciwszy jej ręce na szyję, przytuliła swoje różane usta do jej policzka i poczęła mówić prędko:

— Krzysiu bo beknę! Powiedz zaraz, że jeno na wiatr tak mówisz, bo beknę, jak Bóg na niebie, beknę!

Jak charakteryzuje prostotę samozaparcia się jej i litości dla Wołodjowskiego owo: »niech waćpana Bóg pocieszy i odmieni Krzysine serce«, a potem płomienną prędkość tej duszyczki — owa nagła odpowiedź na jego niesłuszne a obelżywe szyderstwo. A obrona Krzysi przed Zagłobą, a potem mimowolne zdradzenie się z miłością dla pana Michała (»głupia Krzysia« i t. d.), aż do przedziwnej mocy duszy i mocy litości, i mocy powagi w owem życzeniu, rzuconem na drogę do Kamieńca Nowowiejskiemu, gdy rzekł, że w śmierci mu jedyna pociecha: »Usłyszawszy to Basia, serce dzielne i żołnierskie, wstała nagle i położywszy nieszczęśnikowi rękę na głowę, rzekła:

— Dajże ci ją Bóg pod Kamieńcem...«

A ile życia, poezyi, w samym bohaterze głównym. Scena — obraz w chwili, kiedy mu mówią, że »Krzysia do zakonu idzie«, i oddanie Ketlinga Krzysi, i porozumienie się z Basią — to wszystko najwyższa poezya, równie jak przytoczone przez Charłampa potężne bluznierstwa pana Michała po zgonie Anusi.

Taki on jakiś swój, i miły i wzniosły, i prosty aż do samego zgonu bohaterskiego — nauki najwyższej, co czynić po czci utracie, choć nie własnej, ale nad własną droższej.

Szczególnie wielką i doskonałą jest w swej wierze i serdeczności owa scena wspólnego pacierza Wołodjowskich. Naprawdę gotówbym się strzedz człowieka, co nie płakał nad tem dowodzeniem Baśce, że niema ona racyi płakać nad jego przeczuciami o koniecznej rozłące na wieki. Każdy tu wyraz taki prosty,

a spróbuj go zastąpić jakimkolwiek innym? Każda sylaba zdaje się poprostu objawieniem poetyckiem. Dla przeanalizowania wszystkich piękności i mocy tej ostatniej części wielkiej naszej epopei — trzeba byłoby też napisać większy od niej tom.

Tyle razy dostrzegłem, że chcąc streścić dla skrócenia jakiś ustęp porywający, musiałem użyć więcej słów, niż było w tekście: najkrótszym sposobem uwydatnienia uroków bywa tu przepisanie. To też na prostem wskazaniu omal nie na chybił trafił poprzestaną, pewny, że gdybym ostatecznie na pierwszej lepszej karcie książkę odkrył, zawsze na wielką kartę poematu bym trafił.

W stosunku do części poprzednich »Trylogii«, ta jest wiatrem mocnym wobec huraganu i burzy, gwałtownym prądem rzeki wezbranej wobec wodosпадów ogromnych, porohów, wirów potwornych i powodzi. Ale chwilami ten spokój stosunkowy zdaje się nużyć duszę poety, rozkołysaną, jak ocean po burzy przewalający jeszcze przez okręty swe fale, i oto rzuca on na tło »prostej powieści«, te inne — niby też proste a tchnące nadludzką grozą i mocą i mądrością i pięknnością. Mówię o opowieściach Kamińskiego i Muszalskiego, którego dusza z pod Chocimia uleciawszy, »musiała się z duszą Dydiuka połączyć, aby zawartą w niewoli przyjaźni węzłami wieczności utrwalić«.

Wspaniały jest Sobieski, mówiący do Bogusza o powołaniu własnem i Polski. Piękny »parol kawalerski« Bogu dany z wiarą, że Turcy »nie zjedli nas i nie zjedzą, póki duch żywie«. Zachwycają mnie tu też niektóre dziwne zwroty stylowe, od których darmo na szczęście chciała oduczyć autora mądra krytyka, Home-

rem nawet wstydząc. Mamże mówić o boskim poemacie-epilogu, który pisze poeta, choć tytułowy bohater jego już wtedy »od roku w Bogu, w sławie i w ziemi spoczywał?«

Mamże mówić o mowie pogrzebowej ks. Kamińskiego tyle przypominającej ową nad trumną Podbiپیęty, co przyczyna łkania — inną przyczyną. Tu z niezwykłą dokładnością sprawdzić można tę potęgę nadnaturalną jego prostego słowa, co umie jak ogień palić i jak miecz serce otwierać i jak piorun uderzać.

Moment ów jest taki ogromny, że duszę niby wybuch prochów rozrywa tak, jak szał łkania — piersi. Wróciwszy do rzeczywistości od owego katafalku myślę, że gdyby kto za ten nastrój chciał dać całą nastrojowość poezji dnia dzisiejszego, dawałby kupę piasku za górę złota.

Widzę tu małego rycerza »wysoko, wśród światła, w chwale niezmierniej, ale w ciszy śmierci«, widzę »wie-niec« rycerstwa u stóp katafalku, widzę i słyszę Baśkę, nieprzytomnie powtarzającą: »nie to« i dzwony i jakby z otchłani wołający głos księdza: *Requiescat in pace!* i wreszcie, w ciszy uroczystej, co nagle zaległa, to niesłychane z ambony warczenie bębna na trwogę i groźne nad wszelkie pojęcie wołanie kaznodziei: »Panie pułkowniku Wołodyjowski!« Porywa mnie bez stropu kościelnego i woni kadzideł niewysłowiony żal i przerażenie, co włosy jeży na głowie, i poprostu fizycznie boli mnie »spazmatyczny krzyk« tracącej zmysły Basi.

— »Dla Boga, panie Wołodyjowski! Larum grają! wojna! nieprzyjaciół w granicach! a ty się nie zrywasz? szabli nie chwytnasz? Na koń nie wsiadasz? Co się stało?

z tobą żołnierzu? Zaliś swej dawnej przepomniał cnoty że nas samych w żalu jeno i w trwodze zostawiasz?»

Czyj płacz się tu nie »zerwie« wraz z płaczem powszechnym w kaplicy owej?...

IX.

Czem są powieści psychologiczne i obyczajowe Sienkiewicza wobec tej epopei, wielkiej całą wielkością natchnień bożych? Instynktowym płodozmianem duchowym, ochroną pisarza od maniery, w ciszy żywota pospolitego odpoczynkiem bohatera, co znużony »nie-małym trudem« wielkiego bojowania, patrzy swego pola i ogrodu, patrzy dusz i serc swego otoczenia, radząc, jak wszystko to uprawiać, by każdy godzin mógł być i walki rzetelnej w życiu i śmierci zacnej. Mówi on jakim być dobrze dla społeczeństwa i jakim źle.

Kiedy się myśli o geniuszu Sienkiewicza, wszechstronność jego dodaje nam podziw do podziwu. To tak jakby poeta wiedzy ściślej od badania nieskończenie wielkich światów, słońc i gwiazdozbiorów przez teleskop — nagle przeszedł do mikroskopu, by równie twórczo badać nieuchwytnie dla wzroku ludzkiego włókienka organizmu ludzkiego i przerzucić się następnie do studyów nad zbiorowym organizmem społeczeństwa.

Czem jest »Bez dogmatu«? Jest to studium psychologiczne z odkrywającą się z każdego punktu perspektywą na społeczeństwo a przytem poemat, bo to pisał poeta. Przed dziesięciu laty, jako sprawozdawca z nowości, zaznaczyłem już ten trojaki charakter dzieła w jego harmonii i jedności.

A każdy z tych charakterów jest taki wyraźny i silny, że łatwo może pochłoniąć całkowitą uwagę czytelnika czy krytyka, jeśli tylko usposobienie lub uprzedzenie zwróci ją osobliwie na którąkolwiek z nich. Stąd jedni widzieli tu rozcinanie włoska na cztery części, inni poetyzowanie czy nawet idealizowanie ujemnego pod względem społecznym typu i jego jałowych samo-analiz.

I oburzali się na autora za suggestyę artystyczną, która ich zmuszała do litowania się lub nawet współczucia kalece moralnemu, okazowi antyspołecznemu. Oczywiście w nagance ówczesnej na autora — na jednego, co poprostu nie poznał się na rzeczy, pomimo życzliwości dla społeczeństwa, było wielu takich, w których gwiżdżała na tę nutę i sykała zazdrość i nienawiść, choć społeczeństwo nic ich nie obchodziło; ale o tem potem.

Tymczasem zaś wróćmy do »Bez dogmatu«, w którego bohaterze możnaby się nawet dopatrzyć wcielenia idei, uosobienia całego społeczeństwa z jego marzycielskością jałową, wrażliwością chorobliwą i brakiem energii w kierunku pozytywno-organicznym — pomimo istotnie wszechstronnych zdolności.

Na korzyść tego ostatniego przypuszczenia przemawia dużo rzeczy w powieści. Poddaje myśl taką rozdział o *improductivité slave* i rozumowania o geniuszu bez teki. Wreszcie jeszcze wyraźniej działa pod tym względem spostrzeżenie — już chyba nietylko w umyśle Płoszowskiego bezwzględnie słuszne — że najzdolniejsi ludzie naszego społeczeństwa zawsze dzięki swym wadom narodowym dają społeczeństwu nieskończenie mniej, niżby mogli. Ta prawda służy za podstawę do twierdzenia, że w narodzie naszym dużo jest Płoszowskich.

Te względy kazały mi ongi przypuszczać, że w tej powieści jest nauka dla społeczeństwa, czego jednak nie należy żadną miarą rozumieć, jako posądzenie o tendencyjność, jeno jako wiarę w ideowość pisarza. Dla uniknięcia możliwych nieporozumień, postaram się dokładnie wytłumaczyć myśl swoją.

Komuż z ludzi myślących i czujących, nie zdarza się co krok napotykać w życiu żywe typy — wcielenia pewnych kombinacji mocy duchowych złych i dobrych lub też uosobienia idei? Nawet rysy zdawać się nam muszą niekiedy typowo mazurskimi, francuskimi, niemieckimi lub wschodnimi, a nowożytność lub zeszłowieczność, zarówno jak wogóle cała gama temperamentów oraz skłonności i zdolności umysłów i serc, stawia przed nami co krok żywe symbole. To też oszczędzając swoją miłość własną i unosząc się delikatnością względem siebie samych, zamiast wręcz stawiać sobie pytanie, czyśmy egoiści czy nie, szlachetni czy nie? — powinniśmy może pytać siebie samych: czego symbolem mógłby być taki lub inny czyn nasz, i wreszcie jakich stron ducha ludzkiego jest symbolem całość naszego postępowania, wbrew nieprzesądzonej naszej doskonałości.

W życiu kombinacje tych symbolów noszą dla ludzi myślących pewien charakter prawidłowości i konieczności bezlitosnej i cudownej, jak formuły matematyczne. Tylko jedne umysły chwytają kombinacje najprostsze, najgrubsze, które się rozumieją nawzajem z prawdami arytmetyki drobnosklepikowej, inne — z konwenansem buchalteryi bankowej, inne zaś — ze szczytnymi w subtelności swej, pochwyconymi przez wyobraźnię twórcze formułami, które uczą poić miliony zebranych

w kupie ludzi, zabijać inne miliony lub obrachowywać kierunki burz, przestrzenie wszechświata, ruchy gwiazd i zaćmienia słońc.

I jak każdy w czterech ścianach najmniejszego mieszkania mógłby znaleźć symbole wszystkich sił natury i wcielenie wszystkich stosunków matematycznych, tak najciaśniejsze życie może ujawnić zastanowieniu przenikliwemu całą złożoność t. zw. sensów moralnych. Im bardziej subtelne będzie odróżnienie zjawiska od zjawiska, formy od formy, stosunku od stosunku, tem głębiej prawdy matematyczne i aksjomaty moralne przenikać będą w umysły do objęcia ich zdolne i sięgać w niezmierność natury czy życia ludzkiego.

Stąd też tylko aparat fotograficzny, przedstawiający martwe życie, może rościć sobie jakie takie pretensje do bezideowości, artysta zaś może zaledwo rościć sobie pretensje, zawsze niesłusznie, do aparatowości fotograficznej, bo właściwem przeznaczeniem jego jest dawać życie żywe, które zawsze jest ideowe, zawsze symboliczne.

Nawet rzeczy tworzą »symbolów lasy«. Ideowemi są wszystkie dzieła sztuki rzetelnej, dzieła natchnienia, gdzie w zarodzie rozkosz twórca tworzy odrazu szkielet idei wraz z ciałem życia; tendencyjnemi zaś zwałbym manekiny, powstałe ze sztucznego ubierania gotowych już szkieletów w ciało życia, najczęściej wełną lub gutaperką udane.

Wreszcie sama ideowość może być świadoma lub nieświadoma. Otóż w Sienkiewiczu, wedle mojej hipotezy, zdolność do odróżniania zarówno zjawisk jak i stosunków między nimi, posunięta jest do najwyższego stopnia. Umysł jego zdaje się w mgnieniu oka zdolny

jest rozłożyć wszystko na części pierwiastkowo-składowe, tylko wyobraźnia mocna jest, dzięki niesłuchanie wysokiej temperaturze duchowej, złączyć je nanowo w taką postać, jaką miały one przy ukazaniu się na światło świadomości, t. j. w całość jedną — niby chemicznie i organicznie. Ponieważ zaś, jak powiedziałem, jest to organizacja duchowa, której powołaniem właściwym byłby potężny czyn zorganizowania i odrodzenia społeczeństwa swego, więc owe symbole żywe, później uświadamiane, formują się w głębi jego duszy nieświadomie tak, żeby dążyć do owego przez przeznaczenie wskazanego celu: obudzić w narodzie to, czem narody w ogóle żyją i żyć mogą, i żyć muszą, a stłumić wszystko, co wiedzie do rozkładu śmierci.

Tak tworzy on, a ową świadomość siebie samego i rozumienie świata i społeczeństwa swego, odgadnąć można w jego powieściach-poematy, ale widzieć trzeba w każdym jego czynie i słowie każdym nawet nie twórczem, czyli we wszystkich znanych czytającemu ogółowi listach lub przemówieniach jego.

Tak więc nazwałbym go uświadomionem wcieleniem twórczem instynktu naszego narodu... Tworzy on tak właśnie a nie inaczej instynktowo, tylko ta świadomość samego siebie i rozumienie świata i społeczeństwa swego i ducha czasu — każe mu zdawać sobie sprawę z działania tego lub owego stworzonego przez się narodu symbolów, a więc pozwala usunąć jakiś szczegół, mogący w umyśle przeciętnym zaciemnić naturalny »sens moralny« czyli osłabić jego rozpęd i ostrość przenikania do serc i umysłów, jako już czynu w zarodku.

Zatem idzie oczywiście konieczność tak przysto-

sowanego do praw żywiołu — sfery ostrugania strzały, żeby polecieć i dolecieć mogła...

Pozostaje już tylko powtórzyć, iż ów t. zw. oportunizm Sienkiewiczowski, mnie się zdaje tylko mądrością i świadomością swej siły.

Analiza »Bez dogmatu«, według owej hipotezy, której słuszności uświadamiałem dowieść, rozbiłaby się na trzy części: stronę psychologiczną, artystyczną i społeczną — aczkolwiek każda z nich tak się tylko da w dziele odróżnić, jak pierwiastki chemiczne, składające drzewo lub węgiel.

Nie będę się zatrzymywał nad każdym typem zosobna, aczkolwiek tu, jak i wszędzie, jeżeli się wyrwie na chybił trafił którąkolwiek z osób działających, to skupiwszy na niej uwagę tak, by jej inne poszczególne ani też całość życia w powieści nie gasiła, wnet dostrzeżemy, że jest ona wyraźna, barwna, żywa. Często kilkoma frazesami, jak malarz kilkoma poruszeniami pędzla, daje on nam nie tylko charakter, lecz właśnie złudzenie życia.

Pani Płoszowska i Hilstówna i Davisowa, stary Płoszowski i matka Anieli i Davis, Śniatyńscy, Kromicki, Łukomski, Chwastowscy nawet — wszystko to godne głębokiego zastanowienia postaci. Będę jednak uwzględniał je tyle tylko, ile tego trzeba będzie dla wytłumaczenia dwóch typów tak ożenionych czarem wyobraźni poety, jak wichrem zaświatowym owe dwa cienie z piątej pieśni »Piekła«.

Otóż Płoszowski jest to człowiek (jakem go określił przed dziesięciu laty) chory na ideał t. j. taki pan, który nie posiadając żadnego ideału, pragnął by go mieć więcej może, niż żyć. Ale pragnienie na nic, i tymcza-

sem w braku ideału kierują nim tylko kaprysy nerwów i żądze zmysłów, hamowane przez tresurę światową i ze krwią płynące tradycje rycerskie, przedewszystkiem zaś przez estetyczne wymagania od siebie samego: fatalnie lubiąc analizować siebie i czyny swoje, nie chce się on narażać na kontemplację obrzydliwości.

Czemu brak mu ideałów? Powiada sam o sobie, że od chwili narodzin świadomości, miał zwyczaj każdą ideę i uczucie i ideał »tak rozłożyć na części składowe, że się potem złożyć z powrotem nie dały«: tak, to wymagałoby właśnie wysokiej temperatury wewnętrzno-duchowej, na którą go niestać. Z analizy płynie mu sceptycyzm, który z kolei analizie bezlitosnej poddany ukazuje swoją bezmyślność. Głupio jest wierzyć w cokolwiek, głupio nie wierzyć, i to jest sceptycyzm w kwadracie. Pewnego Płoszowski nic »nie wie«.

Hipnoza wychowania w zasadach zachwytowo-religijnych podziałała tyle tylko, że sceptycyzm nawet po rozprawie z nią zwyciężkiej, choć odjął władzę, lecz zachował jej honory spokojne i urzędowe. Łatwiej jeszcze załatwiwszy się z materjalizmem, dopatrzył się on łatwo, że nawet prawdy tak zwane ściśle naukowe wiszą jak gdyby w powietrzu, zamiast stać na niewzruszonych podwalinach absolutu.

Oderwany od kraju swego i społeczeństwa nie mógł Płoszowski przywiązać się do gleby czy życia, przejąć się dążeniami narodu... A oderwany jest on, dodać należy, nietylko jako wychowany i przemieszkujący za granicą, ile jako arystokrata, czyli człowiek pięknego imienia i niebrzydszej fortuny, jeżeli bowiem owa t. zw. arystokracja, jak twierdzi Sienkiewicz, wszędzie, jako taka, jest poza nawiasem właściwego życia społecznego,

t. j. tego życia, którem społeczeństwa wzmagają się na sile, rosną i idą naprzód, to nasza poprostu chyba dla swego społeczeństwa nie istnieje.

Czem żyją i naprzód idą społeczeństwa?

Pracą żelazną w walce o byt i namiętne rwanie się wybranych do ideału czyli namiętą miłością dla ludzkości, dla swego społeczeństwa, dla ludu, dla sztuki, dla nauki. Tymczasem właśnie całe wychowanie i życie ludzi w sferach arystokratycznych nie przystosowuje ich zgoła ani do walki o byt i produkcyjnej pracy, ani też do uniesień i wysileń, któreby mogły rozsądzić ubezpieczające spokój i równowagę zewnętrzną formuлки życiowe.

»Pogrążeni w błogim dyletantyzmie — powiada Płoszowski — jakby w letniej kąpieli, żyjemy wpół na jawie, wpół we śnie«.

Dawniej wrzała we wszystkich życiem pycha, dążąca do tryumfów rodu i panowania nad innymi rodami, pycha, co w lepszych przeradzała się w rodową wodzów i kierowników państwa dumę, od której najlepsi, przez poczucie honoru swego imienia mogli się wznieść do poczucia obowiązku względem kraju i jego honoru.

Dziś »przezuwając z wolna odziedziczone mienie i odziedziczony zapas sił muskularnych i nerwowych, tracą stopniowo grunt pod nogami«. I ponieważ uniesienia namiętności ich wstrząsać już światem nie mogą, —, zamykane są w alkowie, jeśli się ich wytrawić tresurą nie udało.

Płoszowskiego gubi nie sceptycyzm, który jest właściwie dla dusz gorących tylko etapem odpowiedniej wiary. Gubi go właśnie owa letniość duszy, sztucznie wyrobiona

owa obcość i dalekość względem wszystkiego, czem żyje świat i rodzone społeczeństwo.

Spadkowość pozwala mu odczuć urok rodzinnego krajobrazu, ale może się on bez niego obejść więcej, niż łatwo. Sztuka niby potrzebna mu jest do życia, ale jako szczyt komfortu, nie zaś ukochanie — szął, niby tak samo, jak piękność kobieca i wyrobienie nerwowe otoczenia czy towarzystwa, odpowiadające wytworności manier przy bezwzględnie poprawnym ubraniu.

Owa potrzeba ideału — opory transcendentalnej dla ducha (jeżeli wolno użyć wyrażenia się technicznego) tkwi też bardziej w jego głowie, niż w sercu. To też jeżeli ów brak staje się tragedią, to tylko dla jego myśli i tylko na chwilę, nie przeszkadzając mu wnet przejść do dyletanckich zadowoleń sztuki lub do »godzin sali«.

Tak niezwykłą intuicją odgaduje on dokoła siebie i w sobie otchłanie, ale półsenności jego nie zdoła wstrząsnąć do gruntu groza tajemnicza, rodząc wiarę Pascala lub poetycznie naukową kontemplację nieskończoności Amiela.

Wobec tego cóż miało stanowić o każdym jego czynie, prócz tych popędów i hamulców, które nazwałem wyżej? Samo to analizowanie wszystkiego, co przypadek do retort doskonałych zaniesie ze świata zewnętrznego czy wewnętrznego — jest dyletancką zabawą jałową, nie przypominającą wcale tej analizy zorganizowanej, co z gabinetu chemicznego może uczynić serce kierownicze organizmu fabryki.

Taką duszę tylko coś działającego przedewszystkiem na nerwy i zmysły mogłoby zapalić, odnalazłszy wewnątrz duszy materiałów palny w samych instynktach podstawowych. Jak wogóle na ludzi jego gatunku (za-

równy w dobrym, jak w złym sensie), czyha nań mocna, iak śmierć, miłość dla kobiety. Wie on zresztą, że jest w wieku najwyższego rozwoju pragnień instynktowych założenia rodziny i czuje, że napotkał »sвій typ«.

Przez niego samego wytworzone przeszkody stają się najwyższym probierzem tego uczucia, i oto namiętność rośnie, pożerając stopniowo wszystkie upodobania i kaprysy — i życie całe w końcu.

Przeciwieństwem Płoszowskiego w porządku idealnym jest Anielka tak, jak Śniatyński i Połaniecki w porządku społecznym.

Cudny to typ kobiecy — Anielka.

Trudno zapewne pojąć na tle współczesności tę wiarę bezkrytyczną i bezwzględną w katechizm poczciewej Magdy. Nie mieć żadnych wątpliwości w wierze najzawilszych powikłań życiowych — to coś jakby nie z tego świata, ani też nie z tego wieku. Takie zakończenie zdania podsuwa mi jeszcze взгляд na to, że istotnie w postaci tej niema nic nowożytnego. Ze wszystkimi wyrazami i czynami, jakie w powieści charakteryzują jej duszę, możnaby ją przenieść do cichego a cnotliwego dworu pańskiego w wieku XVI lub XVII, i niktby anachronizmu nie dostrzegł.

Czy to zarzut?

Bynajmniej, i to nie dlatego, że artysta, gdy chce, każe kowalowi współczesnemu nawet centaury bajecznego podkuć, i dobrze będzie, byleby zarówno jeden jak drugi łudził życiem, lecz dlatego, że typ Anielki po najściślejszej analizie zdaje mi się należeć zarówno do wszystkich czasów.

Ta jej niezłomność w posłuszeństwie zasadom »zaczynego Bartłomieja i poczciewej Magdy« płynie wcale nie

z przedwiecznej ograniczoności umysłowej lub też z fanatycznego dogmatyzmu. Podstawą jego są: niezmienna czystość jej duszy, prawość bezwzględna, najszlachetniejsza duma kobieca, instynktowa nieufność natur wybranych względem rad i dowodów egoizmu, ogromny polot najcichszego serca ku ideałowi nadziemskiemu i wreszcie do stopnia najwyższego rozwinięte poczucie odpowiedzialności. Zdaje mi się, że wszystkie te cechy są wiecznymi źródłami doskonałości moralnej, i one to w danym wypadku, z dodatkiem instynktu niemylnego, co im służy, stanowią parlament, który sama Anielka nazywa sumieniem w owym zdaniu: »wszystkiego można dowieść, ale gdy się źle robi, sumienie zawsze powie: źle, źle — i niczem nie da się przekonać«. Katechizm tylko sankcyi wyrokom tego parlamentu używa.

Myślę, że nie dogmat żaden sam przez się kazał jej oprzeć się instancyom Śniatyńskiego za Płoszowskim, lecz wielka złożoność myśli i uczuć. Duma rzekła: pobawiwszy się odtrącił cię, jak się odtrąca psa, gdy już pełne ufności spojrzenie jego i łaszenie się znudziło, a teraz masz lecieć na jego skinienie, które czyni może tylko nowy paroksyzm kaprysu?

Możnaż z takiego upokorzenia — dla świetnej partyi, jak on, pomyśli — uczynić kamień węgielny całego życia? Czyż ono obudzi w tym człowieku szacunek dla ciebie, bez którego życia sobie wyobrazić nie możesz, a którego brak, zarówno jak i brak miłości prawdziwej, taki jest oczywisty? Czyż zawód okrutny, który on potrafił uczynić dla ciebie obelgą, nie zabił w tobie całej miłości i ufności?

Prawość odezwała się: dałaś słowo Kromickiemu —

dotrzymaj, a poczucie odpowiedzialności dorzuciło: za cóż zawiedziesz sama i upokorzysz człowieka dobrej woli i dobrej wiary?

Gdyby nawet Anielka mogła była widzieć serce Płoszowskiego tak dobrze, jak my widzieliśmy je po przeczytaniu pierwszego tomu powieści, postąpiłaby niezawodnie tak samo. Może walkę zwyciężką w duszy jej potrafiłoby stoczyć niemożliwe w jej sytuacji jasnowidzenie przyszłej jego rozpacz i bólu, wywołując rozdwojenie w poczuciu odpowiedzialności. Słyszę je później, razem z litością i miłością w spazmie, co przerywa jej słowa: »tembardziej, że jeżeli ci tak źle...« (to ja jestem temu winna).

I doświadczenie własne i opinia ludzka, i co chwila zdradzające namiętność zachowanie się Płoszowskiego w Płoszowie — wszystko to każe jej pamiętać, że to z mistrzem uwodzicielem sprawa, każe instynktowi, jak rabowi wiernemu, czuć bezustanku, co chwila ostrzegając o niebezpieczeństwie. Wobec takiego nieprzyjaciela trzeba się trzymać w okopach, jako mysz w norze wobec kota, nie rachując ani na jego litość, ani też na przeoczenie okazyi.

Niema tak spokojnego i lojalnego narodu, którego nagły a niespodziewany kataklizm natury nie wyprowadziłby z równowagi. Otóż i ów t. zw. upadek Anielki byłby możliwym, gdyby np. wszystko to, co ją do niego mogło popychać zbiegło się nagle i niespodziewanie z siłą żywiołową w jednym piorunie-momencie, nie zostawiając czasu na porwanie się ze snu obrońców wewnętrznych jej cnoty.

Czy brak Anielce zmysłów? Myślę, że i Płoszowskiego do szaleństwa doprowadza właśnie przecucie

całego bezmiaru pełnego szczęścia miłości, jakie dając mogłaby czuć ona. Gdyby tylko życie jej lub wyobraźnia skalana była czy przepalona wrażeniami zmysłowemi, duch nie uratowałby jej od tak zw. upadku i nie górowałby tak bezwzględnie nad ciałem.

W każdym razie czujemy w niej wyraźnie temperament kobiety, z której doskonałą mniszkę mogłaby zrobić przy pomocy owego parlamentu rozpacz, lecz nigdy powołanie.

Czy jej przychodzi na myśl pytanie: możeby mu uledez? W parlamencie jej żaden głos nie śmie postawić podobnej propozycji. Sienkiewicz odmalował ją tak, że naprawdę wyobrazić sobie nie mogę jej dobrowolnego oddania się Płoszowskiemu niezależnie od kataklizmu duchowego.

O daniu ucha temu bezwzględnie egoistycznemu instynktowi ciała, który każe się odebrać od niemiłego a oddać miłemu — mowy być nie może. Pamięć na ból i upokorzenie bezwinnego męża wobec głupiej opinii świata gotowa jest obudzić się przy każdej sposobności, zresztą rozwód byłby katastrofą nawet dla matki. Co się zaś tyczy oszukiwania męża, to niech kto spróbuje wyobrazić sobie Anielkę, pieszczotami usypiającą męża, by pójść bez przeszkody do kochanka, lub choć ze spuszczonego oczyma kłamiącą wykrętnie.

Dalej — najszlachetniejsze z ciała i ducha kobiety ulegają niekiedy nawet wbrew chęci i rozumowi przez słabość, która ostać się nie może wobec błagań lub wybuchów namiętności kochanka — ale Anielka jest uosobieniem siły, choć nieświadomej siebie i cichej: »gdy zapowiedziała mężowi, że nie robi czegoś, co się sprzeciwia jej sumieniu, to będzie się trzęsła ze strachu, ale

nie robi«. Ten sam ogrom skupienia czyni z niej organizację, której niepodobna wyobrazić sobie jako niewolnicy t. j. istoty, której wolę mógłby choć żywiołowy nakaz zwrócić z drogi ideału, zasada więc, że kłamstwo nie hańbi niewolnika, nią kierować nie może. Wreszcie nieufność bezgraniczna względem podszeptów egoizmu, cecha najwyższego szlachectwa duchowego, nie pozwoliłaby nigdy w jej umyśle zorganizować się zrozumieniu swoich t. zw. praw do życia, szczęścia.

Nie chcę oczywiście powiedzieć, że Anielka jest jedyną doskonałością kobietą, której znów jedyną zarazem podstawą i koroną jest uczciwość małżeńska.

Myślę, że nadawszy rozmiary czynnie bohaterские niektórym stronom charakteru Anielki, mógłbym wymarzyć kobietę niemniej od niej wartą w ideale i w społeczeństwie — pomimo niewierności, zdaje mi się tylko, że ją samą ten dodatek by zmniejszył wobec takich sprawdzianów, a zdaje mi się tak, chociaż nietylko rozumiem, że Płoszowski wolałby, żeby ona nie była taką niezłomną, lecz nawet Kromicki według mnie, gdyby był należycie wrażliwym i bogatym w miłość rzetelną dla żony i równe Anielczynemu poczucie odpowiedzialności za jej mękę, powinienby był stokroć woleć otwarte okrucieństwo wyznań żony, niż takie poświęcenie się.

Ale nie wątpię, iż dotrzymywanie słowa lepsze jest samo przez się, niż niedotrzymywanie, a więc i wierność w imię przyrzeczenia bezwarunkowego lepszą jest oderwanie od niewierności: rzetelnością i prawdą stoją społeczeństwa, instytucje i przedsiębiorstwa, a nierzetelnością padają. Obecna zaś organizacja społeczna z całą poniekąd słuszością nakazuje patrzeć na miłość, jako nie na moc mistyczną, lecz na zdolność, którą można

zakontraktować na całe życie, a więc nakazuje też kontraktów dotrzymywać.

Cały ten ustęp miał za cel wytłumaczenie, że zachwyt mój dla typu Anielki nie płynie z nawrócenia się na dogmatyczne zasady zachowawcze, jeno z poczucia w niej indywidualnego piękna duchowego i harmonii.

Dusza to taka piękna, że aż boli jej dyssekcyja.

Na zakończenie parę słów analizy jej miłości dla Płoszowskiego, przepisanych zresztą z własnej mojej krytyki (*»Życie«* 1890). Na dowodzenia Płoszowskiego, że w naturze uczucia leży czyn, że musi ono bezwarunkowo wytwarzać akty woli, Anielka odpowiada: *»Albo się cierpi«* — i to jest pierwszym wyznaniem miłości; drugie spadnie w chwili zgonu. Pierwsze wyznanie nieszczęścia z Kromickim zawiera ona w zdaniu: *»Muzyka to najlepsza pociecha«*. I przez wiele tortur przejdzie to serce, zanim się zdobędzie na wyraźny krzyk rozpacz: *»Ty sądzisz, że mi wszystko łatwo przychodzi i że mi brak serca, a mnie wcale nie lepiej niż tobie... Skoro jestem nieszczęśliwa, pozwól mi zostać uczciwą«*. Cały ogrom jej cierpienia i miłości zawarł autor w *»spojrzeniu zhańbionej męczennicy«*, którem żegna ona Płoszowskiego, co ucieka dowiedziawszy się *»wielkiej nowiny«* o jej stanie.

Wartość poetycka *»Bez dogmatu«* jest olśniewająca. Cały urywek z pamiętnika o wizycie Hilstówny w Płoszowie jest pod względem nastrojowości u szczytu sztuki — będąc zarazem kopalnią rysów psychologicznych: szczęście Śniatyńskich, zachwyt twórczy Klary, korna jej i spokojna miłość, i samo siebie przeczące, nieśmiałe a niemniej od woli niezłomne w smutku swym

kochanie Anielki, i rozsadzająca piersi Płoszowskiego radość...

Wyliczać jednak wszystkich skarbów poezji nie będę, powiem tylko, że wybranemi stąd cudnemi poematami w prozie, które same przez się godne byłyby wielkiej sławy twórcy, mógłbym tomik ten zappełnić. To też jeżeli wogóle pamiętniki często stanowią rodzaj *contradictio in adjecto*, to jednym z najwspanialszych jego okazów jest właśnie *»Bez Dogmatu«*. Płoszowski, któryby tak jasnowidząco widział ludzi i zdarzenia, że aż umiałby słowem dawać złudzenie jasnowidzeń innym, któryby mógł tak porywać dusze i wszczepać w dusze nastroje — byłby już geniuszem z teką, miałby moc twórczą czyli nie odłączny od istoty swej dogmat, sam siebie stwierdzający, jak, wedle Spinozy, światło dowodzi samo siebie służąc zarazem za sprawdzian ciemności.

Drugą antytezą Płoszowskiego — już w dziedzinie działalności wysoko i szeroko społecznej — jest Śniatyński, o duszy wielkiej i zdrowej we wrażliwości najsubtelniejszej. Serce nie pozwala mu przefilozofować ani *»społeczeństwa«* w życiu publicznym, ani kobiety, w prywatnym — więc komediami swojemi sieje dobro dla kraju, a zbiera też i dla siebie szczęście.

X.

Dalej Sienkiewicz zdaje się mówić do ogółu: nie tylko Śniatyński, bądź co bądź natura wyższa, twórcza, więcej jest wart dla społeczeństwa od Płoszowskiego, ale nawet taki Połaniecki, co ani prochu nie wymyśli, ani sercem lub umysłem ogromów nie obejmie, potrafi

przynajmniej przyłożyć się pracą energiczną do zwiększenia bogactwa krajowego, potrafi »zapalić w domu ogień«, przy którym ogrzeje się niejedyn »zmarzły na forum«, a potrafi w perspektywie (przypominającej owo Halbanowskie: »wy pewnie myślicie, że tu koniec powieści«) spędzić życie w »służbie Bożej, w pracy z ludem na roli« i czując, że gdyby dla społeczeństwa, które kocha, nawet wymyślając mu, »w danym razie trzeba było pójść w ogień i wodę, toby poszedł«.

O charakterze i artystycznej oraz ideowej wartości »Rodziny Połanieckich« zdania krytyki i publiczności namiętnie i krańcowo są podzielone; otóż pomimo wrodzonego wstrętu do złotego środka, wypadnie mi się do niego tym razem nieco zbliżyć.

Pogląd na »Rodzinę Połanieckich«, jako na zwrot ostateczny Sienkiewicza do ideałów filisterskich zarówno w dziedzinie myśli oderwanej, jak i stosowanej do społeczeństwa — zdaje mi się zgoła niesłusznym. Jakem mówił, wyobraźnia i serce jego od początku do końca przesiąknięte były nastrojami religijnymi, umysł zaś od dawna rozumiał, że ze wszystkich idei najwyraźniej łączą największą ilość mówiących po polsku — właśnie religia i religijność, tkwiąca według niego w rdzeni ducha narodowego (»Potop«). Stąd wynika naturalne przeznaczenie jego słowa-czynu w tym kierunku, w myśl owej hipotezy o jego organizacyi twórczej.

Wszystkie etapy myśli i uczuć Połanieckiego w drodze do »służby Bożej« są według mnie szczytem analizy psychologicznej, ani na mgnienie oka nie zapominającej, że tu chodzi o umysł tęgi i zwarty, ale ani giętki, ani obszerny, o duszę jędrną i z gruntu dobrą, ale prostą i grubą, przedewszystkiem zaś o serce choć nie nad-

czułe, nie skłonne do sentymentów poetyckich i niełatwe do rozgrzania, ale ostatecznie zdolne do przywiązania szczerze bezinteresownych i głębokich. Nie rozpada się ono nad Bukackim, nie wyje z bólu nad Zawilowskim, ale panią Emilię kochało, jak siostrę najukochańszą, a Litkę — jak tylko można kochać bez kochania się.

Tylko naiwność bezwzględna może po przeczytaniu »Bez dogmatu« brać uczuciem zapalone rozumowania Połanieckiego za argumenty niezbite dla umysłu Sienkiewicza z punktu widzenia krytyki filozoficznej. Wiara Połanieckiego płynie tu ze zwykłych źródeł: wyobraźni, uczucia i łaski, a ukazuje nam ją Sienkiewicz, jako potęgę dodatnią wobec najszerzych interesów społecznych, które, jakby przez instynkt samozachowawczy idei, nawet ją poddać gotowe.

Wierzenia religijne Płoszowskiego nie ostały się wobec lektury przyrodniczo-filozoficznej; rozumie on doskonale, że ani psychologia, ani żadna nauka ścisła, czy też mająca korzenie w zjawiskach, nie wie nic o nieśmiertelności duszy i »nie może wiedzieć«. »Jeśli po tamtej stronie jest coś wieczystego, to nieszczęścia i straty po tej stronie maleją do zera«. Moznaby do nich zastosować słowa Hamleta: »a to niech dyabli porwą żałobę, ja wezmę sobole«. Ale brak mu dość gorącej chęci noszenia »soboli«, by nakazać milczenie zbyt potężnej krytyce. Chwilami uderza jego wyobraźnię moc szlachetna wiary, ale niby wdzięk Beatrycze, której on jednak nie potrafi ukochać tak, by iść ku niej przez wszystkie kręgi piekieł, lub jak moc bohatera, dla którego czci bezwzględnej nie wykrzesze jednak ze siebie jego dusza.

»Ciotka była poprostu pyszna — spostrzeża w nim np. malarz — gdy (podczas burzy okropnej obiegując

cały pałac) z głową podniesioną spoglądała wyzywająco w te czarne i miedziane zwały chmur i przygrażała im swoim dzwonkiem (loretańskim)«.

»Miałem przed sobą — dodaje poeta — jakby symboliczny obraz: w chwili gdy wszystko drży przed grozą, przykłęka w przerażeniu i drętwieje, wiara jedna nie boi się, wyzywa — i dzwoni!

»Jest to bądź co bądź, pierwiastek nieobliczonej potęgi w duszy ludzkiej« — kończy myśliciel. Ale wszystko to nie wstrząsa człowieka do głębi, i »nie wie« on w dalszym ciągu, kiedy Połaniecki wszystkiego się chwyta całą duszą, a instynkt człowieka czynu praktycznie dodatniego w sensie społecznym — dąży w nim nieświadomie lub półświadomie do rozbudzenia owej »potęgi nieobliczonej«.

W ten to sposób wzruszenie w kościołku wiejskim nasuwa mu myśl, że »wszystkie systemy filozoficzne mijają, jak cienie, a msza po staremu się odprawia, bo ona jedna obiecuje dalszy i nieprzerwany ciąg«, a przecie lepiej jest — mógłby dokończyć jego instynkt praktyczności nawet w marzycielstwie — lokować swoje kapitały duchowe w przedsiębiorstwie duchowem bardzo dawnem i pewnem, niż w firmach, co jak grzyby po deszczu, wyrastają, by wnet zbankrutować.

Jego »niezupełnie wyłoniąca z wszechbytu głowa słowiańska« pęka od myśli o śmierci, obudzonych z najwyższą siłą przez utratę Litki, i przychodzi nareszcie do wniosku podwójnego: iż to wszystko, czem on żył dotąd, żadną miarą go nie może ze śmiercią pogodzić, a potem: »żeby się pogodzić z życiem, trzeba się na-przód pogodzić ze śmiercią«, a już wniosek ten pcha go w objęcia kościoła, kiedy taki Płoszowski np. przy-

pomniałby sobie Greków, którzy godzili się jak najcałkowiciej z życiem, nie godząc się ze śmiercią, a potem proponowałby drwiąco swej duszy egipską lub budaistyczną z nią zgodę, którą przypomniałyby mu też owe imponujące wyobraźni Połanieckiego blisko dwa tysiące lat trwania tych form służby bożej, w których świat obecny żyje.

»Z jednej strony tradycja tysięcy lat, życie Bóg wie ilu pokoleń, Bóg wie ilu społeczeństw, którym było i jest w tych formach dobrze, powaga Bóg wie ilu głów, które uważają je za jedyne — z drugiej strony kto taki? — ja, współnik domu komisowego pod firmą Bigiel i Połaniecki! — i ja miałbym mieć pretensye, że wymyślę coś lepszego, w co się Pan Bóg lepiej pomieści... A do tego tak wierzyła moja matka i tak wierzy moja żona, a nie widziałem w nikim więcej spokoju, jak w nich«.

Otóż te potężne dla Połanieckiego argumenty, których analogie mogłyby tak samo dobrze jakiegoś podobnego pana w swoim czasie uleczyć ze sceptycyzmu co do bogów olimpijskich — rozpuściłyby się w umyśle Płoszowskiego, jak cukier w spirytusie.

Również musiał on patrzeć na Papieża oczyma, które podziwiał »obraz symboliczny wiary«, kiedy Połaniecki »uczuł się ziarnkiem piasku, w którym było wdzięczne serce dziecka«.

Niemniej świetnie przeprowadzona tu jest analiza równoległych zmian, w stosunku Połanieckiego do żony, tego uosobienia pogody i wiary, dobroci i słodczy, miłości i wdzięku. Powiedziałbym, że to Anielka szczęśliwa, gdyby przedewszystkiem nie była ona dla

mnie taką wyraźną, że aż inną, i gdyby zarazem analiza nie wykryła mi w niej pierwiastków tej inności.

Natura to niemal równie prawa i wrażliwa, ale nie czuję w niej ani mistycznej jakiejś niezłomności Anielki, ani jej mimozowatości, ani tego czaru tragicznego, którym tchnie jej miłość. Mając obydwóch do wyboru, Anielka nie pokochałaby Połanieckiego, ani Marynia Płoszowskiego. Tamta jest marzeniem wcielonym, ta rzeczywistością, marzeniem opromienioną; tamta bardziej aniołem, ta kobietą, tamta bardziej Maryą, ta bardziej Martą.

Doskonałość typów w »Rodzinie Połanieckich« jeszcze bardziej olśniewa przy ich mnogości. Pani Emilia z Litką — marzenie z marzeniem, anioł z aniołem — mistyk Waskowski i dekadent Bukacki, Bigielowie, Osnowscy, Maszkowie, Broniczowa, Niteczka, Świrski i t. d. — wszystko to są arcydzieła widzeń artystycznych i analiz psychologicznych. Nie brak tu też ani momentów dramatycznych, ani subtelnych spostrzeżeń z życia serc i dusz, osobników i społeczeństw, ani myśli sięgających w głąb duszy człowieka i stosunku jego do obydwóch światów, ani wreszcie owych cudnych pieśni w prozie, które jak kwiaty zdobią u niego i doliny górskie, i łąki poziome życia, wytryskując nawet niekiedy z jałowych pozornie zrębów skalnych. Materiału tyczącego się poszczególnych piękności i subtelności »Rodziny Połanieckich« wystarczyłoby mi na całe takie studium, jak obecne — nawet sam tylko poemat o Litce.

Pierwsza połowa powieści — to pogoda i spokój stosunkowy, ale w drugiej tętna wyobraźni twórczej zaczynają bić coraz niespokojniej i gwałtowniej. Niby na pogodne niebo wypływa chmurka wciąż rosnąca. Już

w samym komizmie przewrotności i kłamstw pani Browiczowej, w maskujących płaskość pozach Niteczki i w zepsuciu Osnowskiej — zarówno jak w stylu i tonie pisarza — czuć jakąś grozę. Od pierwszych scen chwyta nas niepokój okropny o Zawiłowskiego. Pretensyi do autora o wstawienie do powieści wstrząsającego o nim dramatu nie śmiałbym jednak mieć, a prędeż podziwiałbym mistrzostwo techniki powieściopisarskiej z jakim Sienkiewicz potrafił go tak włączyć, żeby powieść nietylko nic a nic równowagi nie utraciła, ale zupełne dawała złudzenie jedności i całości harmonijnej, a chwilami nawet prócz tego złudzenie, że zdawałaby się ona niezrozumiałą bez tej wstawki.

»Rodzina Połanieckich« zdaje się w całości swej najmniej górnem z wielkich dzieł Sienkiewicza, bo żeby na niego spojrzeć z przeciętnego poziomu życia w tej powieści najwyżej trzeba głowę zadzierać. Usiłowałem już wytłumaczyć to naprzód potrzebą odpoczynku duszy wśród codziennego życia, oraz instynktową ochroną od maniery przez płodozmian wyobraźni, a wreszcie ową przeznaczeniową koniecznością wypowiedzenia z możliwą wszechstronnością myśli o społeczeństwie swoim — we wszystkich możliwych do pochwycenia i wypowiedzenia postaciach — oraz idei, której żywot w zaćmieniach i blaskach, jest właściwą treścią jego życia.

Otóż w życiu inteligencji naszej widzi on właśnie zaćmienie żywego ducha narodowego — pomny, iż trwałość gmachu społecznego może stać tylko na powszechnym harcie charakterów, na tęgości nerwów, na jedności dusz, na prawości serc, na zdrowotności obyczajów, na jedności ideałów — z czynnem przystosowaniem się owego ducha do ducha i ciała czasu.

»Połaniecki — powiada Sienkiewicz — chciał dla swego społeczeństwa prostoty i surowości obyczajów, w przekonaniu, że tylko na takich podstawach może się rozwinąć społeczna tęgość i odporność...«

Ogniste dusze i wyobraźnie same znajdują prawdę swoją, zdaje się on mówić, a oto pokażę wam człowieka zaledwo przeciętnie dobrego i inteligentnego, który jednak z »akcyonariusza« wielkiej fabryki towarzyskiego zepsucia, w którym się kalają serca i odhartowują energie, staje się powoli »akcyonaryuszem« innej, produkującej ciszę i cnotę domu rodzinnego z »oknami na słońce«, a dążącej do jędrnej zwartości powszechniej.

Powtarzam, ideowość Sienkiewicza jest ideowością nie ideologa utopisty, lecz praktycznego działacza, o najszerszym możliwym dla męża stanu poglądzie na społeczeństwo. Obejmując całość w jej przeszłości i terażniejszości rozumie on tysiąc razy lepiej od największych proroków idei bezwzględnego postępu, że życie społeczeństwa nie może być unisonowem, tylko mniema, że w każdej orkiestrze wszystkie instrumenty dla wytworzenia harmonii muszą grać z jednego tonu, że nawet dyssonanse, winny w jakimś wyższym porządku praw być zharmonizowane z duchem symfonii, nie mogą stanowić czegoś bezwzględnie przypadkowego, względem idei wielkiego dzieła.

Myślę też, że gdyby nawet zgodził się on jako artysta na sztukę dla sztuki w pieśni, co nie widząc ziemi wprost z serca leci do Boga, to jako człowiek musiałby zawsze pamiętać, że postęp dla postępu jest w życiu narodów nonsensem, a wartość społeczną ma tylko wzrost możliwie wielkiej ich doskonałości

w szczęściu, prawie, prawdzie i wyrazie idei swej opatrnościowej.

To znaczą w jego języku wyrazy: »zdrowy postęp«, stosowane do ludzkości czy też narodów poszczególnych.

XI.

Sledzenie dróg, któremi szło natchnienie ku duszy Sienkiewicza roznamiętnia mię, jak wmyślanie się w zawsze wielkie tajemnice natury. Jego niesłychana dyskrecja zdaje się mówić milczeniem do narodu i świata: moją rzeczą tworzyć, a wy róbcie sobie z wcielonymi marzeniami, co chcecie, rozumiejcie je, jak musicie.

Jeżeli jednak kiedyniekiedy uda się znaleźć źródło pierwotne wielkiej rzeki, zawsze się okazuje najoczywiściej, iż zarodkiem twórczym i przyczyną dostateczną dzieła każdego był nastrój poety i uczucie serdeczne człowieka, za którymi tylko ten sam typ konieczności logicznej, co widzi celowość w naturze, każe też odgađywać możliwą jedynie *post-factum* do uświadomienia moc mistyczną, opatrnościowo zdążającą ku najmilszemu dobru.

Cudnym poematem »Listem z Rzymu« trysnął nastrój, z którego się zrodziło »*Quo vadis*«. W tym liście-poemacie Sienkiewicz, opisując w sposób niesłychanie obrazowy i porywający wszystko to piękne i wspaniałe, co oczy jego cielesne widzą, mówi tak, jakby marmury zmurszałe posągów i kolumn starożytnych i kamienie ruin olbrzymich były dziwnymi i tajemniczymi pryzmatami, przez które, niby przez kryształ, widać żywe czasy,

co je stworzyły. Złudzenie wyobraźni, zdolnej odbudować wszystko, co w gruzach, takie było potężne, że aż po rozwianiu się pozostawiło mu świadomość siebie, jak sny bardzo wyraźne.

»Wszystkie wspomnienia — pisze Sienkiewicz — wszystko co wie (podróżnik) o dziejach Rzymu, co o nich czytał, a co, mimo całej zdolności do odtwarzania wyobraźnią, wydawało mu się mimowoli czemś oderwanem, poprostu jakąś teorią historyczną, tu przybiera kształty dotykalne i występuje jako istotna rzeczywistość. Można na to patrzeć i dotykać ręką. I jest w tem jakaś dziwna rozkosz gdy się pomyśli: ja tu jestem, ja to widzę!«

Pozwolę sobie przytoczyć parę ustępów z tego listu, w parantezach lub podkreśleniem zaznaczając przesuwające mi się przed oczyma skojarzenia myślowe i szczególnie wyraźne perspektywy na »*Quo vadis?*«

»Na cesarstwo można patrzeć, jak na reakcję ducha ludzkiego przeciw pochłaniającej wszystko idei państwa. Świat już był podbity, a obywatel, zepsuty tryumfami, męczył się tą ustawiczną potrzebą poświęcenia wszystkich sił ducha i ciała państwu (jak to czyni jeszcze Aulus Plaucyusz). Z drugiej strony, człowiek zapragnął żyć, jako jednostka, nie ginąć bez śladu w nirwanie państwowej, poświęcić się poezji, sztukom, rozkoszom (Petroniusz); więc całą tę olbrzymią pracę rządzenia złożył w ręce jednego cezara... Cezarowie kąpali lud w łaźniach, rozdawali zboże na rynkach, pieścili. Lud kochał nawet i Nerona, który był dlań zarazem intendentem i najstarszym błaznem.

Wysokie tylko głowy obcinano do ogólnego po-

ziomu, ale spodłonej czerni tego rodzaju równość płaciła właśnie za wolność. Płaciły jednak przedewszystkiem igrzyska. Tu z »kunikulów« w koloseum odbywały się nocami przeciągłe ryki lwów... Wśród ryku zwierząt i chrapania konających, dziewięćdziesiąt tysięcy gardzieli wołało: *macte!* klaskały dłonie, palce podnosiły się ku górze lub na dół... Tu także konali cicho chrześcijanie... Potem piekielny chórął krzyków i jęków dzikich i wściekłych i rozpaczliwych lub pokonanych umilkł raz na zawsze, a na przesiąklej krwią arenie rozciągnął w głuchem milczeniu, ramiona krzyż«.

Od obrazów ruin świątyni Konstantyna lub Karakalli, oderwać się trudno, tyle w nich nastroju.

Oto jak zacząłem studium swoje o »*Quo vadis?*« w chwili jego ukazania się.

»Gorączkowość, z jaką się ta powieść czyta, nawał tryskających z niej wysoce artystycznych wrażeń, szereg scen przedziwnie plastycznych i barwnych i niezwykle charakterystycznych typów, jakie pozostawia ona w pamięci, wszystko to wyraźnie mówi czytelnikowi, że ma do czynienia z dziełem niepospolitem, budzi w nim całym niezależnie od dumy narodowej, pewnością, że dziełu temu wolno przepowiadać nietylko chwilowy rozgłos po świecie, lecz nawet trwałą sławę.

Czy jednak i w jakim stopniu »nieśmiertelność« stanie się udziałem tej książki, lub, inaczej mówiąc, ile zaklął w nią Sienkiewicz wiecznych pierwiastków duszy człowieka i świata, jaki osiągnął stopień harmonijności i, że tak powiem, esencjonalności we wcielonem tu pięknie i prawdzie? wielce to kłopotliwe pytanie.

Zapewne, sama chyba trudność odpowiedzi na nie musiałyby zachęcać każdego sprawozdawcę do ograniczenia się przedstawieniem wszystkich pozycji tego złożonego rachunku bez ich bilansowania i to tem bardziej, że perspektywa wystąpienia, na wzór polityków dziennikarskich, z niefortunną przepowiednią przyszłości niezbyt jest nęcącą. Żaden inny utwór literacki nie mógłby wymagać większej oględności (zarówno co do każdego punktu poszczególnego owych obliczeń, jak i co do sposobów wydobywania z nich wniosków możliwie pewnych), niż »*Quo vadis*«, gdzie operowanie wielkościami olśniewająco olbrzymiemi, a częstokroć pozornie niewymiernemi, nastrocza krytykowi zbyt wiele niebezpieczeństw. Zdaje mi się jednak, że wnioski moje pomimo błędów powstałych z możliwych opuszczeń, przecenień czy niedocenień, przydać się mogą czytelnikowi jako, że się tak wyrażę, projekt do zdania o rzeczy, w którym łatwiej będzie coś sprostować, niż stworzyć z gruntu nowy.

Dziś nietylko niemniej, lecz więcej zdaje sobie sprawę z trudności tego bilansu, bo nawet poszczególne jego pozycje, które ongi zdawały się mniej lub więcej ostatecznie określone, po nowym obrachunku jedne mi się skurczyły, drugie urosły ogromnie. Wreszcie sformułowałem nowy sąd, niby bardziej odpowiadający rzeczy, ale niepokój wewnętrzny wnet zmusił mnie do odczytania nanowo »*Quo vadis*« od deski do deski, skąd wynikło nowe przetopienie krytyki. Kiedy jednak i ta, nawet całkiem z domu oddana, spokoju mi po sobie nie zostawiła, ciągnąc wciąż ku sobie myśl, dalszym ciągiem zająć się już nie zdolną — wziąłem się do nowej rewizyi, ostatniej, chociażby ze względu na brak czasu.

Zresztą zdaje mi się, że na ściślejszą analizę, na większy wysiłek myśli dla wykrycia wszelkich grających tu rolę »*éclat*«, na skuteczniejsze, na mniej subiektywne omylne sprawdziany — już mnie nigdy stać nie będzie, chyba żebym odmłodził.

Otóż przedewszystkiem dostrzegam, że owa zaznaczona przezemnie przed laty jedność zachwytu względem całości dzieła jest stałem i niezmiennem wrażeniem mojem przy odczytywaniu »*Quo vadis*«, chociaż poglądy na pewne szczegóły powieści same w sobie lub też na te lub owe rozważane z osobna strony powieści — nieraz z gruntu się zmieniają. Ponieważ zaś szczytem życzeń krytyka musi być wyprodukowanie takiego zdania o rzeczy, któreby mu dało zgodę wewnętrzną, powinienem przedewszystkiem przyjąć za podstawę dalszych wywodów to, że »*Quo vadis*« jest dziełem jednolitem, całością harmonijną. Dalej uprzymiśniam sobie, iż skoro o jednej i tej samej rzeczy dochodzę do różnych wniosków, dowodzących nawzajem nieprawdziwości swojej, to oczywiście należy przeanalizować własne moje przesłanki, w nich tylko bowiem może tkwić przyczyna zmienności i błędu.

Na drodze tej analizy łatwo mi już przyszło wykryć dźwignie rozmaite, które mi służyły do wydobywania wniosków. Przypomniawszy sobie, do których momentów uwaga moja umysłnie wróciła po odczytaniu jednym tchem dzieła, określić już mogę ściśle punkt, z którego na rzeczy patrzyłem.

W ten sposób dochodzę do przekonania, że najbardziej wpłynęła na skrzywienie moich pierwotnych sądów o »*Quo vadis*« źle zrozumiana reklama, która poprzedzając ukazanie się dzieła, głosiła, że ma to być

epopea chrześcijańska, przedstawiająca narodziny nowej wiary w łonie upadającego Rzymu. Z tego punktu widzenia musiałem zaznaczyć, że »nowa wiara« już jako potęga w powieści występuje, że nawet szerzenia się jej tu nie ma, bo tylko dwa całkiem wyjątkowe nawrócenia (Winicyusza i Chilona) widzimy, a jak niewolnik porywał niewolnika dla Chrystusa — nie widzimy wcale. Nie mamy też całości gminy chrześcijańskiej z jej organizacją, naturalnie przystosowaną do szerzenia podbojów. Mamy tu tylko wpuszczany po sprawdzeniu tłum wiernych, do którego Apostoł przemawia. Przedstawiciele gminy tej, w rodzaju Linnusa, Glauka lub Euryciosa, są najzupełniej konwencyonalni, a więc nie mogą jej charakteryzować, Kryspus znów, ojciec duchowy przysłych kalwinistów, zbyt jest wyjątkowy.

Wreszcie brak w powieści owego »łona« czyli społeczeństwa rzymskiego. Widzimy tu świat rzymski w trykliniach cezara i Augustyanów oraz z ich lektyk i kwadryg, motłochem otoczonych. Szukając całości historycznej musiałbym powiedzieć, że z napoju dał nam Sienkiewicz do skosztowania tylko piany i osadu: nie widzimy tu wcale tej klasy, na której stał Rzym ówczesny. Dzięki temu w »*Quo vadis*« widzimy najwyraźniej wszystko to, co mogło jedynie rozpręgać życie największego organizmu państwowego, ale czując pomimo to potęgę jego, nie czujemy wiązań, które myśl Sienkiewicza widzi niewątpliwie lepiej od mojej a które pozwalały organizmowi temu, pomimo szaleństw cesarów i spodlenia senatu, nie tylko trwać w tej potędze, lecz nawet szerzyć podboje materialne i duchowe, słać z miasta ku wszystkim krańcom świata pierwiastki tej cywilizacji społeczno-państwowo prawnej,

z pod której wpływu i po dziś dzień żaden naród nie zdołał się wyemancypować, która w gruncie rzeczy zwyciężyła duchowo na wszystkich punktach w życiu państwowo-społeczno-ekonomicznem »dobrą nowiną«: ściśle mówiąc, był to zwyciężony, co prawo swoje zwycięzcy narzucił.

Gdyby mnie Sienkiewicz nie przyzwyczaił do odtwarzania z jakimś czarodziejstwem całych ogromów społecznych, zadowolniłbym się może pod tym względem Aulem Plaucyuszem — duszą dawnego hartu rzymskiego, dla której cześć i moc Rzymu taką jest świętością, że o nią gotów on nawet dla potęgi cesarowej zarazem walczyć, oraz Winicyuszem, uosobieniem rzymskiej pychy i wiary w Rzym i jego prawo.

Dalej przypominam sobie, iż nie w samych fantazyach obłądnych Nerona, ulegającego wpływom Poppei i Tigellina, tkwiły powody prześladowania chrześcijan, bo ich też potem cesarze z gruntu dobrzy i mądry prześladowali zarówno w imię »pokoju rzymskiego« jak i »prawa rzymskiego«, co wszystko burzyła widoczna rewolucyjność idealnej treści nowej wiary. Na tę cechę słowa Chrystusowego zwraca uwagę Sienkiewicz tylko przy analizie oderwanej wrażeń Winicyusza lub w jego samoanalizie — może dlatego, że ono równie skutecznie obraca w perzynę wszystkie podstawy naszego teraźniejszego świata.

Nauki apostołów, rozwijające słowa Nauczyciela o pieniądzu, zalecające sługom i niewolnikom posłuszeństwo dla panów, uznające pochodzenie boskie wszelkiej władzy, przystosowujące się jednym słowem do wymagań praktyczno-życiowych i przyćmiewające przewrotność ową zasadniczą — budziły bądź co bądź

w niewolniku i nędzarzu niebezpieczną świadomość swego człowieczeństwa i równości dusz — treści istot — wobec prawdy najwyższej.

Utożsamiając chrześcijaństwo z duchem ewangelii dostrzegałem, że nie miłość dla maluczkich ożywia tu wszystko, że w kole i działalności apostołów za wielką rolę gra para bohaterów urzędowych, niekiedy zaś odczuwałem przykrość, zwracając na chwilę uwagę wyłączną na momenty, których nastroj, jak mi się zdawało, stał na poziomie niższym — chociażby od nastrojów księgi ksiąg lub ekstaz męczenników czy wyznawców świętych. Chwilami ślepiłem na piękność obrazu jakiegoś czując w nim jakoby brak tego ducha, którego on miał być, jakem to z góry sobie powiedział, tylko ciałem.

To też nieraz drobna ujemność w ogrom dodatni zmienić się dla mnie potem musiała. Zanotowałem np. że podczas poznania w Chilonie dawnego Cefasa przy łóżu rannego Winicyusza Piotr, dla powstrzymania kary nad zdrajcą, cytuje słowa Chrystusowe, dotyczące się obowiązku przyjęcia szczerej skruchy, chociażby wciąż wracającego do grzechu człowieka, kiedy »odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy naszym winowajcom« byłoby odpowiedniejsze.

Ale potem przyszło mi na myśl, że Sienkiewicz w ten sposób chciał może wyrazić jasnowiedzenie Piotra co do przyszłego szczerego już błagania Chilonowego o przebaczenie, a w takim razie należałoby właśnie podziwiać subtelność i dyskrecję autora.

Scena — mówiłem sobie — w której Ligia słyszy przebaczenie i usprawiedliwienie miłości swej dla Winicyusza, musi się przecudną wydać każdemu, kto zechce zapomnieć na chwilę o duchu ekstatycznym chrześci-

jaństwa świeżo narodzonego, ale w gruncie rzeczy Piotr pobija Kryspusa nie argumentami racjonalnymi, uderzającami w serce kwestyi, lecz sofizmatami: niema nic złego w miłości dziewicy chrześcijańskiej dla okrutnego i rozpustnego poganina i dworaka cesarowego, bo Chrystus w Kanie galilejskiej błogosławił miłości między mężem i niewiastą! Cóż za wnioski dałyby się w takim razie wyprowadzić z przemienienia wody w wino? A już porównanie, podnoszące Ligię kosztem najcudniejszej z bohaterek miłości dla Chrystusa, Maryi z Magdali, jest całkiem niesłuszne. I narzucało mi się gwałtem pytanie, czy wówczas jeszcze nie za młode było chrześcijaństwo, aby się propagować drogą opierania ust Winicyuszów na ustach Ligii? Ten sposób fizyologiczny musiał się zdawać w owych czasach niepewnych mniej pewnym i trochę przydługim, a więc nie mógł zasługiwać na taką wyjątkową uwagę i protekcję: męczeństwo i apostołstwo pewniej i prędzej przysparzało dzieci Kościołowi. To też słowa Piotra do Winicyusza po odzyskaniu przezeń Ligii, zdały mi się największym w dziele całem Sienkiewicza dysonansem: »Powrócił ci ją dla wiary twojej i dlatego, by nie zamilkły wszystkie usta, które wyznawały wiarę jego«.

Gdyby w apostołach tyle było wyrozumiałości — myślałem — gdyby tak mało pamiętali oni o radzie Chrystusa, udzielonej bogatemu młodzieńcowi: »rozdaj wszystko ubogim i idź za mną« — »nie wzruszyliby pewno świata z posad«.

Michał Anioł zmieniając kształty skał, pobudowanych przez bezpośredni wysiłek natury, popełniłby błąd, jako artysta. To właśnie czyni Sienkiewicz w innem miejscu ze stworzoną żywiołowo przez bezpośrednie na-

tehnienie rozmową Chrystusa z bogatym młodzieńcem, co odchodzi smutny usłyszawszy słowa powyższe.

— Co mi przykaże (Chrystus) — mówi Winicyusz — to uczynię, ale ty mi powiedz, co bym mógł nad to uczynić?

— Miłuj ludzi, jak braci swoich, bo tylko miłością możesz Mu służyć — odpowiada Piotr Apostoł, parafrazując cytowane przez Chrystusa przykazanie i dodając od siebie frazes, który zdaje się od razu jakby ze stokroć mniej zwartego materiału zrobionym.

Na to Winicyusz, po słowach ogólnikowych miłości dla Chrystusa, jakby nie zrozumiał treści słów apostoelskich, rzecze:

»— Jemu jednemu będę świadczył, jego uznawał«

»— A On będzie błogosławił tobie i twemu domowi« — kończy Piotr w sposób bardziej pokrewny Staremu Testamentowi, który kazał kochać ojca i matkę, aby żyć długo, niż duchowi nauki Chrystusowej.

Dzięki temu wszystkiemu Winicyusz, który na wstępie zaraz, spoglądając na posąg Fauna, szukającego ust Nimfy, powiada: »ten ma rację«, ma tę samą mniej więcej rację przy końcu »kołyszac na piersiach co dzień najdroższą sobie głowę«. To też co można byłoby odpowiedzieć na zapytanie, czy Winicyusz jest w czynach lepszym chrześcijaninem od poganina Aulusa Plaucyusza?

Przypuśćmy na chwilę, że w spostrzeżeniach tych jest pewna doza słuszności, czemuż więc w takim razie te rzekome dyssonanse nie mącą wrażeniu memu harmonii całości? Są to więc nietylko drobnostki stosunkowo, lecz może nawet poprostu nie najwyższej doskonałości momenty? Może właśnie kryterium, które gwałtem narzucam powieści, jest tak niewłaściwe, jak

niewłaściwymi byłyby tu w krytyku pretensje pozytywno-materyalistyczne? Istotnie, wszystko to inaczej mi się przedstawia — jedynie jako momenty mnie osobście niezachwycające — gdy sobie uprzytomnię, iż owo »miarkowanie wiatru do wełny jagniąt«, owo upraktycznianie, uprzystępnianie prawdy Chrystusowej, owo stosowanie górnoci jej do poziomu dusz i czasu, jest właśnie duchem dziejów oraz listów apostoelskich?

Czy mówiąc o tej właśnie epoce Sienkiewicz nie był obowiązany w imię prawdy historycznej przeniknąć się bardziej duchem ludzkim tych właśnie źródeł, niż bezpośrednio boskiego prazródła?

Uprzytomniwszy to sobie skłonny jestem myśleć, że jeśli scena wyżej wzmiankowana pomiędzy Winicyuszem a Piotrem, jakim się wyraził »boli mnie« — to jest to winą w znacznej części mego własnego skądinąd przyniesionego nastroju. Mógłbym dla ostatecznego pogłębienia siebie ironicznie powiedzieć, że Sienkiewicz w tych drobnych szczegółach nie ze sobą, ani też z duchem listów Pawła i Piotra się nie zgadza, tylko z moim nastrojem, skądinąd zaczerpniętym.

Co jednak najwięcej budzi we mnie wątpliwości względem samego siebie w danym razie, to to, że uprzedziwszy się już przeciw jednemu momentowi, dopatrywałem się niekiedy pomimo woli i świadomości stron ujemnych w innych momentach, które zaczynały mi się zdawać mądrymi, pięknymi i szczytnymi po sprawdzeniu przez ponowne odczytanie: zaznaczę dalej przykład odpowiedni.

Wreszcie, niezależnie nawet od całości, owe urazy moich własnych niby nastrojów, a rozbudzonych tu przez samo dzieło Sienkiewicza, w łzy wzru-

szenia i zachwytu się przetapiają wobec wielu a wielu momentów natchnienia najszczytniej chrześcijańskiego.

Mówiłem już tyle o nastrojach religijnych w dziełach Sienkiewicza, ale tam wszędzie przeważał pierwiałek obrazowo-nastrojowy, tchnący tęsknotą serc prostych do litości i sprawiedliwości Bożej na ziemi lub nagrody w niebie, przez dziecienną wiarę wymarzonem, albo też — tęsknotą do łaski Bożej, czyli do większej cnoty ziemskiej własnej.

Wszystkie tam zachwyty modlitewne przesiąknięte są to urokiem rzeczy otaczających, to potrzebą pociechy ziemskiej, kiedy dusza zwraca się do Boga i rwie się do niego, ale ziemi ze wstrętem czy bez żalu nie porzuca. Wzruszają nas one i czarują, jako cudne kwiaty wiary i wyobrażeń serc prostych — kwiaty, których nic nam nie każe porównywać z kwieciami mistycznym ducha ewangelicznego.

Cóż więc dawało mi prawo spodziewać się tu czegoś zgoła innego?

Jeżeli zaś stokroć większą wartość poetycką mają pełne nastroju religijnego słowa, któremi Wołodyjowski pociesza Basię i przygotowuje ją do swojej śmierci, niż całkiem analogiczne słowa Ligii do Winicyusza w więzieniu ekszilińskim, to ileż znów w tym samym porządku rzeczy jest w »*Quo vadis*« momentów nie tylko nowych, ale też z niczem nie porównanych i naprawdę najniespodzianie roztaczających woń owego kwiecia mistycznego.

W rozwiązaniu pytania, czy należy zwać »*Quo vadis*« epopeją chrześcijańską, bruździło mi pytanie, czy w cudnym tym poemacie nie zanadto mię porywa i wzrusza piękno pogańskie? Przytłumiwszy jednak swoje bez-

prawne wymagania czuję, że tego zasobu ducha chrześcijańskiego, jaki tu jest, więcej niż wystarcza na opromienienie całości blaskiem najwyższego z ideałów ziemskich a nawet na zwrócenie niezliczonych serc i wyobraźni ku temu duchowi. Zapewne, chrystyanizm chwilami tylko robi tu wrażenie oceanu bezbrzeżnego, ale jest zawsze rzeką potężną a rozlewną, co życiem poi wszystkie dziedziny wypadków.

W Winicyuszowem streszczeniu wyraziście i silnie słowa Pawła z Tarsu uderzają mądrością; zebranie tajemne chrześcijan w Ostrianum jest wspaniałe nastrojowe, nauki Piotrowe szczytne, śmierć cudowna a widzenie jego, które nadało tytuł powieści, jest w tak niepojęty, nie tylko niewypowiedziany sposób piękne — że tchu brak na myśl samą o niem. W nawróceniu Chilona, pomimo najściślejszej analizy psychologicznej, czuje się tchnienie mocy nadprzyrodzonej. Wobec ciągłości zachwytu świętych i męczenników nie mogłaby istnieć powieść czy poemat, bo mogłyby się chyba tylko jako cienie ostać te wszystkie postacie, które nam dziś żyzy wyciskają, by nazawsze z posagową wyraźnością zostać w pamięci.

Pomimo jednak wszystkich uroków półbóstw pogańskich w rodzaju Petroniusza i Eunice, pomimo całej grozy potwornej Nerona, czytelnik, niezależnie nawet od wiary swej, musi tu czuć, że losy chrześcijaństwa najbardziej budzą jego współczucie. Nawet męczeństwo apostołów nie jest dla wrażenia naszego końcem pieśni, zdającej się płynąć w nieskończoność. Gdyby więc nie uprzedzenie, które kazało mi się wysilać na dopatrywanie się w »*Quo vadis*« aż tak potężnego i żywego wcielenia ducha ewangelii, jak inne »duchy« wcieliły się

w »Trylogię«; t. j. gdyby nie nadanie słowom: »epopea chrześcijańska« znaczenia innego, niż jedyne możliwe wogóle: epopea kościoła wojującego — byłbym spoczął uwagą na tych miejscach powieści, które wznoszą się ponad wszelkie poziomy ziemskie.

Tak oszczędziłbym sobie całego labiryntu nieporozumień z samym sobą, o których mówię naprzód dlatego, że pewno nie sam tak błdziłem, więc nie przewodnia przydać się komuś może, powtóre zaś czynię to tem prawem, jakim muzyk kładzie klucz i znak tonu przed szeregami nut. Zdawało mi się to najlepszym sposobem wytłumaczenia, przez jaki, t. j. jak szlifowany pryzmat na rzecz patrzeć.

Gdyby Sienkiewicz mógł z bezwzględną dokładnością odtworzyć ducha chrystyanizmu mistycznego, pokornego, męczeńskiego, ascetycznego i ekstatycznego, nie mógłby był napisać »Trylogii«, »Bez dogmatu« i »Rodziny Połanieckich«. Twórczość jego cała — to czyn, ożeniony naprawdę nierozdzielnie z poczuciem piękna. To wódz i mąż stanu — w Fidyaszu; to Polak o duszy potężnej jędrnością dawnych dusz bohaterskich w Greku z epoki Peryklesa — o nerwach wysubtelnionych wszystkimi drgnieniami i dreszczami życia i sztuki współczesnej.

Złożoność to organizacyi duchowej poprostu niepojęta i tembardziej podziwem przejmująca, że każdy z tych charakterów taki jest potężny, że staćby go było samego przez się na zdobycie sławy nieśmiertelnej.

Sienkiewicz odczuwa w sposób najwyższy zarówno okropną harmonię w chaosie bitew i walce idei, jak wielkość w sprawiedliwości i dumie osobistej czy narodowej, i we wspańałości, i w poświęceniu się

najbezinteresowniejszem dla społeczeństwa lub jego idei, jak wieczność w pięknie nieruchomem sztuki lub nieustannej zmienności natury, jak piękno w zgiełku klęsk i tryumfów w życiu a mąk i rozkoszy w duszach i uczuciach ludzkich.

Ale to, co bezwzględnie odrywa się od ziemi — świata i narodu — od wszystkiego, co na niej i dla niej po ziemsku piękne jest i wzniosłe; ale to niebiańskie, do czego trzeba nie iść po drabinie Jakubowej najszczytniejszych marzeń i uczuć ziemskich — lecz wzbić się, wzbić się nie jak orzeł, jeno jak duch bezcielesny — to wszystko może Sienkiewicz czuć zaledwo tylko półbosko.

Zapewne w mocy jego jest wznieść się w te bezmiary mistyczne wyżej od niezliczonych innych artystów, tak wysoko, że pomimo największych wysiłków straci go z oczu, nie tracąc jednak pewności, że nie uleciał on całkiem od globu, że wróci. Uczucie jego chce widzieć wszystko, co je budzi, tak wyraźnie, jak kształty posągu greckiego, jakżeby więc miało ojczyznę swoją uczynić samą tajemniczość nadziemską? To bojownik bohaterski za dobro, za cześć ponad wszystkie czeście na ziemi, jakżeby więc miał wypełnić swoją bezwzględnie szczerą duszę zasadą bezwzględną męczeństwa — niesprzeciwiania się złemu? Jakżeby mógł utonąć całkiem w idealnie chrześcijańskim przeczeniu ziemi, on, któremu nawet w Rzymie z przed kilkunastu stuleci tak braknie Ligów, jak rzeźbiarzowi Łukomskiemu Miłchny z Kozłówka?

Temperamentowi Sienkiewicza bliższym jest kościół wojujący i zwycięzki w swej potędze ziemskiej i po ziemsku duchowej, w swej najwyższej mocy na

ziemi — mocy jednoczenia i organizowania ludów i świata...

Piotr najczęściej występuje w »*Quo vadis*« jako natchniony apostoł miłości i pokory, jak n. p. w opowieści o zmartwychwstaniu Chrystusa, wzniosłej i pełnej prawdy duchowej oraz cudnej prostoty, lub kiedy pociesza upadających i zrozpaczonych chrześcijan. Niekiedy jednak Sienkiewicz, z taką wspaniałą intuicją prawdy malujący wrażenia Winicyusza, który podziwiał w Ostrianum właśnie prostotę ubogiego rybaka-Apostoła, nie tracąc bynajmniej żadnem »urzędowem biegłem w ceremoniach arcykapłaństwem«, niekiedy powiadam, każe Sienkiewicz ekstazom Piotrowym widzieć nie tryumf miłości nad światem, lecz właśnie przyszłą potęgę arcykapłaństwa rzymskiego.

A przyznać trzeba, że te wizye papieżstwa imponują siłą niesłychaną. Ów zwrot, kończący wyżej wzmiankowaną przemowę jego do zrozpaczonych, zaczynający się od słów: »Jesteś Panie! w tym grodzie szatana chcesz założyć stolicę swoją« i t. d. uderza wzniosłością i mocą. Nie ustępuje mu inna scena, w której ów »starzec, w prostaczą lacerne przybrany, a mający objąć w posiadanie świat i miasto«, pasuje się ze zwątpieniami na widok potęgi Cezarowego Rzymu. »Panie, co pocznę wobec tego miasta, do którego mnie posłałeś? Jego są morza i lądy, jego zwierz na ziemi i twój wodny, jego są inne królestwa i trzydzieści legij, które ich strzegą, a ja, Panie, rybak z jeziora«.

»Panie — woła on gdzieindziej — przecz mi tu przyjść kazałeś i w tem gnieździe bestyi założyć stolicę Twoją?« I w końcu: »Panie kazałeś mi podbić ten gród,

więcem go podbił — kazałeś mi w nim założyć stolicę Twoją, więcem ją założył«. To też w samym męczeństwie Apostoła, opisanem z najwyższą, unikającą wszelkiej okropności dyskretyą, czują obecni, że wszystko minie »a ów starzec, będzie tu panował nieprzerwanie«. Wogóle jednak Piotr apostoł, pełen skromności, pokory i prostoty, jest typem idealnego ucznia Chrystusowego. Ten starzec łagodny, którego mądrość płynie z miłości samej do Mistrza i do ludzi, chwytą za duszę. Dziwnie to oryginalne i piękne odtworzenie owego kamienia węgielnego, na którym kościół Chrystusowy miał być zbudowany.

Niemniej cudnie chrześcijańskim jest Paweł z Tarsu. Pierwsze przemówienie jego do Kryspa, mówiącego o Winicyuszu, odzwierciedla całą moc namiętnej duszy tego człowieka, co przedtem z równą gwałtownością »porywał na śmierć sługi Chrystusa«, jak potem porywał dla Niego dusze pogan.

»Jam jest, którym prześladowałem i porywał na śmierć sługi Chrystusa. Jam podczas kamienowania Szczepana pilnował szat tych, którzy go kamienowali, jam chciał wypłenić prawdę po wszystkich ziemi, którą zamieszkują ludzie, a jednak — mnie to przeznaczył Pan, abym ją po wszystkich ziemi opowiadał. I opowiadałem ją w Judei, w Grecyi, na wyspach i w tem bezbożnem mieście, gdym po raz pierwszy, jako więzień w niem mieszkał. A teraz, gdy mnie wezwał Piotr, mój zwierzchnik, wstąpię do domu tego, aby ugiąć tę dumną głowę do nóg Chrystusowych i rzucić ziarno w tę kamienistą rolę, którą użyżni Pan, aby wydała plon obfity«¹⁾.

¹⁾ Przytoczyłem słowa te na zawstydenie siebie samego.

XII.

Przed laty, zaznaczywszy przedewszystkiem niesłychaną zwięzłość i prostotę stylu Sienkiewicza w »*Quo vadis*«, czyli jego wstrzemięźliwość epicką, spotęgowaną tu do najwyższego stopnia, zwróciłem uwagę czytelnika na to, że wszystkie prawie opisy swoje przefiltrowywał autor przez zmysły i duszę jakiejś osoby działającej, dając je, jako jej wrażenia. Zdaje mi się, iż żaden pisarz dotąd tak systematycznie tego nie czynił, zmuszając przez to czytelnika żywiej widzieć i całkowicie wcielać się w osoby działające i akcję całą.

Zato dość często daje tu Sienkiewicz streszczenia słów osób działających zamiast tych słów samych, czyli, zamiast scen całych — szkice do nich. Zapewne, niekiedy ze szkicu już samego widać, że dana sytuacja nie przedstawia zbyt bogatego materiału do wyjątkowo pięknej sceny, czasem jednak trudno czytelnikowi nie czuć żalu pewnego do mistrza, każącego patrzeć na samą oprawę pustą, lub kamień nie oszlifowany, zbyt wyraźne dający świadectwo o wspaniałości brylantu, któryby tu tkwił, gdyby się tak podobało autorowi.

Boć przecie nie w samej treści słów, mających wyrazić jakiś moment tragiczny, może tkwić czar i siła, lecz w ich doborze i ugrupowaniu, w nagłych nawet zwrotach i przerwach.

bo pod wpływem właśnie owych uprzedzeń, wyżej wspomnianych, nie poznałem się na nich pierwotnie, czyli nie zwróciłem uwagi. (*Przyp. autora*).

Ażeby czytelnikowi dać złudzenie jasnowidzenia głębin cudzej duszy, artysta winien mu dać nie wiadomość mniej lub więcej ogólnikową o wyrazie danego uczucia, lecz sam ten wyraz, niby snop promieni, rzuconych przez wibrujące cząstki tej duszy.

Niekiedy streszczenia takie scen zdają mi się wzruszającym nawet, nie tylko prześlicznym opowiadaniem muzyki. Oczywiście bowiem nigdy to niedociąganie struny nie zdaje się wynikać z braku potęgi twórczej autora. Kto samem streszczeniem słów wymawiającego się na uczcie od śpiewu Nerona i błagających go o ten śpiew dworaków zdołał wywołać takie wrażenie, jakichże efektów osiągnąć by nie potrafił, gdyby zechciał scenę naprawdę udramatyzować?

Jednym z najbardziej uderzających pod tym względem jest streszczenie prośb Euny, ażeby Petroniusz nie oddawał jej, jako nałożnicy, swemu siostrzeńcowi.

»Ona nie pójdzie do Winicyusza i woli tu nosić drwa do hypokaustum, niż tam być pierwszą ze sług. Nie chce! nie może! i błaga go, by zlitował się nad nią. Niechaj ją każe chłostać codziennie, byle jej nie wysyłał z domu«. Tu zaznaczył nawet autor nagłe zwroty i przerwy, zaklął czar i siłę w dobór i ugrupowanie wyrazów, a jednak kiedy się pomyśli, że sama zmiana osoby czasowników z trzeciej na pierwszą, już zwiększyłaby złudzenie a z niem też wrażenie, czuje się rozdrażnienie »pół zbawienia«. Właściwie sens tej pretenzyi do autora jest taki: rzuca on mimochodem skarby wyobraźni, które każdy inny artysta, pomimo całej możliwej zarozumiałości, musiałby uważać za szczyt bogactwa twórczego.

Brak sceny szkicem tym zastąpionej, odczuwamy

tembardziej, że chodzi tu o jedną ze skówek cudnego łańcucha miłości pomiędzy Petroniuszem a Eunice.

A romans ów ideału patrycyusza i ideału niewolnicy, chociaż na drugim niby planie umieszczony, z niezwykłą siłą przykuwa do siebie naszą uwagę. Powiem więcej: niesłychana wytworność arcyzmu, do ostatnich granic posuniętego, czyni z szeregu scen pomiędzy tem dwojgiem bóstw ziemskich jeden z najcudniejszych i najdramatyczniejszych poematów miłości w literaturze świata. Ta złotowłosa charyta, tonąca w blasku słonecznym, odbitym przez marmury tęczowe, tuląca w uścisku i okrywająca pocałunkami posąg Petroniusza — jest to obraz olśniewający po prostu świetnością barw i zachwycający wyrazistością rysunku. Dla odmalowania wszechpotężnej miłości, dającej niewolnicy śmiałość sprzeciwienia się nawet rozkazowi ubóstwionego pana, Sienkiewicz znajduje niepojęte efekty dramatyczne. Na zapytanie Petroniusza, czy otrzymała karę za ów opór, niewolnica ufna, że chłosta zastąpi wydalenie jej z domu, cisnąc do ust brzeg jego togi, odpowiada:

— O tak, panie otrzymałam, o tak panie!«

Tylko wielki artysta może się zdobyć na taką prostotę!

Scena, w której Eunice dowiaduje się z ust Petroniusza, że nie jest już niewolnicą oddawna, a »od dziś« staje się właścicielką wszystkiego, co ją otacza, jest skończenie doskonałą: jest to arcydzieło zarazem rzeźby, malarstwa, muzyki i poezji.

— Czemu mi to mówisz, panie? — odsuwając się zapytała Eunice z nagłym niepokojem.

Następnie zbliżyła się znów i poczęła patrzeć na niego, mrugając z przerażenia oczyma. Po chwili twarz

jej stała się blada, jak płótno, on zaś uśmiechał się ciągle i wreszcie rzekł jedno tylko słowo: — Tak!

Nastała chwila milczenia, tylko lekki powiew poruszał liśćmi buku. Petroniusz mógł istotnie sądzić, że ma przed sobą posąg, wykuty z białego marmuru.

— Eunice! — rzekł — chcę umrzeć pogodnie.

A dziewczyna, spojrzawszy nań z rozdzierającym uśmiechem, wyszeptała:

— Słucham cię panie!«

Wyznać należy, że wobec tego blednie nawet romans Winicyusza i Ligii, pomimo najwyższej subtelności w odtworzeniu wszystkich jego momentów. Gdybym sobie wyobrażał, że właśnie te postacie powinny w dziele poety najbardziej roznamiętniać moją wyobraźnię i rozpalać serce, których losy są nicią wiążącą w całość formalną wszystkie wypadki, — byłoby to zarzutem.

Wielbię Akte, kocham Eunice, mamże jednak z tego powodu czuć żal do Sienkiewicza, że Winicyusz kocha właśnie Ligię, to czyste i dobre, choć bierne i słabe dziecko, stworzone fizycznie do miłości? Konstatuję tylko, że to urocza i szlachetna istota, ale nie bohaterka.

Gdyby nie zjawienie się niespodziewane Ursusa, upadła by ona, nietylko gwałtowi by uległa, podczas uczty u cezara; gdyby Winicyusz miał sił trochę więcej, lub przynajmniej ręki nie miał złamanej, — nie inaczej skończyłaby się scena w domku Miriam, kiedy to Winicyusz położył głowę na kolanach dziewczyny, która przyszła właśnie z zamiarem katechizowania go. Gdyby jej odjąć ubóstwienie Ursusa i miłość szaloną Winicyusza, zasób poezji, jakim autor otoczył jej obraz w oczach naszych, rozwiąłby się w znacznej części;

gdyby z duszy jej wpływy hipnotyczno-wychowawcze Pomponii Graeciny i gminy chrześcian zabrały to, co do nich należy, niewiadomo, co by tam zostało. A całkiem inaczej dzieje się z Eunice, która pozostałaby dla nas zawsze jedną z postaci najpoetyczniejszych, gdyby nawet Petroniusz nie ocenił do końca jej ciała i uczucia.

Złocą Ligię i zachwyty, i bohaterstwo wiary innych, i wrażenia osób trzecich. Apostołowie ją traktują niby jakąś westalkę chrześcijańską, może jako wychowankę Pomponii Graeciny; Ursus dla niej dusi największego siłacza-gladiatora i obala tura; Petroniusz składa jej hołdy przyjaźni i czci nawet w końcu i t. d. Przed Ligią korzy się też Akte, która jest w gruncie rzeczy postacią nieskończenie wznioślejszą i poetyczniejszą.

Zdaje mi się, co prawda, że chyba tylko w oczach najbardziej bezkrytycznego i sennego czytelnika ta pokora nie postawi właśnie smutnej Greczynki na piedestale potężnego, choć cichego bohaterstwa.

Bez wysiłków, bez nagromadzenia efektów zewnętrznych przesuwają Sienkiewicz przed oczyma naszymi — chciałbym powiedzieć: pełnemi łez — cudną postać opuszczonej, lecz wiernej kochanki Neronowej, jedyną, która samą nawet Eunice gasi, bo kiedy ostatnia jest wcieleniem samej tylko miłości niemal wyłącznie zmysłowej, pierwsza jest człowiekiem w całym znaczeniu tego wyrazu, umiejącym też przytem kochać nadziemsko.

Nawet ducha chrześcijańskiego posiada ona w stopniu daleko wyższym i wyraźniejszym, niż główna bohaterka. Bóg wie skąd, niby wiatrem gnane ziarno słowa Bożego pada na tę duszę, jakgdyby przyciągnięte

jej żyznością, która każe mu rósć i owoce wydawać wbrew najzgubniejszym dla delikatnego kielka warunkom. Okropna atmosfera zbrodni i rozpusty zdaje się nie mieć żadnej mocy nad pięknem tej przeczystej duszy gołębiej. Chrześcijanka to nie nauczona, lecz urodzona. Niezależnie nawet od wszelkiej wiary bogatą jest ona ponad ludzką miarę w moc anielskiej miłości i dobroci, boskiego przebaczenia i wyrozumiałości. Wszystko w niej szczere, wzniosłe, cudne. Nawet piękność jej fizyczną widzę wyraźniej, niż piękność ciała »jutrzniatego« Ligii, przepuszczającego przez siebie promienie słońca.

Jej odpowiedzi na zapytania Ligii: »Ty go (Nerona) żałujesz, Akte?« »ty go kochasz jeszcze?« — po prostu duszę rozdierają pomimo swej prostoty. A jaka przedziwna, smutna łagodność i szlachetność brzmi w odpowiedzi jej na okrutny docinek Winicyusza w czasie uczty! A rozmowa z Poppeą!... Każde drgnienie tej duszy jest harmonią przecudną, w której nutką najzupełniej niezbędną zdaje się owo oplakanie i pochowanie przekłętą przez miasto i świat potwora. Ano! co się mnie tycze, to w całej galerii kobiecych postaci Sienkiewiczowskich — piękniejszej nie znam.

Prawie tak samo jak Ligia na porównaniu z Akte — traci też Winicyusz przy Petroniuszu. Petroniusz — to uosobienie najwyższego rozkwitu cywilizacji pogańskiej grecko-rzymskiej, której tak zdaje się żałować chwilami artysta w Sienkiewiczu. Typu bardziej wyrazistego, oryginalnego i pięknego. trudnoby wymarzyć nawet takiemu artyście. W pierwszych zaraz chwilach gasi on swego siostrzeńca nie tylko wykształceniem i wrodzoną bystrością umysłu, szlachetnością i wdzię-

kiem, smakiem i wytwornością, lecz nawet pięknnością i siłą fizyczną. Każdy krok jego, jak i słowo każde nacechowane są bezpretensjonalną, bo bezwzględną oryginalnością umysłu i serca, płynącą z własnej siły duchowej, nie zaś z żadnych jej zbiorników zewnętrznych.

Winicyusz — to postać wyraźnie ludzka, bo miotana tak bardzo ludzkiemi, że aż zwierzęcemi namiętnościami i instynktami, które tylko dlatego nie zohydżają go nam od początku, że przypominają t. zw. zwierzęta szlachetne, czyli dzikie. Genialna w swej szczegółowości i subtelności analiza psychologiczna, jakiej Sienkiewicz poddaje wszystkie etapy tej duszy w drodze od miłości pogańskiej do chrześcijańskiej, odkrywa nam wyraźnie, że szczyt doskonałości, którą Winicyusz zawdzięcza chrześcijaństwu, nie przekracza bynajmniej granic duszy Petroniuszowej; przeciwnie zaś, to co Petroniusz czerpie z własnej duszy, tego nic nie da Winicyuszowi. — Przyjrzyjmy się porównawczo, jakimi czynami charakteryzuje powieść wuja i siostrzeńca, na jaki szczybel poświęcenia się, współczucia, bezinteresowności wznosi się w niej każdy z nich.

Winicyusz zaczyna pod wpływem chrześcijańskiej idei traktować niewolników i klientów mniej więcej tak, jak ich traktował zawsze pogański Petroniusz. Winicyusz przekonany, że świat stworzony jest dla Rzymu a Rzym dla niego, Winicyusz, który widzi w nie-kwiryście jedynie bestię dziką do zabawy, lub bydlę do pracy — dochodzi drogą ewolucji chrześcijańskiej do zdolności rozumienia, że i niewolnicy są ludźmi, że inne oczy mogą patrzeć inaczej, niż jego, zaczyna myśleć o tem, co może się dziać w duszach prostaczych, imponujących co prawda głębią i szlachetnością. Nie do-

chodzi on jednak na tej drodze do uznania równości bezwzględnej ludzi, bo na ostatku samym otaczają go w Sycylii »słudzy i niewolnicy«, a nie wiemy czy im o wiele jest lepiej, niż sługom i niewolnikom Petroniusza. Dla samych chrześcijan i Chrystusa poświęca Winicyusz aż nadto mało.

Iście chrześcijańską jest też chwila wybuchu (chrzest), kiedy Winicyusz wyrzeka się ucieczki z Ligii do Sycylii, przyrzeka nie opuszczać dla spokoju osobistego braci i mistrzów ale los ich podzielić: co prawda tego *votum* nie dotrzymuje on ostatecznie.

Zwróćmy się z kolei do Petroniusza. W ostatnim jeszcze liście swoim do Winicyusza traktuje on z nieporównanie wytworną i dobroduszną ironią wiarę nową siostrzeńca, nie przeszkadza mu to jednak bynajmniej współczuć głęboko chrześcijanom i narażać własne życie w pełni jego rozkoszy, potępiając publicznie prześladowanie ich. Myśl, że między wyznawcami nowej idei jest ktoś drogi komuś, kto sam mu jest drogi bezinteresownie, nadaje akcent bezrozumnego bohaterstwa jego protestowi przeciwko zwałeniu winy pożaru miasta na niewinnych. Jeżeli Winicyusz naraża się co krok na zgubne denuncyacje, to pobudza go przynajmniej pragnienie ratowania i odzyskania »najdroższej głowy« którą chciałby kołysać na swych piersiach; ale Petroniusz, mając w bezpieczeństwie zupełnem i swoje gemmy, i swoją wagę myrrheńską, i swoją Złotowłosą, nie mniej się naraża.

Zapewne, nie waha się on wyznać w cudnej swej szczerości, że »woń fijołków zawsze mu miłszą będzie od woni brudnego bliźniego z Subury« i gotów w każdej chwili przysiądz na białe kolana charytek, że »nie

potrafi miłować, choćby chciał, i Bityńczyków, noszących jego lektkę, i palących w kąpielach jego Egipcyan, i Ahenobarba i Tygellina», ale to mu nie przeszkadzało bynajmniej wystąpić w swoim czasie z pogardą własnego bezpieczeństwa w obronie takich samych Bityńczyków i Egipcyan z »familii« Pedanyusza Sekunda, która też pewno nie gardziła ani »morą« ani »bobem prażonem«.

Prawda, filozofia jego nie zna różnicy pomiędzy tem, co jest godziwe, a tem, co niegodziwe, ale za to wie on dobrze, co jest piękne, a co szpetne, i ma poczucie szpetoty występku i piękności cnoty.

Dlatego sceptyka wszystko w życiu jest złudzeniem, i mądrość, jak powiada on, polega na umiejętności odróżniania złudzeń rozkosznych od przykrych, każdy jednak krok jego jest dowodem umiejętności odróżniania złudzeń szlachetnych od nie szlachetnych. Ów pełny swobody i niedbałego wdzięku patrycyusz, piękny i silny, jak bóg, oryginalny, jak sama natura, został otoczony przez Sienkiewicza nimbem wszystkich uroków.

Podziwem przejmuje poprostu wyrazistość i siła, z jaką się wmyślił i wczuł Sienkiewicz w duszę tego leniucha i ongi sprężystego a sprawiedliwego rządcę Bitynii, oraz zawsze niewieściucha, ale zawsze bohatera.

Listy Petroniusza wszystkie są dziwnie charakterystyczne, szczególnie zaś uderza pod tym względem list przedśmiertny do Nerona, najwyższe dający świadectwo poczuciu twórczemu autora, który, oczywiście świadomie, nawet historię poświęca harmonijności po prawionego, że tak powiem, przez marzenie typu.

Ostatni list jego do Winicyusza jest cały sam w sobie poematem nieocenionym — z owym dowcipem

naturalnym i wytwornym, błyskającym z za lekkiej, przeźroczystej mgły smutku, ze swą dobroduszną a subtelną ironią i cudnie obrazowym wyrazem serdecznej życzliwości.

Predylekcya dla Petroniusza nie wyłącza jednakże z duszy Sienkiewicza wielkiej sympatyi dla żywiołowości dzikiej Winicyusza, z której wynika zacieklność jego zarówno w gniewie, jak i w miłości. »Jeżeli nie możesz być sam przez się mądrym i szlachetnym bezwzględnie, umiej przynajmniej kochać i wierzyć — zdaje się głosić filozofia artystyczna Sienkiewicza — bo wiara i miłość zdołają samą nawet zwierzęcość twoją ku celom idealnym skierować«. Wreszcie, przeznacząc rolę głównego bohatera takiej naturze dzikiej, Sienkiewicz chciał prawdopodobnie wykazać, czego mogło dokonać chrześcijaństwo w duszy człowieka, z któregoby żaden stoicyzm Trazeasza nie zrobił. Niewątpliwie uczynił on umyślnie Winicyusza siedliskiem wszystkich wad i przesądów pogańsko-kastowo-rzymskich, żeby tryumf wpływu miłości i wiary był jak najoczywistszym.

Sienkiewicz — przenikliwy psycholog, malarz i rzeźbiarz słowa — przedtem tylko w »Panu Wołodyjowskim« zdradził formalny talent sceniczny. Właściwie bowiem dzieła jego sceniczne są tylko wytwornem zbiorowiskiem rozmów konwencyonalnych, przedstawiających sytuację i bieg zdarzeń i ogólnikowo zaledwie charakteryzujących zależne od nich zmiany duchowe w osobach działających. Widzimy tam opowiadania o uczuciach, lecz nie znajdujemy wyrazu bezpośredniego momentów; dostrzegamy malowniczość i logikę przejść od sytuacji do sytuacji, lecz nie odczuwamy walk i wybuchów namiętności. Wogóle w jego powieściach słowo bohatera

staje się często promieniem błyskawicznym, rozświecającym przed oczyma naszymi tragizm duszy, lecz jeszcze częściej aparatem do osiągania efektów najdramatyczniejszych — jest w nich potężna malowniczość opisów i głęboka analiza psychologiczna.

W »*Quo vadis*« nietylko wyrazy osób działających odznaczają się jakąś niesłychanie głęboką i intensywną charakterystycznością. Obok wielkiej ilości momentów dramatycznych posiada ono dużo scen całych, zrodzonych z natchnień dramaturga dla sceny.

Ileż np. Sienkiewicz wprowadza na scenę Nerona, tyle razy występuje w tym charakterze, nie poprzestając na zdaniach charakterystycznych, jakich moc, niby garście pereł, sypie przed czytelnikami, lecz tworząc całkowite sceny dramatyczne.

Rozmowy na uczcie Neronu; przejście od wyrzutów, z jakimi cesarz spotyka na Palatynie Petroniusza po śmierci małej Augusty, do płaczu na jego piersiach; rozmowa jego z Neronem o »niegodziwych wierszach« szczególnie zaś całość sceny, której momentem kulminacyjnym jest wieść o pożarze Rzymu; dalej śpiew Neronu na wodociągu Appijskim — wszystko to są, że tak powiem, liście laurowe do wieńca Sienkiewicza, jako dramaturga.

Wielkiem też objawieniem artystycznym jest Chilo. Może drogą naciągania forsownych, bacząc tylko na podobieństwo powierzchowne, można by się doszukać analogii jakichś pomiędzy nim a Falstafem i Tersytem, ale w gruncie rzeczy typy to są najzupełniej różne. Chilo jest takim Grekiem, w którego duszy chemicznie się złączyły wszystkie pierwiastki filozofii ducha i życia narodu z owej epoki jego niewoli i upodlenia.

Wobec sceptycyzmu bezwzględego — w duszy tej niema miejsca na żaden ideał etyczny; wgarda dla ludzi, jako wedle jego rozumienia, dla tłumu istot, ubiegających się o dobro, któremu zmysły same jako takiemu światu dają, czyni go jakimś strasznym potworem drwiąco-rozumującym. Przez Chilona Sienkiewicz dał nam pojąć, że sama tylko nadwrażliwość nerwowa rasy przycwilizowanej, podniesiona i udoskonalona mimo wiedzy przez naukę i sztukę, może się stać drogą dla ideału nawet do takiej duszy.

Jeżeli wszystkie monologi i rozmowy Chilona odznaczają się charakterystycznością, to już momenty przetwarzania się nędznika w męczennika tchną olbrzymią potęgą. Rozmowa Chilona z przesądnym Westinusem o mękach chrześcijan jest nie do zapomnienia, nie mówiąc już o przebaczeniu ze słupa, chrzcie i śmierci.

Pomijam drugorzędne i trzeciorzędne, choć często doskonale naszkicowane postacie rozwójki rzymskich i dworaków.

Jak w innych dziełach Sienkiewicza — na drugim i trzecim planie napotykamy tu postacie, które same przez się mogłyby dać dziełom sztuki sławę wielkich pod względem głębokości i wyrazistości analizy psychologicznej i poetyczności. Taką jest Poppea — cudny demon i nieszczęsna matka. Takim jest Aulus Plaucyusz, rodzaj »ostatniego Rzymianina«, opierającego się nauce Chrystusa przez szczerą a bezwzględną cześć dla Rzymu i wiarę w niego, oraz przez poczucie niezależnego od wszelkich doktryn gruntu dla cnoty swojej osobistej.

Przedewszystkiem zaś cudem poezji i prawdy duchowej jest dobry, łagodny, cichy i pokorny wielbiciel

»Baranka«, kroto- i turo-bójca Lig Urzus. Widzimy całą prostotę, czystość i wierność tej duszy tak wyraźnie, jak same kształty jego herkulesowe, jak czujemy siłę jego nadnaturalną.

Wobec tylu dusz w sposób najwyższy wyraźnych, a w sposób niepojęty prostych, potwornych lub pięknych, wobec tylu momentów nadziemsko szczytnych i scen dramatycznych — zaledwo wspomnieć się godzi o wspaniałych obrazach wjazdów i wyjazdów cezara oraz uczt i igrzysk.

Chcąc skupić wszystkie rozproszone czy rozstrzelone spostrzeżenia swoje, powiem znów, że w »*Quo vadis*« tyle jest skarbów poezji i prawdy, uczucia i ideału, że gdyby leżały one zsypane bezładnie na kupę, jeszcze olśniłyby wrażliwą na piękno duszę potężniej, niż beczki drogich kamieni w skarbcu jakiego władcy wschodniego olśniłyby mogły oczy czciciela bogactw.

Tu zaś wszystkie te drogie kamienie układają się w jeden obraz — mozaikę — arcydzieło, utworzoną niby umyślnie dla pokrzepienia serc zdolnych do wątpienia, czy idee na prawdę silniejsze są, niż legije.

XIII.

Pierwsze wrażenie swoje po przeczytaniu całości »Krzyżaków« wyraziłbym najdokładniej pytaniem: jak człowiek mógł to stworzyć?

Po namyśle jednak, zwróciwszy uwagę na to, jak dziwnie, w jak niemożliwy do odgadnięcia z góry sposób harmonizuje to nowe dzieło Sienkiewicza z całością

jego twórczości, mówię z bezwzględem przekonaniem: ten człowiek musiał to napisać.

Myśląc o cudach obrazów i ogromach uczuć całego dawnego dzieła Sienkiewicza ze strachem mówiłem sobie: to niepodobieństwo, żeby, wysypawszy narodowi swemu takie skarby, miał on jeszcze coś do dania, kiedy zaś kilka pierwszych ciągów oraz ku końcowi kilka innych na wrywki nie zadziwiły mnie — z bólem pomyślałem: to dzieło jego w porównaniu z innemi jest słabsze!

Na upakarzające szczęście dla siebie samego sądziłem o obrazie pociętym z kilku kawałków, przez traf podsuniętych. Przeczytanie bitwy pod Grunwaldem tak przeraziło owe zwątpienia moje co do całości, że pierzchły, jak zmora po przebudzeniu się, a odczytawszy całość, gdybym był taki religijny, jak który z rzetelnych bohaterów Sienkiewicza, tobym Panu Bogu podziękował że takie dzieło pozwolił dorzucić do skarbcza literatury polskiej.

Sam nie wiem, czy smucić się nam należy, że tacy ojcowie mają dziś takich synów, czy cieszyć się w swej małości, że »takie syny« miały takich ojców? I smutek i radość, niby fala, co przewala się, to prawie sięgając obłoków grzebieniem, to omal nie ku dnu samemu szczytem zapadając. I wzgarda to dla siebie i duma, ale bądź co bądź życie choć w marzeniu. Zresztą w gruncie rzeczy marzenie godne tego miana, t. j. takie co się rodzi z całej istoty — z serca, mózgu, nerwu każdego — by całą istotę opanować, marzenie jest tem względem życia, czem spinozowska *natura naturans* względem *natura naturata*.

Krąkanie nad »Krzyżakami« było tak rozpowsze-

chnione, że stawiałem sobie z całą szczerością pytanie, czy owo wrażenie moje nie wynika ze ślepoty uwielbienia dla Sienkiewicza?

Zapewne, wogóle uważałbym taką ślepotę za zaletę, byłbym z niej dumny, jako z objawu, że w marzycielu-rezonerze zaczyna się budzić człowiek czynu, ale dziś jeszcze ta duma byłaby dla mnie przedwczesną. Niestety, dziś jeszcze — ze szczerym wstydem to mówię — robiłem takie błahe spostrzeżenia, jak to, że wbrew etykietce jakiegokolwiek możliwej, »świeccy rycerze w Malborgu rzucają się hurmem, aby potrzymać konia za uzdę i strzemię powracającemu z dalekiej podróży mistrzowi«, że Zbyszko na wstępie w Malborgu wygląda zbyt pierwszoplanowo wobec Zyndrama chociażby, którego znów rozmowa z mistrzem na uczcie trochę jest nienaturalna, że księżna Płocka z Jagienką przypominają księżną Mazowiecką z Danušką i t. d.

Na świecie istnieją dwa tylko prawdziwie ludzkie powołania: być bohaterem albo czcić bohatera. Ci, co poza tem są, poza ludzkością są. Otóż umysły filozoficzne czcząc nawet analizują, kiedy organizacye do czynu stworzone czczą bezwzględnie, a to jest jedyną rzeczą czegoś wartą, jeżeli nie w krytyce, to w czemś nieskończenie ważniejszym — w życiu.

Tak więc nie doszedłem jeszcze do tego, żebym nie potrafił znaleźć kilku drobnych wątpliwości we własnej duszy, a w samych »Krzyżakach« wskazać z kilkadziesiąt kartek, które nawet kto inny mógłby był napisać, które, jako kartki powieści historycznej wiążą tylko logicznie wielkie pieśni epopei, a w których nie wyczuwam takiej potężnej zwartości artystycznej i ideowej, jaką mnie uderza całość. Tycze się to szczególnie

ostatnich części, gdzie ciekawość do urzędowych bohaterów, po ich wygodnem i szczęśliwem urządzeniu się w kasztelu bogdanieckim, słabnie tak bardzo, że w zakończeniu »zdrowie i siła« ich obchodzą tyle tylko, że w nich doczekali oni zajęcia Malborga przez wojska polskie. Wyobraźnia nie szuka ich wcale na polu bitwy pod Grunwaldem tak, jakby tego wymagać mogło urzędowe ich w powieści stanowisko — z punktu widzenia bezmyślnie - formalnych wymagań sztuki powieściopisarskiej. Zresztą gdyby losy ich zechciał być uczynić Sienkiewicz najbardziej interesującymi z losów ludzkich pojedynczych, jeszcze zgaśliby oni dla nas wobec tego kataklizmu żywiołowo-dziejowego, jak latarnia znikłaby z oczu przy pożarze wielkiego miasta.

Powiedziałem: »powieść«, w gruncie jednak rzeczy jest to epopea w największym stylu — ponad wszelkie style — epopea, gdzie prawdziwymi bohaterami są znów takie żywioły idei i ogromy narodów, wobec których same ich wcielenia i uosobienia poszczególne bledną.

I epopea ta tak samo musiała być stworzona, jak Tatry musiały się dźwignąć z łona ziemi. Artysta miał dość boskich posągów greckich, żywych a cudnych grup olimpijskich i czarów egzotycznych obcej natury — ziem i dusz. Bojownik znużył się naginaniem najdumniejszego z serc do pokory. Już w »*Quo vadis*« zaznaczałem chwile mimowolnych, że tak powiem, rozprostowywań się tego serca w wizjach Piotrowych panowania nad światem, lub w niedbałej dumie Petroniusza, gardzącej największą z potęg ziemskich — aż do gardzenia bez goryczy. Zaznaczyłem też nostalgiczne sprowadzenie sobie do rzymskiej epopei rodzaju Anielki

ligijskiej, uczynionej tylko z przezroczystego jak kryształ ciała, oraz rodzaju praojca »Bartka zwycięzcy« z marzeniami o borach ojczystych, gdzie niewolników niema a męże, straszne dla mężów, najlepsze z dobrych byłyby dla »Baranka«.

Trzeba było wrócić do domu, ale do jakiego w nim czasu? Czy do zmierzchu ponurego i nudnego czasów dzisiejszych świata, gdzie wszystko, co się do oczu rzuca takie jest rozpaczliwie małe, pospolite, technące rozkładem? Dość już się przyjrzała dusza nawet jędrnej małości Połanieckiego, który co najwyżej mógłby być jednym z miernie dobrych rotmistrzów w »Trylogii«. Męki chwilowych odkupień przez wiarę w naród i Królowę Niebios już przeżyte w trudzie niemalym. Duszę potargał już dźwięk pęknięć i szczerb starego dzwonu, brzącający w »Trylogii« coraz rozpaczliwiej w jeszcze potężnej swej doniosłości.

Trzeba więc było szczerby dzwonu wypełnić srebrem wyobraźni, martwemu dać za serce własny duch twórczy, skupiony do zwartości spiżu, i uderzyć, i posłuchać samemu, i dać chwilę jedną przeżyć tak górną, »jak ich przodkowie niegdyś całe życie«.

Gdyby mi kto zarzucił, że to co tu mówię nie jest krytyką, którą zapowiedziałem we wstępie, możebym tylko wodę na jego młyn puścił, broniąc się uparcie, że robię co mogę, że jest to właśnie taka krytyka atomu prochu, w którym bije zachwycone i wdzięczne serce.

Potępią mnie zresztą zaledwo ci, co są, według wyrażenia się mego, poza ludzkością, ja zaś sam, po namyśle, rad jestem z chwil takiego właśnie nastroju krytycznego. Boć niech mi powiedzą, czy można być człowiekiem nie czując się czemś nieskończenie małym

wobec olbrzymiej góry, powierzchni wód, idącej dalej, niż wzrok, wybuchu wulkanu lub choć wobec burzy? A przecie natura więcej się musiała wysilić tworząc duszę Sienkiewicza, niż górę, jakich są tysiące, i więcej chyba ognia włożyła w nią, niż do fajki Wezuwiusza.

Kto wie? Może naprawdę nie zauważyłbym nawet owych stron ujemnych ostatniego do dziś wielkiego poematu Sienkiewicza, gdybym ich był nie spostrzegł jeszcze przed odczytaniem całości, z której przypadek nie podsunął mi właśnie żadnej z najcudniejszych pieśni.

Za sprawdzian idealny historyczności dzieła sztuki nie miałem nigdy pewności własnej, że każda z odtworzonych w niem osób działających zmartwychwstawszy musiałaby się uczuć najzupełniej u siebie w domu. Porządek dań przy uczcie, odcień w sposobie powitania lub pożegnania, wzmianka o jakiejś ozdobie stroju mogłaby upewnić takiego pana, szczególnie zaś panią z przed wieków, że twórca dzieła nie żył w opisywanej przez siebie epoce. Niewątpliwie, tysiące jest szczegółów w życiu towarzyskim i domowym ludzi, których nieuwzględnienie zmąciłoby im złudzenie, a których ani żadna historia przekazać wiekom następującym, ani żadna intuicja odgadnąć nie może.

Jednemu z powieściopisarzy współczesnych francuskich damy zarzuciły nieznamość opisywanego przezeń wielkiego świata na zasadzie tego, że ubrał jedną ze swych bohaterek — w czarny gorset...

Mnie się jednak zdaje, iż przedewszystkiem chodzić powinno o to, żeby atmosfera, duch życia w owym dziele sztuki robiły wrażenie czegoś całkiem różnego od współczesności, jeżeli mi bowiem ktoś Ba-

bilon starożytny poda w sosie paryskim — nie mi po tem. Następnie chodzić musi czytelnikowi o to, żeby owa egzotyczność czasu, jeżeli się tak można wyrazić, stanowiła całość wewnętrzną harmonijną. Słuszną jest wreszcie zawsze rzeczą konfrontować dzieło sztuki z legendą, która jest prawdziwym olejkim różanym, niekiedy zaś je próbować nawet ścisłą nauką historyczną, która sztuce często może się zdawać olejkim różanym sztucznie bez róż w retorcji wyprodukowanym. Rzecz jasna, iż artyście, co tworzy rzeczy wieczne, lepiej jest ufać legendzie, która trwa, niż hipotezie historycznej, którą jutro może zastąpić inna.

Przychodzi mi na myśl ks. Jeremi Wiśniowiecki, którego nauka tak bezlitośnie odzierała z uroków, nie zdoławszy jednak zwyciężyć legendy, zrodzonej z czci powszechnej całego narodu, co przez samą pamięć o bohaterze syna jego, nietylko mieniem ubogiego, na tron powołał.

Artysta, któremu chodzić musi przedewszystkiem o to, żeby mózdz ukochać i kazać kochać czytelnikowi bohaterów swoich, musi w nich niekiedy umyślnie zatrzyć pewne cechy, które dla współczesnych będąc czemś normalnem i powszechnem, działałyby na nasze nerwy w sposób tak drażniący lub rozWSTRĘtniający, że aż uniemożliwiający złudzenie. Szczytem doskonałości dla historycznego dzieła sztuki jest ostatecznie to, żeby przykuta do niego wyobraźnia człowieka obdarzonego wrażliwością artystyczną i inteligencją, któremu nie obcą byłaby ani legenda, ani historia epoki, ani duch wieczny narodu — musiała o odtworzonych przez artystę postaciach i stosunkach pomiędzy nimi powiedzieć bez żadnych zastrzeżeń: tak właśnie być musiało. Kto tak

czuje, tego żadna metoda szukania dziur na całym, z wiary w dzieło nie wyzuje.

Otóż z tego punktu widzenia nie znam nic w tym rodzaju, co by silniej i wyraziściej budziło we mnie tę wiarę, to poczucie. Owiewa mnie w »Krzyżakach« odrazu atmosfera rzeźkości, jędrności, mocy i prostoty, taka właśnie (jak muszę myśleć), w jakiej jedynej mogły się rodzić owe olbrzymie przez historię przekazane typy i czyny.

Skąd przyszło by mi na myśl pytanie, czyby mogła być inną ta lub owa postać, kiedy ją widzę niby żywą? Zdaje mi się, że tak i tylko tak musiały czuć i myśleć te słodkie niewiasty i potężni rycerze, których dźwignęło możne zaklęcie ze starych grobowców lub wywiodło z nisz kościołów gotyckich, gdzie wieki przetrwali w ciszy i mocy. Czarodziejstwo, zachowawszy ich jędrność i ogromność kamienną, nalało im tylko do żył dawnej krwi niezatrutej a wrzącej, i tchnęło w nich dusze proste i dumne, wierne i mężne, szczere i prawe, gwałtowne i czułe, od mieczów niekiedy hartowniejsze i od łuków kościelnych strzelistsze, a jakieś bardziej rodzone, niż nasze własne.

To pień dębu, czemkolwiek zaś my jesteśmy — liściem jesiennym, czy żółędzią — cześć pieśni o nim oddajmy.

Pisarze zawsze najwięcej ognia swego i natchnienia ekspensują na przykucie uwagi oraz uczuć grozy lub miłości czytelników do głównych bohaterów swoich, których odróżnić zarazem możemy po tem, że ich los wiąże w całość nietylko, że tak powiem, juxta pozycyjnie, lecz nawet duchowo — wszystkie zdarzenia. Sien-

kiewicz, dla którego wogóle maniera ani cudza, ani własna nie istnieje, jest i pod tym względem, zupełnie oryginalnym.

Jego bohater urzędowy już w »*Quo vadis*« służy głównie do charakterystyki epoki, jako przeciętnie szlachetna w dzikości swego egoizmu i pychy dusza kwi-ryty, którą czyni zarazem autor probierzem nowej prawdy. Ale myślę, że nerwy i serce samego autora, jak i moje, drgają tam nierównie żywiej i silniej dla »boskiego« Petroniusza. Toż samo tu dzieje się ze Zbyszkiem, którego młodzieńczości daje autor za nieodłączne dopełnienie starość Maćka. Oni uczą wyobraźnię naszą, jak przyjmował wrażenia człowiek ówczesny i jak na nie reagował, jak poddawał się uczuciom lub panował nad nimi, jak rozumiał świat i zaświat oraz stosunek między nimi, jak się modlił, kochał, bił, budował, gospodarował, gardził śmiercią, czcił króla, wielbił świętą Królowę, kochał kraj swój i prawdę, a nienawidził złość i obłudę.

Ale ci ludzie gasną dla naszego serca nietylko w chwili starcia się żywiołowego dwóch idei narodowych, zakutych w stal setek tysięcy pancerzy, nietylko przy ogromie duchowym najszczytniejszego z wymarzonych bohaterów, Juranda ze Spychowa, nietylko wobec choroby i zgonu Jadwigi, lecz nawet wobec grona ówczesnych bohaterów historycznych, przesuwających się zaledwo przez scenę, jak Zawisza Czarny lub Zyndram z Maszkowic.

Typy rycerzy z Bogdańca godne byłyby specjalnego studium, a niezliczone momenty z ich życia — najszczegółowszej analizy. Zbyszko — wspaniałały chłop, zawsze pewny zasady: »póki cię nie zabiją, to czegoż

się bać, a jak cię zabiją, to już i nie czas na strach«. Zaśnięcie jego pod gadanie o grożącej mu śmierci; cudne modlitwy o »czuby pawie« dla Danuśki i o specjalną uwagę Bożą dla Jadwigi, odsłaniające bezdeń prostoty i szczerości najczystszej względem Boga i siebie; chwile zadzierzystości, szczególnie ów szczery gniew szalony na cudzoziemskiego rycerza, który śmie nie być pewnym, że żadna inna kobieta nie może być urodziwszą ani cnotliwszą od panny Danuty Jurandówny; rozpacz więzionego i skazanego na wieść o zgonie królowej, zapominająca bezwzględnie o sobie; »hej! hej!« rwące się z piersi, rozpieranej kochaniem, młodością i siłą oraz szumem i czarem niezmiernego boru; smutna a pełna godności wewnętrznej pokora, wobec słusznego gniewu królewskiego; zachowanie się w drodze na rusztowanie; duża łza wywołana wspomnieniem o Danuśce przy śpiewaniu Jagienki; temperament urodzonego wojownika w pojedynku z Rotgierem; miłość dla »stryjca« i dla Jagienki — wszystko to są objawienia artystyczne. Typ to stworzony do słuchania owego przykazania mazurskiego: »wpierw tnij, a potem obaczysz, kogoś rozciął«.

A nie ustępuje Zbyszkowi w niczem ani ów »stryk«, ani Jagienka. Maciek — to w jednej osobie chytry wielkopolanin i rycerz bez strachu i zarzutu, stryj kochający jak ojciec synowca i naczelnik rodu, gotowy ostatecznie, choć z rozpaczą, »dla jego przedłużenia brać babę« w razie Zbyszkowej śmierci.

Od krewniaka opata (typu też wspaniałości nieporównanej), którego spadkobiercą siebie mniema, gotów on coś wyłudzić dla wspomnienia podupadłych Gradów, ale dla ichże honoru o wykup z krzyżakiem targować

się nie będzie; leży mu istnienie rodu na sercu, ale śmierci unikać własnej ni Zbyszkowej na polu chwały nie umie; czuje on, że kocha Zbyszka więcej, niż sam wie o tem, ale wolejby go sam zabił, niż pozwolić mu na pohańbienie wiary i sławy rycerskiej mordowaniem bezbronnego jeńca, chociażby bez świadków i w najślusniejszych nawet gniewie i zemście.

— Rzekniesz, że i królom i książętom nieraz przysgodziło się jeńców mordować? Ba! nie u nas! I co im uchodzi, tobie nie ujdzie. Mają ci oni królestwa, miasta, zamki, a ty co masz? Rycerską cześć...

Nie przeszkadza mu to być najzaciętszym w prawej zemście i zarząć Lichtenstejna po pojedynku prawidłowym.

Pyszne jest jego rozumienie wysokości majestatu Syna Bożego:

»Jezusowi obiecywać za wygojenie ran? Toż to samo, co skarżyć się królowi, że szlachcic sąsiadowi chłopca wybił«. Tu przypomina mi się, jak przyjaciel Maćków, ojciec Jagienki, ze czcią dla tego majestatu godzi pogańskie ofiary duchom domowym (skrzątom). »Księża krzyczą, pomstują! Panu Jezusowi przecie przez trochę klusków chwały nie ubędzie, a skrzą, byle był syt i życzliwy, to i od ognia i od złodzieja uchroni«.

Wracając do Maćka powiem, że kocham go jeszcze, gdy mówi, pokrzepiwszy serce wspomnieniem Płowiec: »jest nasz naród okrutnie żywiący i moc ma w sobie też niepożyta«.

Jagienka to żywy i cudny typ dziewczyny i niewiasty staro-polskiej. Jej miłość — czuła bez sentymentalizmu, wierna i niezłomna bez patosu — tchnie jakąś naprawę przedwiekową bezpośredniością. Od pierwszego

jej błysku, kiedy myśliwa, przyjrawszy się dobrze piękności i sile dawnego wyrostka, nagle zaczyna zaciągać pod szyją koszulę zgrzebną, co się od szybkiej jazdy otwarła, aż do zaprzysiężenia mu wiecznej wiary — wszystkie chwile tego uczucia czarują, wzruszając swą szczerością i prostotą.

Polowanie na bobra z tem, niby z tego, ni z owego: »nie pójdę ni za Cztana, ni za Wilka« i z radością, że na ich miejscu on (Zbyszko) by ją »brał« po woli czy po niewoli i ze smutnem, głuchem »nie wiedziałam« na jego słowa o kochaniu Danuśki — to wszystko prześliczna idylla. Cudną jest jej wstydlivość i pokora i cisza jej odpowiedzi na rozkaz Zbyszka po drodze do kościoła: »nie będą ci dziś służyli« (stali zalotnicy) i wybuch na wieść o jego niebezpieczeństwie: »to niech i mnie zabiją!« Jakiem jasnowidzeniem serca kobiecego jest gniew i żal Jagienki do niekochanych obrońców swoich przeciw kochanemu niewdzięcznikowi! Kiedy Maćko, pewny, że rycerza Danuśki — może już umarłej — Jagienka nie minie, prawi jej o jego do niej przywiązaniu, ta półszeptem mówi: »pewnie nieprawda, ale powiadajcie jeszcze«. I koroną tego jest jej ogromna litość dla Juranda i szczere pragnienie szczęścia Zbyszkowego i modlitwy gorące za Danušką.

W epopei tej cały skarbiec momentów tchnących to humorem nieporównanym i najbardziej polskim, to tragizmem wszechludzkim a przytem — jak błyskawica uwydatnia kontury skał — tak charakteryzujących i wieczne pierwiastki dusz narodów i zarazem indywidualności postaci poszczególnych.

W pokorze »przebaczenia« Kunona Lichtenstejna Zbyszkowi na prośby księżeń i rycerstwa polskiego jest

cała pycha krzyżacka, obłuda, okrucieństwo i mściwość. Cała ta scena z płaczem Danuśki, zrzymaniem się rycerzy, z pytaniem Zawiszy, kogo naśladuje poseł krzyżacki, domagając się śmierci szalonego młodzika: lwa czy baranka, których rycerzowi naśladować trzeba — i z fuknięciem gniewnego jeszcze a wzruszonego już litością króla: »mnie pohańbił, królestwo pohańbił, mamże go za to miodem smarować?« — cała ta scena, powtarzam, jest gotowa dla sceny. Toż samo powiedziałbym o skargach poselstw krzyżackich przed księciem Januszem na Juranda, i o poznaniu się Zbyszka z Danušką i o niesłychanie charakterystycznej i wspańiałej scenie wizyty Opatu w Bogdańcu.

Napotyka się tu niekiedy niby drobnostki, ale niemożliwe do zapomnienia, bo olśniewające wczuciem się autora w temperamenty epoki, jak np. owo wytłumaczenie pojedynków rycerskich o urodę i cnotę nawzajem nieznanych przeciwnikom dam — nie jakimś kome-dyjanckiem uleganiem formie, lecz prostolinijnością umysłu, zapalnością serca, szybszem rodzeniem się gniewu i zaciętości bojowej, niż zdolności postawienia się na czyjś miejscu. W tym porządku rzeczy przychodzi mi na myśl ów wspańiały pomysł, co każe gniewowi Cztana i Wilka, na korzyść Zbyszka spostonowanych przez Jagienkę, toczyć na cmentarz i z powrotem olbrzymi kamień.

A co za odpowiedź władzyki mazurskiego na pytanie żadnego przygód bajecznych rycerza zagranicznego »czy w puszczy kurpieskiej są smoki, którym ludzie muszą ofiarowywać dziewice?« »W borach jest rozmaity godny zwierz, jako wilcy, tury, żubry i niedźwiedzie, z którymi dość jest roboty. Może też po bagnach są

i duchy nieczyste, ale o smokach nie słyszałem, a choćby i były, pewnie byśmy im dziewczek nie dawali, ale kupą byśmy na nie poszli. Ba, gdyby były, jużby dawno kurpie pasy z ich skóry nosili«. Albo owa uwaga starego Maćka, co w złości na miłość Zbyszkową dla Danuśki zapewnia go, że »drzewiej (ongi) ludzie byli mądrzejsi«, ale po namyśle dodaje: »choćby poniekiedy był i drzewiej głupi...«

A owa narada ze Skirwoiłą, który powtórzywszy kilka razy z namysłem i przekonaniem, iż mądrze odradzając mu drugi atak na Nowe Kowno »słusznie prawi« — przy wyjściu z namiotu na zapytanie »dokąd ruszamy?« odpowiada spokojnie: »pod Nowe Kowno« i to Nowe Kowno ruszywszy zdobywa. W tem przecie cała Litwa...

Opisy łowów księcia Januszowych w boru mazowieckim nie ustępują żadnym innym nawet Sienkiewiczowym opisom; pochód Zbyszka na śmierć i zratowanie go przez Danuškę — to arcydzieło, a ta dziewczyna jest kobietą-kwiatem, kobietą-ptaszyną, kobietą-wiosną. Gdyby Ligia wykonała była ów zamiar swój, drżący łązawo w cudnem »wolę do Ligów« — Danuška byłaby pewno jej pra-prawnuczką.

Ale ponad wszystkie te opisy jest jeden, do którego zdaleka już zbliżając się, ma się ochotę paść na kolana: mówię o wszystkim co się tyczy Jadwigi.

Na samą już myśl o jej ukazaniu się w kościele słów mi brak i źle widzę litery, które stawiam.

Gdyby mi kazano wskazać najlepszy wzór wyrazistości, prostoty i piękności mowy polskiej — wskazałbym to właśnie, dodając tylko: nie do naśladowania. Tam muzyka słowa przekonywa i porywa, bo myśli

grają jak sfery niebieskie, i uczucia śpiewają, jak cherubiny. Większej sugestyi w życiu nie ulegałem.

Nie dosyć, że czuję cześć powszechną dla tej królowej, miłość dla niej, uwielbienie i ubóstwienie bez granic, że wierzę każdym włókmem serca w jej świętość, że widzę każdym włókmem nerwów jej nadziemską piękność, że cała moja istota jest przenikniona świadomością, iż to właśnie jest istota ponad wszystkie istoty: dopóki to czytam — ja sceptyk w sześcianie — jestem taki prosty i czysty sercem i wiarą, jak owi rycerze, co poklękali na jej widok z nabożeństwem, i rozumem. Zbyszka tak, jakbym nim był.

Gdyby mi w tej chwili kto powiedział, że albo przypadnie z owego opisu jeden wiersz, albo żebym na śmierć szedł, tobym się wstydził, gdybym nie poszedł.

A cóż powiem o opisach tego, co się działo w duszach ludzkich i w duszy narodu na wieść o chorobie i zgonie królowej? Jak wspomnieć o czarodziejstwie stylu w słowach, co zwarte nadnaturalnie ciężarem ogromnym padają na piersi, dech w niej tłumiąc, lub lecą na duszę, jak burza łkań.

Rozpacz tłumu przed zamkiem po ukazaniu się na wieży chorągwi czarnej — to nie słowa o rozpacz, lecz rozpacz sama — moja rozpacz, zrodzona uczuciem, że po takiej śmierci »nikomu nie warto żyć na świecie«.

Największy artysta samą sceną śmierci nie wywołałby takiego wrażenia, jakie tu robi wieść o niej. Nie mogę o tem mówić więcej.

A jednak w »Krzyżakach« jeszcze są rzeczy niemiennie od tych szczytne.

Według zwykłej swej metody zapytuję siebie, co-

bym powiedział, gdybym, będąc np. Francuzem, napotkał nie podpisany poemat tragiczny o Jurandzie ze Spychowa? Czytając nie zastanawiałbym się oczywiście, czy to człowiek zrobił, ale po namyśle, dobierając wyrazów pospolitych w braku ściśle odpowiednich, krzyknąłbym: to wielki poeta! Chyba to nieznana dotychczas światu »Legenda wieków« Wiktora Hugo!

Przeczytałbym znów i powiedziałbym: to wielki poeta, ale nie Hugo, bo ogromy obrazów, uczuć i myśli, przychodzą tu w prostocie wyrazów, z których żaden nie jest obrachowany na efekt, na pogłębienie sztuczne przapaści kontrastów, na dodanie do przerażeń treści — przerażeń słów. Jednem słowem na całej przestrzeni poematu ani jednego błysku deklamacyjności, patosu, manieri. Nic, prócz żywiołu, którego potęga przyrodzona wstrząsa, ciska o ziemię, nad obłoki duszę porywa. Co to jest? zwał kamieni? gwałt fal morskich? przecie każde ze słów tych takie jest proste i przeźroczyste, jak samo powietrze? Przecie to nie jest chyba sztuka, tylko żywioł.

Prostu dreszcz mnie chwytą na samą myśl, i gdyby nie konieczność, nie mówiłbym o tem wcale, żeby oszczędzić swoją miłość własną, bo przecie nie mogę mieć żadnych złudzeń co do tego, że wszystko, co powiem, będzie w stosunku do tego za małe, za zimne, za szare. Nawet myślę, że najlepiejby mi było z góry powiedzieć, że chcę mówić wyłącznie z rozmowania.

Z dobrego i gościnnego dla Niemców nawet i Krzyżaków rycerza śmierć zdradziecko i okrutnie zadana ubóstwionej żonie, czyni tytana zemsty. Całe dawne jego ludzkie serce wypełniła miłość niezmierna dla córki Danuśki, żywego obrazu męczennicy-nieboszczki, ale do

piersi zemsta włożyła mu niby drugie serce, niby równie wielkie, wypełniwszy je niemniej całkowicie równie niezmierną nienawiścią dla Niemców. Ze spokojnego i dobrego sąsiada Krzyżaków ten ogromny ciałem i duchem wassal księcia mazowieckiego staje się demonem ich niszczycielem. Zemsta zwiększa stokrotnie jego siłę olbrzymia i sprawność wrodzoną wodza i żołnierza, i rasową odwagę bezgraniczną.

Na kogo z Niemców spozrzało jedyne oko straszego mazura, tego dusza wnet z wrzaskiem leciała do piekła, jeżeli nie sądzono jej było z jękiem szukać do niego drogi z okropnych podziemi spychowskich, skąd żaden Niemiec za żadne skarby nigdy się nie wykupił.

W ciągu lat długich jękami jeńców konających w męce mury tak przesiąkły, że aż w ciszy nocnej dusza pana na Spychowie słyszała niekiedy idący od nich głos: »dość pomsty«. Ale ranek przynosił wieść, że nowa wyprawa krzyżacka skrada się pod Spychów lub jakiś oddział niemiecki ciągnie opodal w służbę krzyżacką, i nienawiść jego wybuchała nowym pogromem wrogów.

Oczywiście nienawiść i żądza zemsty rosły też bez miary w Krzyżakach, dorównywając nawet ich strachowi przed tym cyklopem. Chutliwy komtur Szczytna, Daneveld, przy pomocy innych braci porywa podstępem z dworu książęcego zwierzęco pożądaną dziewczkę Jurandową i daje ojcu znać, że wisi nad nią los Witoldowych dzieci, że chcąc go jej oszczędzić ma on, doniosłszy księciu swemu, iż dziewczynę zbójce zwykle porwały oraz wypuściwszy jeńców, iść własną osobą do Szczytna, by się upokorzyć przed Zakonem, odbyć pokutę za wszystkie przeciw niemu zbrodnie i tem okupić

wolność córki. Tymczasem zaś niewinności jej naprawdę chroni tylko to, że Daneveld ma w łubkach ramię strzaśkane.

Scena walki wewnętrznej Juranda wobec pątników, co mu wieść straszną przynieśli, jego zapamiętanie się i stęzenie w rozpaczy jest już czemś nad wszelką miarę wspaniałem. Nie uczynić wedle żądania — Danuśka zginie, uczynić — może nie zginie, i Jurand w pełnej zbroi, rycersko opasany i przy złotych ostrogach jedzie w tajemnicy przed zięciem i dworem, wiezie na połańbienie do Szczytna cześć swoją rycerską, krzepiąc słabość swej pokory przykładem Chrystusa i św. Jerzego, patrona rycerzy.

»Zmaganie« się Jurandowe z gniewem na samą myśl o tem, co go czeka, jest pomysłem — nie: natchnieniem! — które mogło się zrodzić tylko w takiej duszy...

Jurand u bramy szczytniańskiej — to jest coś przechodzącego miarę ludzkiej wyobraźni i ludzkiego serca, równie jak urągawisko na sali zamkowej i błagania Juranda, zrozpaczonego stawieniem przed nim »niedojdy« zamiast zasłyszanej jeszcze z pod bram córki. Wybuch zaś po cynicznej obietnicy Danevelda, to rozpętanie żywiołu.

Nie mogę porównywać w tej chwili z żadnymi słowami ludzkimi, ale wysiłam się na przypomnienie sobie własnych bezpośrednich wrażeń podczas wielkiej burzy, co lasy waliła, kiedy własnymi oczyma patrzeć musiałem na zakopywanie, wedle przesądów chłopskich do ziemi dla przywrócenia życia, fioletowo sinych pobitych piorunem trupów.

Otóż potwornie wielka scena owa na zamku szczyt-

niańskim nie mniejszą grozą mnie napęlnia. Obiecuję sobie kiedyś, po odczytaniu tego z kilkadziesiąt razy dla przytępienia wrażliwości, prześledzić kolejność tu wyrazów, obrazów, nastrojów: czy się nie uda pochwycić tajemnicę tej potęgi. Ale teraz to mnie odrazu chwyta, jak jakiś potworny wir szału.

I zaklęta w straszego mazura siła żywiołowa zemsty, gdy mu wykapano jedyne oko, język wyrwano, i prawicę ucięto, przeradza się w równie bez miary potężny żywioł przebaczenia.

Dla naszej wyobraźni przewrót ten z najzupełniej niespodziewanego staje się jakąś koniecznością naturalną i prostą, myślę tylko, że takie naturalne i proste tajemnice sam Bóg szepcze duszom największych swych naśladowców. Owo powstrzymanie załogi spychowskiej od napadu na Szczytno i potem rozcięcie pęt Zygfydowych — to jest coś, o czym gdybym chciał głośno mówić w tej chwili, głosby mi się rwał.

Przychodzi mi na myśl, że wogóle bezrozumną jest rzeczą i wzgardy godną mówić o swoich nędnych wrażeniach wobec takich objawów potęg żywiołowych. To co jest najlepszego i najmędrszego we mnie jako w artyście, radzi mi poprostu zamilknąć i rzucić do ognia całą tę robotę, każe mi zaś ją kończyć tylko obowiązkiem względem prawnych jej właścicieli.

Cała zemsta Zygfyda von Loewe od chwili przyniesienia ciała Rotgierowego, całe piekło jego duszy aż do powieszenia się — to groza, to okropność równie nadnaturalna choć niezmiernie inna. O tej części utworu znużenie moje może to tylko powiedzieć... że godna jest omówionej poprzednio.

Wyobraźnia ani myśl moja już niema sił patrzeć

na to. Zdaje mi się, że twórczo przemarzyć Juranda i Zygfyda i nie umrzeć z tego może chyba jedynie więcej niż człowiek, nietylko więcej, niż nad-człowiek.

Z ogromów wzrok przenoszę na drobnostki — dla odpoczynku. Niekiedy nic nieznaczące pozornie szczegóły dają uczuć coś z niesłychaną wyraźnością. Czem np. mógłby Sienkiewicz dać wyraźniej odczuć ciszę tłumy w Ostrianum wobec Piotra, jak szelestem węgielków opadających z pochodni?

Ślepy, niemowa i kaleka wstrząśnięty dźwiękiem rodzinnych a serdecznych słów, wymawianych głosem wzruszonym dziewczęcia, pada na kolana przed Jagienką. Kiedy zaś ta, obiecawszy go zabrać ze sobą, dopytuje się skąd jest i każe mu wstać, Jurand pochyla się jej do nóg, a dotknięcie jałowiczych męzkich skórnici przebranej za giermka dziewczyny odbija się na twarzy jego »zdziwieniem i zawodem«. Ten szczegół jest światłem błyskawicy. Odrazu czuję, że dusza w tym człowieku żyje, nie zmartwiała w mękach, a przez to w późniejszym jego bohaterstwie przebaczenia wyobraźnia nie szuka nawet żadnych odcieni przygnębienia czy martwoty, widząc w nich tylko najwyższą, najwyższą moc ducha.

Pozostaje mi jeszcze powiedzieć słów kilka o bitwie pod Grunwaldem. Tyle mówiłem o bitwach w epopeach Sienkiewicza; prawie każda z nich, póki się ją czyta, zdaje się w swej inności zupełnej najwspanialszą ze wszystkich, jakie były kiedykolwiek opisane. Myślę jednak z wiarą podwójną, że ze wszystkich, nie wyłączając nawet bitwy pod Chocimem, najbardziej inną i najbardziej wspaniałą jest właśnie ta ostatnia. Co do języka — powiedziałbym to, co napisałem z powodu

opisów, tyjących się Jadwigi, gdybym był właśnie już raz tego nie napisał.

Brak słów — to jest, co mogę najwyrazistszego powiedzieć o tej najwyższej harmonii w najwyższym chaosie.

Zdobędę się zaledwo na wzmiankę o kilku momentach: atak pułków kmiecych z owem »Zdro—waś—Ma—ry—jo—ła—skiś—peł—na« dla odmierzania kroków i niełamania szeregów; atak zastępów Wielkiego Mistrza z białym płaszczem rozwianym na kształt skrzydeł olbrzymiego orła, i modlitwy Jagiełły, i jego rozmowa z heroldami krzyżackimi, i łyzy nad trupem Mistrza, i łyzy mistrzowe na widok zastępów polskich, i jego szczytna odpowiedź komturowi z Elbląga i bohaterstwo Niemców, co »wycinani jak bór marli w milczeniu posępni, ogromni, nieustraszeni«, bohaterstwo niemal równe bohaterstwu Polaków...

W wybuchu Mikołaja Kiełbasy przeciw Zbyszkowi z Oleśnicy jest cały szal i groza bitwy, jak cisza może być w szeleście węgielków. W tej scenie — szczyt sugestyi.

A owa daleka perspektywa pobojowiska, w obrazie znoszonej przed króla starszyny krzyżackiej!...

»Leżeli naksztalt zrąbanych pni, ze zwróconemi ku niebu i białemi jak ich płaszcze twarzami, z otwartymi szklanemi oczyma, w których zastygł gniew i dumę, wściekłość bojowa i przerażenie. Nad ich głowami pozatykano zdobyte chorągwie — wszystkie!

Wieczorny powiew to zwijał, to rozwijał barwne płótna, one zaś szumiały jakby do snu poległym«.

Co za wielkość duszy, która tak widzi zwycięstwo największe swego narodu, opłacone rzeką krwi jego!

To też tem potężniej przenikają duszę ogromne słowa zakończenia.

»Więc tobie, wielka, święta przeszłości, i tobie, krwi ofiarna, niech będzie chwała i cześć po wszystkie czasy!«

XIV.

Oto przebiegłem cały niby obszar, alem biegł tak szybko, aż do utraty tchu niekiedy, że musiałem dużo pominąć. Oglądając się za siebie widzę, że samo tylko pokłosie byłoby jeszcze wielkiem bogactwem. Co mówię o pokłosiu, kiedy całe łany zostały, niby dla braku rąk w roku nadnaturalnie urodzajnym. Ileż dałoby się jeszcze powiedzieć o werwie młodzieńczej »Humoresek z teki Worszyły«, a szczególnie o wspaniałym »Bartku zwycięzcy«, godnym lepszego studium, niż to, którem usiłowałem uczcić krytycznie całość dzieła Sienkiewiczowego.

Ileż typów, godnych najgłębszej i najszczegółowszej analizy, zaledwie z etykietek nazwiskowych wymienilem. Nieraz zaledwie zaznaczyłem godną najszerszego rozwinięcia ideę jakąś Sienkiewicza, lub jakąś stronę ducha jego twórczego czy ducha jakiegoś dzieła, godną najgłębszego zastanowienia. Niekiedy opuszczenia takie robiłem umyślnie, bo mi materyał dany potrzebny był właśnie do zakończenia budowy.

Czuję w sobie omal nie postanowienie powrócenia kiedyś do analizy »Rodziny Połanieckich« z takiego paradoksalnego punktu widzenia, z którego byłby głównym co do ducha bohaterem powieści profesor Waskowski, ze wszystkimi swojemi marzeniami o posłannictwie »najmłodszych z Aryów«. W gawędach jego

niby tak samo dla świadomości otoczenia wpływających z uwiędu starczego, jak niezapinanie kamizelki, są rzeczy, których filozoficzność nabiera tu niesłychanej wartości poetyckiej.

— Bo jest na świecie droga mleczna, i jak Bogu potrzeba, to bierze z niej kurzawę i tworzy nowe światy. A widzicie, ja myślę, że jest taka sama droga mleczna duchowa, złożona ze wszystkiego co ludzie myśleli i czuli. Wszystko w niej jest: i to co zrobili geniusze, i dzieła talentów, i wysiłki myśli męskiej, i uczciwość kobiecych serc, i ludzka dobroć, i ludzkie bóle! nic nie ginie, choć wszystko w pył się obraca, bo z tego pyłu, za wolą Boską, tworzą się nowe duchowe światy dla ludzi.

Idea to prawie taka stara, jak wyobrażenie o aniele, ale dziwi mnie ona tu i zachwyca tak, jakby ukazanie się z szelestem białych skrzydeł żywego anioła. Wypada prócz tego zaznaczyć mimochodem, że ustęp ten mógłby się jeszcze przydać do pochwylenia na gorącym uczynku wiecznie nieodgadnionej tajemnicy geniuszów — porywania dusz ludzkich.

Na początku tej sceny dowiedziawszy się o narzeczeństwie Zawiłowskiego, mówił Waskowski o misyi tej »wybranej«, którą trzeba czcić za to, że »Bóg jej kazał czuwać nad takim płomieniem«. Więc po dygresyi o drodze mlecznej, wracając do przerwanej myśli, kończy »przebudziwszy się i szukając guzików kamizelki«:

— A ta panienka musi mieć duszkę czystą, jak łąza, skoro Bóg wskazał ją palcem i przeznaczył jej być stróżem tego ognia.

Powiedziałem, że od samego początku czuje się tragizm tej miłości między bryłą najszlachetniejszego kruszcu a strzępem szychu, ale mimowolna ironia naj-

cudniejszej dobroci i najgłębszej i najlepszej wiary tu ściska serce aż do fizycznego bólu. Do tej chwili, czytając powieść po raz pierwszy, łudziłem się, że może się to nieporozumienie między Zawiłowskim i Niteczką zakończy, jak wiele innych w życiu, ale od tej chwili czułem już wyraźnie grozę katastrofy.

Pojęcia Wałkowskiego o drogach ludzkości w przyszłość, o »artystach wysłannikach przejednywających« o tem, że »wszyscy, czy chcą, czy nie chcą, czemuś służą, i że są jakoby piosnkami, które posuwa ręka Boża we wiadomych sobie celach« — nie dla Sienkiewicza to są przecie śmieszności, równe nadmiernej szerokości pantalonów. A owa niezłomna wiara »profesorzyska« — godne zakończenie »*Quo vadis*« — że »chrześcijaństwo nie wypowiedziało jeszcze ostatniego swego słowa, i że następna epoka w życiu ludzkości nie będzie czem innem, jeno rozszerzeniem ducha Chrystusowego i przeniesieniem go ze stosunków między jednostkami na stosunki ogólnie ludzkie...«

W analizie obiektywnej »Rodziny Połanieckich« nie śmiałyby takich subiektywnych pomysłów wysuwać na pierwszy plan, dla siebie jednak wierzę szczerze, iż ten nauczyciel pół-przytomny ze swem widzeniem przyszłości, jako »Chrystusa w dziejach« i z przeznaczoną najmłodszym z Aryów misją wprowadzenia Go do nich pod postacią miłości — ta niby mrzonka, ale takie perspektywy otwierająca na marzenia naszej wielkiej poezji — to dusza dzieła. Znalazłbym nawet »pozory« dowodów tego prawie oczywistych.

Nietylko w najgorszych tu nawet duszach autor odkrywa dobro, lecz nawet w najbłahszych — wielkość, w najbardziej nic nieznaczących — doniosłość zarówno

w porządku idealnym, jak społecznym; dalej odtwarza on ducha tych najmłodszych z Aryów tak, że czujemy, iż są oni tacy słabi w swej sile lub silni w swej słabości właśnie z winy największej stosunkowo skłonności do wiary, do ufności, do marzycielstwa, do przenoszenia środka ciężkości swego istnienia z koła interesów praktycznych do dziedziny interesów idealnych.

Wyrozumiałość Sienkiewicza czy też najwyższe rozumienie, nigdy żadną czułościowością nie przyćmione a cechujące wszystkie dzieła, najlepiej mi się w tej właśnie hipotezie wiąże z całością pojęć o duszy twórczości jego. Wszystkie dzieła jego w tej tylko hipotezie paradoksalnej wiążą się dla mojej myśli w pojęcie całości duszy jego twórczej.

Spojrzymy tu chociażby na te kobiety, które zgubiły Zawilowskiego, zgubiły nieodmiennie, bo w danym razie powstrzymać go od owego zamachu samobójczego mogłoby jedynie poczucie swego posłannictwa nie tylko artystycznego, z którego najszlachetniejsze dusze najczęściej nic sobie nie robią, lecz chyba jeszcze bohaterkiego w najszerszym znaczeniu tego słowa...

Otóż serce czytelnika w końcu musi na rozkaz autora zgodzić się na miłość — przebaczenie dla żony Osnowskiego; wraz z sercem Swirskiego ściska mu się jego własne, żałując Niteczkę i prawie ją szanując po owej chwili szczerości, a w końcu nawet potworna przewrotność Broniczowej budzi w nas jakąś zapominającą o wstręcie litość, prawie współczucie.

A Maszko, niby zupełnie gotowy materiał na szuję, a zdolny do pokochania żony szczerze, idealnie, dla niej samej... Albo sama Maszkowa ze swem poświęceniem się dla matki...

Gdybym się tym szlakiem puścił na pełne morze twórczości Sienkiewicza, nie wiem, kiedybym mógł przybić do lądu.

A jakie to jest oryginalne, jakie dalekie od owego oklepanego doszukiwania się iskry Bożej w zbrodniarzach!

Wyznaję, że tę swoją wiarę szczerą co do »Rodziny Połanieckich« kocham jeszcze dlatego, że ona mi czyni tę powieść też górną i szlachetną, i nie pozwala żałować niezmiernych skarbów poezji, jakie w niej znajduję, a szczególnie z niczem nieporównanej piękności dusz i bólu serc pani Emilii i Litki, tego cudu z cudów twórczości Sienkiewicza. Zresztą jedynym, ale w mojem przekonaniu wcale nie zwyciężkim zarzutem mogłoby tu być chyba tylko zwrócenie uwagi właśnie na to, że wielkoduszość Sienkiewicza ogarnia wszystkich, nie tylko samych najmłodszych Aryów, bo każe nam też podziwiać np. bohaterstwo wrogów — jakby tryumf ich — w bitwie pod Grunwaldem, a kazałoby też odegnać dyabła i śmierć nawet od potwornego i przerażającego w swej zemście niesprawiedliwej Zygryda von Loewe. Mnie się zdaje, że wyczuwam osobno tę wielkoduszość a osobno owo marzenie aryjskie, na które nacisk kładą i skargi drwiące Bukackiego, że u nas na niczyją zupełną bezduszość rachować nie można, i spostrzeżenia, że nikt u nas nie śmie być poprostu *businessmanem*, tylko poczuwa się do obowiązku udawania chociażby, że coś kocha bezinteresownie poza *businessem*, a na dobitkę jeszcze to najniewątплиwsze udawanie może się nagle nawet pomimo jego wiedzy prawdą okazać.

Pamięć na to, że jak mówi Sienkiewicz, wszyscy nasi wielcy pisarze kończyli mistycyzmem, nie budzi

jednak we mnie żadnych obaw co do ostatniego z nich z kolei: w nim wszelka myśl, wszelkie uczucie zawsze będzie służyło potężnie dobru społecznemu, bo z pod woli przeznaczenia nawet on uchylić się nie może.

W pewnym związku z tem, o czym mówiliśmy wyżej, jest kwestya szczerości religijnych nastrojów Sienkiewicza. Ci którzy wiedzą, że nie jest on bigotem, wątpią o niej. Otóż dla mnie sama moc suggestyjna tych nastrojów jest dowodem ich szczerości. Skądżeby się one w słowach Sienkiewicza wzięły, gdyby ich w duszy jego nie było?

Zresztą przyznaję się do pewnego bardzo subiektywnego wniosku o tej szczerości przez analogię z własną duszą: czytelnicy mi wybaczą tę antropomorfizację, ponieważ ona jest prawem ducha ludzkiego we wszelkim kulcie.

Otóż uważam siebie za człowieka zupełnie wolno-myślnego, jednakże, aczkolwiek nigdy nawet w dzieciństwie łez nad własnymi cierpieniami ronić nie umiałem, zdarzało mi się niejednokrotnie płakać w kościele: raz wzruszyła mnie jakaś pieśń ludowa do Bogarodzicy, innym razem widok mumii ascetycznej i natchnionej starca-księdza, którego drżący jakimś skupieniem zaświatowem głos wszedł mi do wszystkich zakamarków duszy i wstrząsnął wszystkimi włóknami nerwów: Ot w tej chwili zamykam oczy i widzę i słyszę to *dignum et iustum est...* Musiałem się odwrócić, żeby ukryć łzy przed sąsiadami... którzy wzięli to za lekceważenie mszy.

Mówiąc nawiasem, skutek tego był straszny, byłem bowiem wtedy nauczycielem w domu bardzo katolickim. Poddano mnie wnet badaniu w oderwanej niby

a bardzo poprawnej rozmowie, i spenetrowawszy ze słów nauczyciela, który zwąchał pismo nosem a więc odpowiadał szczerze, iż poglądy jego zgoła nie są katechizmowe, zerwano z nim zaledwo zawartą a wcale jeszcze w czyn nie wprowadzoną umowę — w najgorszym dlań czasie. Taką przykrością opłaciłem łzy tego zachwyty, ale go nie żałuję.

Dalej, co jest rzeczą ważniejszą, muszę się przyznać, iż ze wszystkich książek na świecie przez cały ciąg mego życia zawsze najbardziej mnie wzruszała ewangelia — często do ekstazy.

Gdyby mi kazano nazwać najbardziej suggestywny poemat, powiedziałbym bez namysłu: »Ojcze nasz«; najszczytniejszy traktat etyczny — »Ojcze nasz«, najmędrszy traktat filozoficzny »Ojcze nasz«.

Pozwoliłem sobie dlatego tylko mówić tu o sobie, żeby na zakończenie powiedzieć, że bądź co bądź pod wszystkimi względami nieskończenie jeszcze więcej wierzę w »religijność« Sienkiewicza (w nieutartem znaczeniu tego wyrazu), niż we własną, w każdym bowiem razie wątpię, czy nawet pod wpływem jakiej »Anielki lub Maryni« mógłbym wejść na drogę zwykłej, prostej i poetycznej »służby Bożej«.

Godzien też uwagi prawie grecki kult piękności w Sienkiewiczu. Od początku do końca całej jego twórczości wszystko, na czem wzrok jego się zatrzyma, musi być piękne. Istota choćby tylko niezupełnie piękna — nie istnieje dla jego marzeń.

Nietylko bohaterki utworów jego, lecz poprostu wszystkie w nich kobiety wyraźnie są piękne: o brzydkich niema mowy. Tak na zaręczynach Zawilowskiego

z »Rodziny Połanieckich«, prócz starej Broniczowej, nie zauważyłem ani jednej wątpliwie chociażby ładnej: wszystkie piękne, choć każda inna — Połaniecka, Bigielowa, Osnowska, Castelka, Maszkowa. Wogóle w powieści tylko dwie drugo-planowe — Ratkowska i Zawilowska nie są ładne, ale bardzo miłe tylko, to też choć jedna jest czarującą wierną duszą i wdzięcznym sercem, a druga szczytną bohaterką, jednak obie nieszczęśliwe są i nie kochane lub miernie kochane. Marynia wywołuje zachwyty artystyczne w Swirskim i Zawilowskim, jak Anielka w Angelim, Ligia w Petroniuszu, a nie ustępują im, każda w swoim rodzaju, ani Rubrya, ani Poppea, ani Akte, ani Eunice, ani Danuśka i Jagienka, ani Helena Kurcewiczówna, ani Anusia Borzobohata, ani Oleńka, ani Krzysia z Basią ani Litka z matką. Piękne są i Ewka Nowowiejska z Zosią Boską i Hilstówna, Pomponia Graecina i Kalwia Kryspinilla i Nigidya i Chryzothemis i liczne bohaterki wszystkich planów, wszystkich nowel. Miłości jakiegokolwiek czy zachwyty zmysłowego dla kobiety, któraby nie była skończenie piękną, — niema w pismach Sienkiewicza. Kobieta jest dlań tylko istota piękna, reszta zaś, to tylko ludzie.

Zresztą wogóle wszystkie istoty żywe i rzeczy nawet w dziełach jego bywają niezmiennie prawie piękne; nawet dla uwydatnienia kontrastu rzadko się on brzydota posługuje. To też może powiedziałby za przykładem Petroniusza, iż jeżeli Bóg chciał, żeby on rzetelnie kochał jakiego bliźniego, powinien byłby go stworzyć na wzór bogów olimpijskich, nie darząc zbyt szerokimi ustami, spłaszczonym nosem, lub krzywymi nogami, — powiedziałby, gdyby westchnienie takie z »greckiej świątyni« własnego ducha nie odezwało się zaraz echem

w jego »kaplicy gotyckiej«: tam panuje niemal równie silny kult piękności duchowej, wiara w duszę ludzką. Żwierzę ludzkie też nie istnieje dla jego wyobraźni. Godne marzeń Skopasa formy ciała są dlań bez pięknej duszy mniej niż posągiem.

Wreszcie, aczkolwiek pod względem kultu piękna jest on najbardziej Grekiem ze wszystkich pisarzy nie starogreckich, nowożytność zaszczerpiła w nim potrzebę odczuwania w tem pięknie charakteru, któremu gotowa jest wyobraźnia jego nawet bezwzględna doskonałość formy poświęcić.

Dzięki temu właśnie w jego nieskończonej galerii piękności niema dwóch z jednego żywego wzoru malowanych a wszystkie takie pełne indywidualnego wyrazu. Prędzej w charakterach, szczególnie męzkich, możnaby się dopatrywać pewnych analogii. Tak np. z temperamentu i składu umysłu Winicyusz przypomina z oddalenia Kmicica, jak prapradziad — praprawnuka. Gdyby nawet jednak naprawdę świadomie wziął Sienkiewicz ten sam typ i przeniósł go tylko w inne czasy, niesłuszną byłoby rzeczą mieć doń o to pretensję. Dopiero jedność czy jednostajność nastrojów uczyniłaby dzieło następne co do ducha jakby kopia pierwszego, tego zaś nigdzie nikt Sienkiewiczowi nie wykaże.

Tak samo niesłuszną jest pretensja o powtarzanie się w dziełach jego pewnych zwrotów w rysunku akcji: główna bohaterka porwana, bohater dąży do niej przez przeszkody. Otóż zwróciłbym uwagę, że łańcuch historii każdego takiego porwania (Helena, Oleńka, Danuśka) składa się z kótek tak różnych, że właściwie mają one tylko to do siebie wspólne, że... są łańcuchami. Nastroje, momenty dramatyczne, walki wewnętrzne —

wszystko to całkiem jest inne dla broniącej się targnięciem na własne życie Heleny, niż dla Oleńki panującej mocą rozumu, taktu i dumy nad grożącym czci jej niebezpieczeństwem, lub dla tracącej rozum pod wpływem nieznanych prześladowań dzieciny-Danuśki. Niemniej inni są, pod tym względem wcale jeden drugiego nie przypominając, szukający kochania swego bohaterowie.

Naprawdę, zdarzyło mi się spotykać w prasie takie nędzne i bezmyślne doszukiwania się podobieństw dla potępienia, że aż litość brała nad krytykiem — walczącą o lepsze z obrzydzeniem. Biedni ci pisarze-poeci, bo nie znalazł się przecie dotychczas naiwny, któryby malarzowi uczynił zarzut, że jednym modelem w różnych strojach do różnych obrazów się posługiwał. Ci którym do głowy by nie przyszło rościć pretensyi do mistrza malarza o kilkanaście różnych *Pietà*, żądają od pisarza bezwzględnej nowości pomysłów i kombinacyi, nie poprzestając na różnicy w nastrojach. Czy poniża geniusz Ribery obsesya pustelników ascetycznych lub Murilla — Madon z Dzieciątkiem? U Böcklina na kilku obrazach widzimy jedną i tę samą złowrogo tryumfującą piękność, nie mówiąc już o starych mistrzach u których do Madony i Herodyady pozowała często jedna i ta sama osoba. A oto artyście, którego bogactw wyobraźnionych nikt na świecie nie przywyższył, zdaje się gotowiby ludzie zarzucać, że w jednej powieści jego osoby działające chodzą do góry głowami, a w następnej — naśladują tamtych.

XV.

Ów kult piękna tworzy w dziełach Sienkiewicza cuda tak przykuwające uwagę, że największym wysiłkiem mojej krytyczności było zrozumienie tego, że jest on najbardziej ideowym pisarzem, który tylko lubi najbardziej myśleć posągami, obrazami i muzyką, płynącą jakby mimowoli z duszy w dźwięk słów. Były chwile, kiedy mówiłem sobie: to sztuka dla sztuki! Ten człowiek marzy o pięknie, jako ptak śpiewa, dlaczego zaś przytem budzą się we mnie tysiące uczuć i myśli, trzeba to dopiero sobie wytłumaczyć, bo przecie na samo takie kochanie piękna trzebaby było przynajmniej kilku wielkich dusz twórczych, skądżeby więc w nim znaleźć się jeszcze mogły równie wielkie ich zapasy dla kochania i rozumienia idei?

Wyznaję, trudno mi było zrozumieć, że kult piękna fizycznego w człowieku wogóle a w kobiecie w szczególności, i kult piękna i wielkości w naturze i w duszach ludzkich pojedynczych czy zbiorowych, i kult piękna i wielkości w ideach — to są — używając przenośni Leibnitzowej — trzy różne zegary zgodnie idące, bo wskazówki przesuwają jedna moc — treść — dusza jego duszy twórczej.

Gdybym dusze twórcze porównał z wielkimi piecami, powiedziałbym, że po dymie poznać można czem w nich palą: pewne mimowolne pozowania, udawania, deklamacye, patosy, ornamenty obrazowe lub rezonerskie zdradzają, czy mamy do czynienia z mistrzem słowa

przedewszystkiem, czy z tendencją świadomą, czy z marzeniem dla marzenia jedynie.

Co jednak począć z takim wielkim piecem, wymarżonym szczytem geniuszu inżynierskiego, który całe paliwo wraz z dymem i sadzą przerabia na ciepło? — co począć ma krytyk z taką duszą twórczą, w której całe paliwo — świat materii i ducha — wytwarza tylko jakiś porywający w bezmiary ruch? Myśli może kto, że jest łatwo dla rozumu tak przeważać w sobie zwycięstwo prawej pokory i prawej dumy nad niewiarą w siebie i pychę, żeby aż wsłuchawszy się w głos serca, rzec: to jeden z tych artystów bohaterów, do których zachowania nietrzeba butów zdejmować, bo palce rąk wystarczą, a tylko można głowę odkryć.

Naprawdę, jest pewna skromność, maskowana dla samej świadomości krytyka, w obawie przed złożeniem otwarcie takiego hołdu. Sama siebie nie słysząc mówi dusza: cóżeś to za elektor, byś śmiał komu aż taką koronę wskazywać?

Błąka się jeszcze po bardzo a bardzo wielkiej ilości głów zarzut, że niektóre postacie współczesne Sienkiewicza wzięte są z natury. Otóż przypuszczam, że wszystkie — zarówno w jego dziełach jak w dziełach wielkich talentów wogóle i to nie tylko współczesne, lecz (przez odpowiednią oczywiście transpozycją ducha epoki) wszystkie te historyczne, których charakter indywidualny trzeba było odgadnąć. W wielu wypadkach trudnoby tylko było samemu artyście wskazać swoje modele, bo jego wyobraźni kombinacyjnej kilka osób nieraz pozować może do jednego typu, niekiedy

zaś, nawet pomimo własnej świadomości — on sam. Ale bogi same z modeli odtwarzane bywają.

Malarz portretując nawet ma pole niezmierne dla wyobraźni twórczej. Musi odgadnąć ducha danej postaci i treść cechującej ją nastrojowości; — pochwycić, mówiąc przenośnią, alkaloid ogólnego wyrazu, charakteru twarzy, i potem wyobraźnią wykombinować, jaka poza, jaki strój, jakie światło, jakie otoczenie, jaki uśmiech ust lub jaka powaga oczu najlepiej to oddadzą. Musi on stworzyć nie tylko odpowiadającą przypadkowej rzeczywistości kombinację plam barwnych, lecz zarazem właśnie symbol jakiejś istoty. W obrazie praca twórczości staje się stokroć jeszcze złożęszą, gdy prócz takiego odczucia i odgadnięcia intuicyjnego każdej postaci poszczególnej trzeba stworzyć harmonię i nastrój całości — przez wybór i stworzenie wielu poszczególnych harmonii i nastrojów.

Pisarz zadanie ułatwione ma pod tym względem, że charakteryzując postacie szeregami momentów nie musi zawsze wydobyć ową kwintesencję każdej istoty wysiłkiem własnej duszy, lecz może ją zostawić do odgadnięcia czytelnikowi w szeregu połączeń z różnymi domieszkami, a prócz tego przedstawia swoje postacie w ruchu, w czynie.

Za to utrudnia zadanie jego to, że maluje on zawsze tylko z pamięci, kiedy malarz, choć zgruba pomaga sobie modelem. Kogo wziąć ze składu pamięci? Jak kogo ubrać? boć przecie nieraz księżę najharmonijniejby wyglądał w liberyi własnego furmana współczesnego a parobek zdradza fantazję włodyki z XV stulecia. Tu widzi artysta, że esencja tajna ducha danej postaci ujawniłaby się daleko wyraźniej przy bogactwie,

a innej w biedzie, tej w szczęściu, innej w nieszczęściu, i oto musi on temu dodać złota, czy nieszczęścia, a temu ująć. Wreszcie musi wymarzyć moc niezliczoną, okoliczności, na które, używając terminu chemicznego, najlepiej będą reagowały te pierwiastki duchowe, których obecność trzeba uwyraźnić. I potem o każdym z tych tworów swoich musi pamiętać tak, jak Bóg o swoich pamięta.

Jednem słowem, obowiązkiem jego jest dać dużo, jakem się wyraził, poszczególnych harmonii i nastrojów uosobionych, i z nich wykombinować dużo poszczególnych harmonii i nastrojów w obrazach, momentach i postaciach, a z tego zbudować wreszcie harmonię i nastroj całości, która ma być zarazem i życiem rzeczywistym i kwintesencją czyli symbolem życia.

Tak więc podstawową mocą twórczości jest nie widzenie samo, lecz jasnowidzenie. Najwyższa doskonałość w dziedzinie sztuki może się zrodzić tylko z najwyższego skupienia wzroku nie tylko ciała, lecz i duszy. Stąd też znany lub chociażby wystudyowany umyślnie typ może zapalić wyobraźnię twórczą artysty dopiero wtedy, gdy zwróci na siebie namiętną jego uwagę. Ot takiego np. Waskowskiego trzeba przecie było kochać, żeby go tak odtworzyć. Oczywiście to ukochanie artystyczne ogromnie się różni od zwykłego: jest ono przede wszystkim podziwem, który równie dobrze rodzić się może z miłości, jak z nienawiści, z zachwyty jak ze wstrętu, z rozkoszy jak z bólu — i oczywiście niekiedy nie z wrażeń bezpośrednich i wyłącznie własnych, lecz z zarażenia się przez sympatyę punktem widzenia cudzego umysłu lub cudzemi uczuciami i wrażeniami.

Pod wielu względami artysta-pisarz jest szczęśliwszy od malarzy współczesnych. Zarówno wyrażana nieustannie pamięć odtwórcza pozwala mu wybierać wśród świata całego modele, co w ruchu życia pozują mu pomimo wiedzy ich i jego samego najczęściej.

Malarz związane ma ręce konwenansami naszego życia, tak bezwzględnie obcego sztuce, że nawet portret o akcesoryach nieco egzotycznych zdałby się ekscentrycznym, a najpomyślniejszą odpowiedzią damy światowej, prośzonej o pozowanie do obrazu, byłoby chyba: *»tout ce que vous voulez, mais pas ça«*. Minęły czasy, kiedy księżna występowała w obrazach mistrza jako bogini lub nimfa, a kochance nie było trudniej zwyciężyć swój wstyd w innym kierunku, niż dla pozowania do Zuzanny w kąpieli — byle nie razem ze starcami. Dziś w czasach tandety i kłamstwa w myśl umowy milczącej towarzyskiej świat cały może wiedzieć, jak kto kogo widzi, ale wymalować to widzenie swoje — *shoking!*

Zapewne, portrety w rodzaju Labruyere'a przestały już być dziś możliwe nawet dla pisarza, ale niepodobieństwo sprawdzenia tożsamości fizycznej a najszersza możliwość zatarcia podobieństw życiowych zewnętrznych, rozwiązuje całkowicie niemal skrzydła jego wyobraźni twórczej. Usuwa się ona z pod wyroków barbarzyństwa konwensu, bo ten, kto nawet ostatecznie duszę swoją pozna, nie zechce się do tego przyznać i wyjdzie na tem lepiej od strusia, chowającego głowę przed prześladowcami. Chciałbym widzieć głupca, któryby zawołał do trybunału konwenansów, »prześwietny sądzie! ta małpa — to ja«. W tem miejscu przeczuwam, że mógłby mnie kto zagadnąć: »a etyka«.

Mówiąc o twórcy miałem prawo mówić o twórczości wogóle, teraz zaś, wobec magicznego wyrazu, w wyobraźni mojej uderzającego w moje rozumowania, pozwolę sobie już na rzetelną dygresję, przeprosiwszy za nią z góry czytelnika. Muszę we własnej obronie wyjaśnić nieporozumienie pomiędzy tem, com powiedział a tym zarzutem.

Otóż, wedle mego rozumienia, żądać od artysty, ażeby dzieło jego nie było echem i odbiciem jego spostrzeżeń, wrażeń i namiętności — własnych bezpośrednio lub przez sympatyę, umożliwiającą analogicznymi bezpośrednimi zjawiskami wewnętrznymi — byłoby to żądać, ażeby dzieło to nie było dziełem sztuki.

Michał Anioł, malujący niesłusznie dokuczliwego kardynała w czyściu i przenoszący go na skutek skargi przed papieżem do piekła, wywołuje w nas jedynie wrażenie panującej nad krajami i wiekami mocy artysty i nędzy owego kardynała — poza swoim kraikiem i czasikiem. Nikt chyba nie uczuł cienia wzgardy dla Dantego, spotykającego wrogów swych politycznych w »mieście utrapienia«, każdy bowiem czuć musiał, że marzeniom okropnym dumnego wygnańca gibelina przyświeca nie nienawiść partyjna, lecz sprawiedliwość mistyczna, że słowa potępienia dyktuje mu nie niechęć osobista, lecz poczucie ideału. To też nawet niesłuszność później udowodniona któregośkolwiek wyroku zdałaby się nam błędem nieuniknionym najmądrszego sędziego, nie zaś zemstą szantażysty, skorobyśmy sobie uprzytomnili, że w imię ideału sprawiedliwości na męki wieczyste umiał on skazywać nawet istoty, dla których najgorętszym zachwytem i ukochaniem musiało bić jego serce człowieka i poety.

Nie znaż wcale granic etycznych twórczość?

Zna, ale te same, co i życie. Twórczość jest etyczną lub nieetyczną w zależności od tego, czy służy — świadomie lub nieświadomie — ideałowi czy też nie. Ileż portretów, nawet w karykaturze, odnajdziemy w dziełach największych artystów i największych przytem bojowników za ideał cnoty w życiu!

Jeżeli artysta został zdradzony przez przyjaciela lub kochankę, maż powiedzieć sobie raz na całe życie: »o zdradzie i zdrajcach nie mam prawa mówić, choć mógłbym powiedzieć o tem najnamiętniejsze a więc najbardziej natchnione słowo«, któreby zresztą — mógłbym dodać od siebie — największe możliwe obrzydzenie do zdrady wywołać musiało.

Carlyle, mówiąc o wielkich bohaterach, bojownikach światła przeciw ciemności czyli dobra przeciw złemu, zwraca uwagę na to, że zawsze prawie zrywali się do walki dopiero wtedy, kiedy ów mrok złego ich samych chciał ogarnąć, im samym żyć nie dając wedle własnego ideału, czyli obrażając ich ideał w nich samych, w sposób bezpośrednio możliwy do odczucia dla ich własnych nerwów. Ani z miłości, ani z nienawiści, ani z zazdrości, ani ze zgrozy nie odtworzy największy artysta nic, jeżeli nie uprzytomni mu się w duszy ze wszystkimi skojarzeniami, niezbędnymi do treści rzeczy, — istotne uczucia i wrażenia — własne lub cudze, przez własne zrozumiałe. Tylko, jakem powiedział, pisarz, mogąc zmieniać akcesorya, właściwie bardziej odtwarza nastroje własne, niż momenty. Nie etycznym jest dopiero takie odtwarzanie rzeczywistych postaci i zdarzeń, któreby nie było wcale walką za ideał jakiś wzniosły i bezinteresownie drogi. Jeżeli będąc artystą, odmaluje kto

znajomego za to, że się o dług upominał, w postaci fizycznie upokarzającej i wstrętnej, wcale nie mogącej uchodzić za ów symbol ducha, — postąpi jak szubrawiec i szantażysta, ale suchotnik, któremu by bogaty przyjaciel odmówił pożyczki na ratowanie gasnącego życia, miałby słuszość nie tłumiąc bólu swego rozczarowania obawą, że gdzieś ktoś kiedyś może poznać osobę pomimo trawestacji pod względem sytuacji oraz okoliczności.

Powiadam: nieetyczność, jeśli widzę, że w artyście nie ideał oplwany i rozbite marzenie rozpacznie załamują ręce, lecz wykrzywiają się plwając — zwierzęcą zmysłowość i płaska pycha czyli obce właśnie wszelkiemu ideałowi wszechwładztwo egoizmu. To też najwyższy stopień doskonałości sztuki rodzi się ze zdolności twórcy do odczuwania nie tylko tego, kiedy zeń naprawdę »wychodzi siła«, co ludzi rzuci do stóp jego marom, lecz nawet kiedy zeń wychodzi ta siła, co z wiedzą jego lub bez, z woli przeznaczenia walczyć musi za dobro i prawdę i wieść ludzi do stóp ideałów najwyższych.

Byłoby jeszcze dużo na ten temat do powiedzenia, ale od tej obrony ogólnikowej swoich własnych poglądów na stosunek sztuki do życia, spieszę do właściwego przedmiotu swojej pracy, a w szczególności — do pokłosia.

XVI.

Nie mówiłem o wielu nowelach. Jako wybuchy śmiechu lub momenty nastrojowe nikną one wobec wielkich powieści-poematów, których drugie plany bogatsze

są w nastroje humorystyczne lub tragiczne stokroć większej siły i piękności. Wyobraźni Sienkiewicza za ciasno jest zwykle w ciasnych ramach noweli: trzeba jej obszarów, jak huraganowi.

Podzieliłbym drobne stosunkowo utwory Sienkiewicza: na studia nad nastrojami własnymi, które przygotowują przyjście wielkich dzieł, jak »Pójdźmy za Nim«; na porywające wesołością żarty wiosenne, jak »Ta trzecia« lub »Wyrok Zeusa«, i na jesienne skupienia smutku, jak »*Lux in tenebris lucet*«.

Niekiedy ptak żartu wiosennego skąpie się w źródle kastalskiem poezji lirycznej a trzepocząc skrzydłami strząsnie z nich rój mieniących się w słońcu wszystkimi barwami tęczy nastrojów i obrazów, którym krytyka zechce nadawać znaczenie przenośniowo-ideowe. Mówiąc to myślę o legendzie »Na Olimpie«, rozpoczynającej się od takiej cudnie suggestyjnej muzyki słów i obrazów, a kończącej się takim żartobliwym pogodzeniem niektórych bogów greckich z apostołami Piotrem i Pawłem. Przysłowie mówi, że w każdym żarcie jest połowa prawdy, to też tu wierzę, iż Sienkiewiczowi żal trochę, jako poecie, takich pięknych bogów, jak Apollo i Wenus, albo takich ślicznych bóstw, jak muzy. Niech już biedne dziewczęta, zamiast przepadać, »Pod Twoją obronę« »śpiewają na wrzosach, podnosząc w górę oczy jako białogłowe mniszki pobożne«, bo naprzód pieśń ta do cudnej Królowej Niebios jest śliczna, a prócz tego im w owej postaci wcale jest ładnie w tym żywym obrazie.

Co się tycze Apollina, to Sienkiewicz takim jest doskonałym obrońcą wobec groźnego bądź co bądź, jak widać z innych przykładów, trybunału, że wynajduje na

jego obronę, zgola nie odpowiadające słuszności argumenty, zwąc pieśń panteistyczną pięknosci, rozkoszy i siły — tęsknotą ku Bogu (Piotra i Pawła).

Zapewne, że tak podkupiony trybunał wydać musiał wyrok uniewinniający: szczęście, że nie było kogo skazać na kosztą procesu!

»Aż wreszcie przyszła kolej i na Nią — najpiękniejszą, najwięcej czczoną. Zbliżyła się słodka, cudna, rozplakana, serce biło w niej pod śnieżną piersią, jak u ptaka, a usta drgały, jak u dziecka, które lęka się kary okrutnej. Więc przypadła im do nóg i wyciągnawszy swe boskie ramiona, poczęła wołać z pokorą i bojaźnią: jam grzeszna, jam winna! ale jam (cielesna piękność i rozkosz miłości) szczęście ludzkie jedyne!«

Gdybym był przy tem w roli oskarżyciela urzędowego, nie chodziłoby mi wcale o to, żeby ją zgubić, tylko wyłącznie o przedłużenie sądu, to też w bardzo wyczerpującej mowie sam wysoko podniósłbym drżące w wyrazie grzeszna nawrócenie się i obietnicę, że winowajczyni będzie grzeczna i więcej tego nie zrobi, co tak milusio wygląda wobec beczelnie wspaniałego stawiania się Jowisza ze starym ptakiem; za to słowa: jedyne — nie podniósłbym wcale, chociaż łatwoby mi przyszło przed takim trybunałem rozdymać je do wielkich rozmiarów, wydając za nieprawdę i bluźnierstwo. Byłbym rad, że powtarzając jej wyrazy, ten właśnie, przez nieuwagę zapewne, Paweł apostoł pominął.

Że zaś po cudnych słowach wyroku na Posejdona nie wstawiałbym się za nim przed sędziami, by mu pozwolili przynajmniej trudnić się i nadal topieniem łodzi — za to ręczę.

Gdybym nie był do głębi duszy przekonany, że

zrodził to przeżroczyste cudny, ale żartobliwy nieco nastrój, gdyby mi powiedziano, że sam Sienkiewicz uważa to za dopełnienie ideowe »*Quo vadis*«, za komentarz liryczny do owej sceny przebaczenia Ligii miłości dla Winicyusza — naprzód bym nie uwierzył, a potem bym się zmartwił swoją bezwzględną niezdolnością zrozumienia tego.

XVII.

Mówi gdzieś ktoś u Sienkiewicza, że całe szczęście, jakie może dać sława, mysz zjadłaby po dobrem nawet śniadaniu bez szkody dla zdrowia.

Nie jest to prawdą.

Sława składa się z dwóch części: wiernej czci wyznawców i hałasu hałastry.

Otóż pierwsza największym i najniezależniejszym od świata zewnętrznego duszom może przysporzyć bardzo dużo szczęścia, co zaś się tyczy owego drugiego pierwiastka, to znów nietylko mysz, lecz słoń nawet dostałby niestrawności po jego spożyciu.

Mdląca to chyba być musi dla sławnego przyjemność rozumienia, że niepodobna mu stopy postawić bez nadeptnięcia jakiejś płaskości oślizgłej, co choć w ten sposób chce się otrzeć o człowieka, o którym świat cały mówi.

Nie łatwo chyba nie uczuć się przygnębiionym własną wzdardą dla ludzi, którzy krzyczą: »niech żyje«, żeby zwrócić na siebie uwagę sławnego; którzy, choć nic ich żadna nieśmiertelność nie obchodzi, ogłuszają go epitetami: mistrz, geniusz, wielki pisarz, wielki artysta, wielki myśliciel, wielki psycholog — jako tytu-

łami największej ekscelencji polskiej; którzy cisną się doń tak, jakby się cisnęli do byle magnata lub wezyra; którzy nawet na neutralnym gruncie pierwby się skłonili przed ministrem, niż przed geniuszem.

Być zmuszonym do znoszenia ukłonów, uśmiechów i hołdów, czując, że te ukłony byłyby jeszcze niższe, uśmiechy jeszcze czulsze, hołdy jeszcze bardziej płaskie, gdyby tak sławnemu ofiarowano gdzie tytuł książęcy, order, nadający kuzynowstwo z królem jakimś, ordynację lub gdyby choć gruchnęło, że we Francji czy w Niemczech znów parę kroć sto tysięcy wielbicieli sławnemu przybyło!...

Niewątpliwą jest rzeczą, iż hałaśliwość sławy Edisonów tworzą nie ci nieliczni, których umysł może pojąć cudowność wynalazków elektro - mechano - chemicznych; Nansenów — nie ci, których wyobrażenia obejmuje bohaterstwo odwagi i poświęcenia się dla nauki; Hugów — nie ci, których serce łkając rwie się ku szczytom myśli i uczuć ludzkich.

Tworzą sławę taką stada tych, dla których Gladstone i Disraeli byli zarówno ministrami, jak Matejko i Styka malarzami. Zapewne, jest w tem też coś pocieszającego, że tak lub owak szczerza cześć dla bohatera nawet w naszych czasach potrafi dokazać prawie tyle, co geniusz Barnuma lub syndykat Drefjusowski. Może to nasunąć myśl optymistyczną, że inercyjność duchowa zjadaczy chleba, dla których świat niby istnieje — to właściwie tylko *rudis indigestaque moles*, którą organizuje dopiero uczucie dusz szczerych, że to miedź martwa, z której głos wydobywa dopiero wielkie serca szczerzego rozbujania.

Wyznam, iż pomimo całego wrodzonego wstrętu

do dworactwa cieszę się za naród, że królewskość poetycka najwybitniejszego z przedstawicieli jego taki dwór ma. Niech dokuczają mu zachwyty zjełczałymi, hołdami skwaśniałymi i tytułami spleśniałymi, czcząc w nim nie bohatera, lecz »wielkiego mandaryna mysich wetów!« Będę się cieszył za nas wszystkich, ale pewien jestem, że Sienkiewicz niewiele sobie robi z tych coraz nowych gałek mandaryńskich.

Temu rzetelnemu majestatowi nietylko poezji, lecz i humoru, może się to przydać na zabawę dla dzieci — i tyle.

Zresztą taka nawet sława może jeszcze niekiedy mieć moc leczniczą dla ran, zadanych dumie szlachetnej przez pyszną podłość płaskości, której nie zawstydzi przecie, nie zmusi do żalu za potrącenie brutalne jakiejś duszy lub za uczynienie sobie z niej igraszki — tylko to, że ta dusza jest wielka.

Nie brak wśród nas rodzonych braci tego dzikusa, który wtedy dopiero zrozumiał tryumf Chrystusa, kiedy ujrzał wyobraźnią jak On zabił, usmażył i zjadł dyabła. Mierzącemu wielkość ilością bitych przed nią pokłonów i czynionym dokoła niej zgiełkiem dobrze może zrobić konieczność zadarcia gimnastycznie głowy dla ujrzenia wysoko ponad sobą w majestacie ziemskiej chwały kogoś, zranionego nędznym jego egoizmem i płaską głupotą.

Miłe bez domieszek trujących być mogą, jak przypuszczam, tylko początki sławy, kiedy to dopiero zaczynają ulegać urokowi artysty dusze szczerze i zapalne, oryginalne i wytworne, udzielając zachwyty tego drogą zaraźliwości psychicznej naturom prostym i szczerym a szlachetnym. Ale potem bohater staje się nietylko przedmiotem czci dla dusz wiernych i wybranych, lecz

przedewszystkiem przedmiotem ciekawości dla tłumu bezdusznych filistrów, celem zabiegów dla rojowiska rzezańców duchowych.

Od tych ogólnikowych rozumowań o sławie, uprawnionych o tyle, że się mówi tu o Sienkiewiczu, przejdę do historii jego sławy. Zacznę od kółców róży.

Jak każda niewymierna wielkość geniuszu nie mógł on być zrozumiany odrazu i przez wszystkich. Daltonizm tendencyjny przeszkadzał wielu krytykom pojąć należycie rdzennie narodowy charakter jego twórczości, zaś bardziej jeszcze w wieku tandety rozpowszechniony pewien rodzaj ślepoty nie mógł odgadnąć przenikającego dzieła jego całe pierwiastka bohaterstwa. Wreszcie wyobraźnię naszą olśniewały tu takie ogromy, których umysł ująć w karby ścisłej rachuby na razie nie mógł, więc się zrywał.

Myśląc o błędach naszej krytyki przypominałem sobie zawsze przeróżne nonsensy krytyki zagranicznej o Sienkiewiczu, i było mi to pewną pociechą, że zaś tam zarówno zarzutom jak mdłym i równie rzadko trafiającym w sedno pochwałam brakło namiętności, tłumaczy się to tem, że ich on mniej obchodził.

Mówiłem już, jak uśmiechano się w gronie koleżeńskim około roku 1875 na wyraz niespodziewany jego przekonania, że będzie on największym powieściopisarzem polskim, jak przyznano mu talent po »Listach z Ameryki« i trochę zwiększono granice wiary w ten talent po »Szkicach węglem«; mówiłem też jak obóz pozytywistów po rzekomem »odstępstwie« nie znalazł aż do końca dla niego słów uznania, znajdował za to zawsze i niezmiennie dużo słów nagany. Mógłbym zaledwo parę osób wskazać takich, które nie czyniąc za-

dnych ustępstw ze swych przekonań, potrafiły go zarazem ocenić.

Na hasło »hajże na Sienkiewicza« stawały nadrabiając miną pod sztandary koryfeuszów słabe głowy, których właściciele nakazywali surowo milczenie sercom, tak jakby kto dziecku głodnemu krzyczyć zabronił. Cisnęło się też pod nie dużo »dzikich«, którzy nie mogli rozwinąć własnego sztandaru: zazdrość. A zazdrościli Sienkiewiczowi nie tylko niektórzy powieściopisarze, ale wielu krytyków, publicystów i reporterów, a może wedle słów Śniatyńskiego, nawet niejeden inżynier, lekarz lub aptekarz.

Dziwnym trafem na polu nierozumienia Sienkiewicza spotykała się mądrość tendencyjna z głupotą naturalną.

Wiadomo, że przeciętny krytyk ma tyle zdolności do wyczuwania oryginalnie piękna, co wogóle przeciętny człowiek: we wszystkich zawodach równy procent filistrów. Otóż taki filister krytykujący skazany jest z góry na myślenie pewnymi kategoriami, ściśle określonymi przez podręczniki odpowiednie lub studia czyjeś, wyrastające do powagi podręczników. W dodatku ogólniki swe stosuje on do dzieł sądzonych często na chybił trafił, jak kadi mużułmański wersety koranu.

Taki krytyk, napotkawszy w dziele czyjś bohatera, przesiąkniętego pesymizmem wątpiącym lub buntowniczym, nie usiłuje go odczuć, jako indywiduum żywe, by, z nim cierpiąc, kochać go lub nienawidzić, jeno zacznie szukać cech powierzchownie charakterystycznych, któreby go czyniły podobnym do Hamleta lub Manfreda. Miłość wielka o końcu tragicznym — to »Romeo i Julia«, bohaterowie Maeterlincka, Werter lub

kawaler des Grioux. Taki krytyk, spojrzawszy na mądre i ładne dziecko, gotówby ojca posądzić o umyślne naśladownictwo.

Krowa stoi przy sianie i porusza szczękami, kto jednak pomyśli, że zajada ona to, co ma przed nosem — łatwo się pomyli: ona może przeżuwać tylko dawno połkniętą a niestrawioną jeszcze strawę.

Gospodarz Arab, którego w Afryce odwiedził był Sienkiewicz, odprowadzając swych gości silił się na czkawkę, aby »w honor swego domu« (mówiąc archaicznie) okazać, że dobrze jada. Otóż na całym świecie jednako krytycy (i nawet czasem nie krytycy) takim odbijaniem się niezasymlowanych myśli, uczuć i obrazów usiłują okazać swoją sytość duchową.

Zdawałoby się, że potrzeba porządku każe takiemu biedakowi pakować każde dzieło i typ każdy do tej lub owej z opatrzonych napisem szufladek swego umysłu. Kiedy świat cały uzna za zgoła odrębny typ, który filister chował, na ten przykład, do szufladki z napisem: »Falstaf«, decyduje się on na dorobienie nowej, by na niej napisać: »Zagłoba« i pakować do niej z kolei jakieś inne okazy, mniej lub więcej pozornie podobne a często niegodne wcale chowania, jak wykrojony z zielonego papieru liść nie byłby godny spocząć w herbaryuszu.

Zbiory artystyczne przeciętnego krytyka przypominają dzięki temu potwornie wypchaną kieszeń malca, w której znajdziesz scyzoryk, złamany gwóźdź, lupeżeczną, szyjkę od butelki, pusty orzech, cukierek na pół zlizany, kamyczek, paperek od cukierka i t. d. wszystko z równym prawem obywatelstwa.

Ile tak powołana krytyka zawiniła wobec Sienkiewicza, trudno określić choćby dlatego, że się jej umalić

go w oczach narodu ni świata wcale nie udało. Niepodobna jednak czytać bez śmiechu i złości tyczących się go utworów krytycznych takiego polotu. Darmo tłumaczyć sobie, że mylić się — to nie odłączne od natury ludzkiej, że najmędrsi i najszczerzy ludzie nigdy się z pod tego prawa nie mogli wyłamać: chyba tylko własne błędy jeszcze bardziej mnie drażnią.

»Trylogia« — pisano — to naśladownictwo Dumasa ojca lub Waltera Scotta: wszak byli świadkowie, którzy właśnie przed »Ogniem i mieczem« widzieli u Sienkiewicza »Trzech muszkieterów« czy »Hrabiego Monte-Christo«. Jedno z pism zaraz po pierwszych ciągach »Bez dogmatu« odgadywało, że to nędzna ramota, po wyjściu zaś książki uznawano ją w obozie za naśladownictwo słabe Bourgeta lub Amiela. Bezmyślne plotkarstwo pseudo-historyczno-literackie poddawało jeszcze niedawno, że natchnął autora myślą napisania tej powieści psychologicznej... pewien uczony literat. Co mówię? Jeżeli Sienkiewiczowi zdarzyło się wygłosić mowę świetną lub napisać list otwarty, budzący podziw taktem, mądrością, szlachetnością i siłą, pewno znaleźli się przyjaciele, których radą wszystko się stało.

Walki bohaterów w »Trylogii« zdawały się krytykowi nieprawdopodobnymi, więc orzekał wzgardliwie: »bajka«, niepomny wcale na to, że »Iliada« i »Szach Name« — też bajki. Inny z podręcznikiem dla szkół niższych w ręce wykazywał dowodnie błędy historyczne...

A jaka taka żaba powieściopisarska traktowała rzeźkomego współzawodnika przez łapkę, wysoko podnoszoną na pokaz, jako w mniemaniu właścicielki wspaniale podkutą.

Niekiedy nawet z pomiędzy krytyków, którzy uzna-

wali poniekąd wzniosłość i doniosłość dzieł Sienkiewicza — niejedynemu poza zapewnieniami o swej skromności ukazywał apodyktyczność profesora, poprawiającego wypracowanie ucznia. Ten chwalił bardzo »Potop«, ale mu Kordecki był za mały; innemu podobał się »Pan Wołodyjowski«, ale Krzysia według niego była wcielonem nieprawdopodobieństwem psychologicznym — i takie zarzuty, rzucane bez żadnego poczucia perspektywy w krytyce, wyglądały często nie na skazy na tynku gmachu, lecz na pęknięcia murów.

Gdyby mnie kto zapytał, czemu pism i nazwisk tu nie cytuję, odpowiedziałbym: naprzód dlatego, że niejedynemu z tych, którzy się naprawdę tylko mylili co do Sienkiewicza, z równą szczerością i bezinteresownością, potem sam to już uznał; następnie, co do innych, pozwalałam sobie na to przemilczenie dlatego, że mi tu chodzi o Sienkiewicza tylko, a nie widzę potrzeby składania mu krwawych ofiar ludzkich.

Przez łatwo zrozumiałą stronność wyjątek zrobiłem tylko dla siebie, wyraźnie palcem, jako własne, wskazując swoje błędy.

Oczywiście były i głosy bezmyślnie, choć bezwzględnie chwalcze, a więc temsamem jeszcze gorsze od nagannych; znam wreszcie natchnioną zapałem krytykę »Ogniem i mieczem«, lecz krzywdzącą zarazem dalszy ciąg »Trylogii«, krytyki jednak, któraby wykazała całą wielkość geniuszu Sienkiewicza — ze swoją obecną włącznie — nie znam wcale w żadnym języku. I nic naturalniejszego. Byłbym naiwny, gdybym nie rozumiał, że w dziełach jego są jeszcze do odkrycia światy całe piękna i mądrości i bohaterstwa. Wszystkie te jednak rozumowania o konieczności naturalnej, aby ge-

niesz nie został odrazu zrozumiany, nieskończenie mniej pocieszają, niż to, że go serca szczerze w Sienkiewicza odgadły i odczuły tak, że gorący ich zachwyt, nie ujęty w żadne terminy techniczno-krytyczne, porwał ostatecznie nawet tych, których małe lub zazdrosne dusze nie dały się porwać samym jego dziełom.

Pociechę też winna być myśl o zachowaniu się Sienkiewicza wobec tych kur, które usiłowały lot jego obniżyć. Zaledwo dwa razy orzeł dziób i szpony ubroczył. Raz w »Listach z Afryki«, zniecierpliwiony tem tony protekcyjonalnemi pochwał bez sensu lub dogadywań bezmyślnych, oburzony złą wolą, rozwstrętniony poufałością płaską — rzucił ową okrutną odprawę niepowołanym krytykom »Bez dogmatu«.

»Jedni rzucają się Płoszowskiemu do oczu, drudzy skaczą mu na ramiona, poufaląc się z nim jak wyżyły«(?).

Słowa te cytuję z pamięci, podział ten bowiem krytyków wypalić się musiał w pamięci każdego z nich. Zanim jednak Sienkiewicz mógł dać mi prawo formalne do uważania siebie za nie objętego tą żywą klasyfikacją, miałem sposobność wystąpienia dwukrotnie w obronie jego i Płoszowskiego — raz z właściwą sobie namiętnością w dawnym »Głosie«, drugi raz mniej trochę namiętnie, ale nieco gruntowniej w »Ateneum« (pod redakcją Chmielowskiego)¹⁾.

Za drugim razem już osobiście dotknięty prostą i niedyskretną i natrętną pewnych dziennikarzy

¹⁾ Wspominałem o tem nietylko dlatego, żeby przypomnieć, że moja ówczesna krytyka »Bez dogmatu« nie zdradziła ani poufałości, ani złej woli, lecz jeszcze dlatego, żeby się pochwalić owym gorącym wystąpieniem swoim przeciw napastniczemu lub dzikim sądom. (*Przyp. autora*).

smagnął ich taką wzgardą, na jaką jego tylko dumę stać było.

Poza temi dwiema lekcyami grzeczności poufale rozzuchwalonym ponad wszelką miarę nędzotom — nie potrafiłbym nazwać pisarza, któryby ze szlachetniejszą dumą i lojalnością stosował się do krytyki dzieł swoich. Nigdy żadnych zabiegów ani zemst, ani zazdrości, ani żadnych względów na interes osobisty.

Tak np. nie mógł on nie wiedzieć, że jeden żyd sympatyczny, choćby na najdalszym planie którejkolwiek z powieści, obroniłby go był w swoim czasie od wielu szykan prasy a zorganizowałby duży hałas reklamy. Ale, aczkolwiek obcy wszelkiej judofobii, pisarz wiedział przedewszystkiem to, że przeznaczeniem jego jest nie robić interes na żydach, służąc im lub ich prześladując, lecz tworzyć marzenia-czyny rdzennie pod względem ideowości, etyki i estetyki »najmłodszo-aryjskie«.

Tę samą bezinteresowność widzę nietylko w licznych faktach, tyjących się stosunków prywatnych. Jak Faraday'owi wzgląd na naukę, jako na twórczy ruch myśli w nieskończoność tajemnic natury, przeszkodził przetopić już posiadaną wiedzę na miliony, tak Sienkiewicz przez omal nie wygórowane poczucie godności piśmiennictwa rodzzonego, nie chce spojrzeć nawet w stronę bogactw, po które dośćby mu było rękę wyciągnąć. Stosunek do tłumaczy zagranicznych tego najbardziej w świecie czytanego pisarza jest poprostu podziwu naszego, zachwyty i czci godny. Jedna powieść z rękopisu na język angielski przetłumaczona dałaby Sienkiewiczowi odrazu wielki majątek, i naprawdę nie śmiałby mu nikt wziąć za złe myśli o bycie dzieci. Ale jego górna dusza woli

inną im puściznę zostawić po sobie — w dodatku do mierności fortuny.

W świadomości swego obowiązku i siły, w dumie rzetelnej, co nie przeradzając się w narzucającą się światu pychę uniezależnia tylko własnego ducha od sądów i hołdów, tkwi jego moc panowania i tryumfu: niepodobna wyobrazić sobie duszy bardziej skonsolidowanej i zorganizowanej wewnątrz.

Tu jest źródło tego taktu najwyższego, co cechuje każde słowo, oddawane przezeń na własność publiczną, taktu, który w dziełach sztuki objawia się niesłuchaniem poczuciem miary artystycznej, wszędzie zaś indziej darem zharmonizowania słowa z okolicznościami, chociażby nawet jako dysonansu, i nietylko bez żadnego ustępstwa z indywidualności własnej, osobistej czy zbiorowej, lecz z zaznaczeniem jej najwyraźniejszym i najsilniejszym, czyli inaczej: zharmonizowania tak, by słowo to nie zginęło zgłuszone lub tonąc w unisonowości, lecz zapanowało, jak melodia na tle akompaniamentu.

I podczas gdy niejeden krótkowidz patrząc pod ciasnym kątem na migocącą powierzchnię wód i nie widząc skąd i dokąd idą, obawiał się, żeby staw nie wysechł, nim on sam go spuści, wielka rzeka rodzona, chłonąc strugi niezliczonych źródeł swojej ziemi i potoki szczytów śnieżnych a pojąc spragnione rzesze, toczyła potężnie a poważnie głębokie swe nurty aż do mórz dalekich.

Zapewne, może zagraniczna krytyka nie powiedziała dotąd nic, czegoby przed nią nie dostrzegła nasza własna (z wyjątkiem pewnych jej odłamów), zdaje mi się tylko, że wszystko to nie to.

Skończenie dobry krytyk powinien być jak krawiec. A krytyka jego tak powinna pasować do ducha twórczego, jak doskonałe ubranie do ciała. Zdaje mi się naprzykład, że zszytego przezemnie ubrania nie mógłby włożyć na siebie nikt inny, czy jednak dopasowałem je do figury Sienkiewicza — wątpię. To też według mnie honor samowiedzy naszej uratowała bądź co bądź nie prasa, lecz proste i wierne dusze.

Ludziska szczerzy i serdeczni chwyтали za dzieła Sienkiewicza i odczytawszy może nawet czasem wywody jałowe głupców i mędrków warszawskich i niewarszawskich, otwierali oczy na przeźroczystość obrazów — otwierali serca na szczytną prostotę rodzonych myśli i uczuć, i podziwem napełniało ich bohaterstwo, łązy wyciskał ból, wybuchy śmiechu budził humor. Aż zaczął naród cały bez mędrkowań wykrętnych rzeźwić serca jego słowem, a on szedł naprzód, zapamiętywając się chyba tylko wobec Boga i własnej duszy a słuchając tylko głosu natchnień swych, jakby wedle słów: »kochaj się-rotę, gardząc oszukaństwem idź drogą prawdy i spokojnie głoś ją, nie nastając na niewiernych«¹⁾.

¹⁾ Wszystko, co w książce tej jest, powiedziałem dla publiczności na rozkaz musu wewnętrznego. Ujawnienie się jego przyspieszyła tylko pewna błaha okoliczność: nieporozumienie ze sprawozdawcami z jednego z odczytów moich w Paryżu o Sienkiewiczu, którzy nie zrozumieli mnie dlatego zapewne, że mówiąc z pamięci po raz pierwszy do tak liczного zebrania, właściwie jąkałem się, nie zaś mówiłem, chwilami omal nie mdlejąc ze strachu (raz musiano mi dać przerwę kilkunastominutową). Stąd też wynikło, że jedni widzieli mnie »padającego bezkrytycznie na twarz« przed dziełem pisarza, kiedyś ja to może uczynić chciał, ale krytycznie, inni zaś dopatrzili się obok tego

posądzeń pisarza o nieszczerść, o umyślne zaskarbienie sobie względów »krytyki konserwatywnej i duchowieństwa«.

Przypomniawszy jednak pierwsze wiersze tego odnośnika, wyznam, że przy tym rozdziale, w przetapianiu kilkakrotnem, grała rolę pamięć, że to jest rok jubileuszowy Sienkiewicza: usunąłem dużo rzeczy, któreby mogły przyczynić się zbytnio do zmącenia nastroju uroczystego.

Tak więc to, że niema tu ani słowa o najnowszych nie-taktach błaznów prasy, ani też wogóle nazwisk i cytat — jest jedynym darem moim »jubilatowi«, jak dziś reporterzy zwą Sienkiewicza.

Przy tej sposobności odnośnikowej poprawię też przeoczenie przepisywacza: pomiędzy wymienionymi we wstępie nazwiskami powinny być: »Antoni Pilecki, ś. p. Stanisław M. Rzętkowski, Wacław Wolski i Władysław Wścieklica«.

Wreszcie wypada mi tu poprawić własne swoje przeoczenie korektorskie: zamiast »ś. p. Stanisław Łaguna«, powinno być — »ś. p. Stosław Łaguna« (*Przyp. autora*).

ZAKOŃCZENIE.

Kto wczytywał się w dzieła starej literatury polskiej, musiał dostrzedz, że je charakteryzuje przede wszystkim ogromna pogoda rozsądku względem rzeczy ziemskich obok zdolności odczuwania zaziemskiego świata, jakgdyby całkiem realnego. Jędrność, rzeźkość, często wesołość nawet w odczuwaniu natury, życia i uczuć ludzkich, tworzą tu ton dominujący. Miłość obchodzi się bez sentymentalizmu a miłość bez rozpusty, jak wielkość charakteru bez szczudeł, a poczucie obowiązku bez deklamacji. Charakteru sarmackiego w piśmiennictwie naszym nie zdołały stłumić na dobre żadne wpływy obce, nawet francuskie z końca XVIII w.

Wyobraźnia sarmacka sama przez się obca jest sztuczności, przesadzie, chorobliwości — zarówno w treści, jak w wyrazie, to też woli styl równy w swej zawartości, bez fantastycznej modulacji we frazesach, dążący najprostszą drogą do ujęcia rzeczy. Żeby wydobyć jęk lub gromy z piersi którego z rzetelnych potentatów narodowego ducha niedosyć było niestrawności lub przywidzeń: ich rozpaczom trzeba było podstaw takich realnych, jak śmierć genialnej dziewczyny Kochanowskiego,

jasnowidzenia Skargi lub ich urzeczywistnienie się późniejsze.

Gdyby genialność absolutną można było ważyć na jakichś szalach — nie już międzynarodowych, lecz międzyplanetarnych — i gdyby tam naprawdę mogła przeważać mnogość nieskończenie różnobarwna drogocennych kamieni stylu i marzeń Słowackiego, w sercu narodu zawsze największy pomnik z najczystszej miłości i najnamiętniejszego zachwyty stałby niewzruszenie na cześć Mickiewicza zato właśnie, że pełna pogody i prostoty dusza muzy jego tak zaszczerpiła na przyrodzonej mazureczności litewskiej zbiorowość wszystkich cech mazursko-mało- czy wielkopolskich, że stała się nam najbardziej swoją. To jest poezja, co się narodziła z Jadwigi i Jagiełły.

Można się zachwycać głębokością nieba południowego i żywością jego barw, tęskniąc zarazem do stada białych obłoczków, mknących po spłótniałym, rodzinnym błękanie. Można, podziwiając świetność chaotyczną wielkich miast obcych, nie móc żyć bez ciszy wioski rodzinnej.

Płoszowski powiada gdzieś, że cudzoziemka mogłaby go porwać, obudzić szal, ale czuć nazawsze swoją istotę — potrafiłby on tylko w Polce. Zapewne, w dziedzinie stosunków osobistych jako zasada — byłby to paradoks, ale naród cały tak właśnie odczuwa twórczość artystów. Obcem duchowi i charakterowi narodu pięknem dziełem zachwyci się każdy, obdarzony poczuciem artystycznym, ale naród żyć będzie tylko skarbami, wydobytemi z głębi własnej jego duszy, uświadomionemi dlań przez zakłęcie możne rodzonego syna.

To też aforyzm o tem, że »nikt nie może być

prorokiem we własnej ojczyźnie», ma wartość chyba jedynie jako wyraz goryczy wobec zawsze prawie nie odrazu zwycięskiej walki duchów prawdziwie żywych — z martwością otoczenia. Naprawdę — to tylko we »własnej ojczyźnie« być można »prorokiem« a moc proroka rozlewa się na inne ludy dlatego, że czerpiąc z ducha swego rodzzonego narodu, czerpała temsamem z mocy tajemnej duszy dusz wszystkich narodów. Ale między: podziwiać a kochać i podziwiać — zawsze będzie taka różnica, jak między pięknem dzieckiem a własnym pięknem dzieckiem.

To też niech Amerykanie rozchwytyją milion egzemplarzy najegzotyczniejszego w cudowności swej z dzieł Sienkiewicza; niech świat go podziwia, ucząc naszych obcych duchowi narodu pół-mędrków, jak go cenić należy, ale bądź co bądź nigdzie go bardziej niż w domu nie kochają. Sienkiewicz, dla którego ideałem szczęścia jest »kochać poprostu i służyć wysoko« — mówi przez usta Połanieckiego: — »Najenergiczniejszy człowiek potrzebuje, żeby go ktoś kochał. Inaczej energia jego zwraca się przeciw życiu«. Więc też jego energia słusznie się przeciw śmierci zwraca, bo czuć musi, ile miłości i czci wśród nas żyje dla niego. Dla świata całego jest on jednym z największych lub poprostu największym pisarzem współczesnym, którego imię najczęściej rozbrzmiewa, ale dla nas — to bohater ducha, równy największym i najrodzeńszym bohaterom naszym i »najdroższa głowa«.

Dzieła jego przenika szczere w stopniu najwyższym widzenie, odczuwanie i ukochanie wszystkiego, co stanowi charakter podstawowy, treść charakteru naszej natury, życia, dusz zbiorowych i pojedynczych. I to

swoje widzenie, odczuwanie i ukochanie, obce bezwzględnie wszelkiej mglistości, czułościowości lub przesadzie maluje on, wypowiada i poddaje słowem takim dziwnem, choć prostem, takim subtelным a naturalnym, takim żywym i chwytającym za serce, takim nowożytnym a takim swojskim...

To duch współczesności i przyszłości, zaszczerpiony na zdrowym pniu języka, myśli i uczuć złotego wieku.

Ta to bezprzykładnie rodzima genialność bohaterska jest duszą majestatu Sienkiewicza dla mówiących po polsku.

To też czytając dzieła jego i myśląc o nich i o nim powtarzam sobie słowa Hamleta o żałobie i sobolach, słowa, które tak lubi cytować sam Sienkiewicz. I powtarzam sobie z większym, niż kiedykolwiek przekonaniem też parokrotnie cytowany przezeń wiersz Janickiego:

»Jać nie żałuję, żem sarmackie dziecię«.

Żałuję tylko, że nie mam dzieci, których dzieci mogłyby moim wnukom opowiadać, że ich dziad żył w epoce Sienkiewicza, widział go na własne oczy i służył pod nim.

KONIEC.



145846